



HEATHER GUDENKAUF



***Cieężar
milczenia***

PROLOG

ANTONIA

Louis i ja dostrzegamy ciebie prawie jednocześnie. Wśród ewodii. Ciężki, duszący zapach tych drzew, bardzo słodki, zawsze będzie przypominał mi ten dzień. Widzę, jak coś różowego przemyka przez zieleń. Twoja koszulka nocna, cienka letnia koszulka, którą nałożyłaś wczoraj wieczorem. Kamień spada mi z serca, cała drzę. Twoich podrapanych nóg prawie nie dostrzegam, ani kolan w błocie, ani łańcuszka w zaciśniętych palcach. Wyciągam ręce, szczęśliwa, że znów będę mogła przytulić cię do serca. Objąć z całej siły, oprzeć policzek na twoich przepeconych włoskach.

Postanowiłem, że już nigdy więcej nie będę modlić się w kółko tylko o jedno: „Proszę, żeby Calli mówiła”. Koniec z tym bezgłośnym błaganem, tym jęczeniem w duchu - proszę, choć jedno słowo.

Teraz będę tylko dziękować, że Calli jest.

Jesteś.

Jesteś, ale mijasz mnie i stajesz przed Louisem.

Mądre dziecko, myślę. Widzi mundur, dlatego podchodzi do niego. Louis nachyla się nad tobą, ja zachłannie wpatruję się w twoją twarz. W twoje wargi, które zaczynają się poruszać, wyraźnie składają się do wypowiedzenia słów. Słowo zostaje wyartykułowane. Ulatuje z ust bez żadnego wysiłku. W głosie, tak długo nie używanym, nie ma śladu niepewności. Jest jasny, dźwięczny... kiedy ty po długich trzech latach wypowiadasz swoje pierwsze słowo...

Potem trafiasz wreszcie w moje ramiona. Płaczę, dając ujście najrozmaitszym emocjom. Przede wszystkim ulga, niewyobrażalna, i tak samo wielka wdzięczność, że los zechciał mi ciebie oddać. Radość jednak miesza się ze smutkiem, gdy widzę poszarzałą twarz ojca Petry.

Nie rozumiem, dlaczego wybrałaś akurat to słowo. Ale to nie ma żadnego znaczenia. Najważniejsze, że w końcu przemówiłaś.

CALLI

Calli poruszyła się niespokojnie w swoim łóżku. Gorąco, nie ma czym oddychać. Prześcieradło i białą narzutę z szenili skopała z siebie wiele godzin temu, różowa koszulka nocna podwinęła się do pasa. Sierpniowy poranek w stanie Iowa był duszny, parny, a przez otwarte okno zabezpieczone siatką nie przedostawał się nawet najłżejszy podmuch wiatru. Tylko

mleczna poświata księżycy sączyła się przez siatkę, malując na podłodze jasną plamę, taką księżycową latarnię, która swoim mdłym światłem rozpraszała mrok pokoju.

Na dole ktoś chodzi. Tato. Dziś wybiera się na ryby. To jego kroki, mocne, zdecydowane, inne niż lekkie, szybkie kroki mamy i trochę niepewny chód Bena. Tak, to tato... Calli usiadła wśród skłębionej pościeli i pluszowych zwierzątek. Mocno ścisnęła nogi, starając się zwalczyć w sobie gwałtowną potrzebę pójścia do łazienki. Niestety, w domu była tylko jedna łazienka. Wyłożona różowymi kafelkami, nieduża, prawie połowę jej powierzchni zajmowała obdrapana biała wanna na wykrzywionych nóżkach. Żeby dostać się do łazienki, trzeba było zejść po skrzypiących schodach i przejść koło kuchni. A w kuchni był tato i popijając kawę, wkładał do specjalnej skrzynki różne rzeczy do wędkowania.

Calli absolutnie nie miała ochoty z nim się spotkać. Dlatego postanowiła odczekać. Usiadła trochę inaczej, ścisnęła nogi jeszcze mocniej i starając się zignorować pełny pęcherz, pomyślała sobie o czymś innym. O szkole. Nowy rok szkolny tuż, tuż, a Calli Clark jest już uczennicą drugiej klasy. Na stole leżał cały stos nowych przyborów szkolnych. Kredki ołówkowe, jeszcze długie, nie zatemperowane, obok kredki świecowe. Sześćdziesiąt dziewięć. W wyprawce szkolnej dla drugoklasistów wymieniono co prawda pudełko z dwudziestoma czterema kredkami, mama jednak orzekła, że to absolutnie nie wystarczy. Obok kredek leżało jeszcze kilka cienkich skoroszytów, różowe gumki do wycierania, oczywiście pachnące, oraz cztery notesy na spirali, każdy notes w innym kolorze.

Dla Calli szkoła zawsze była taką mieszanką przyjemności z przykrością. Kochała zapach szkoły, zapach kurzu na starych książkach i zapach kredy. Kochała szelest suchych liści pod nowymi bucikami, kiedy szła na przystanek, gdzie zatrzymywał się szkolny autobus. Kochała swoje nauczycielki, wszystkie. Ale wiedziała też, że pewnego dnia w szkolnej sali konferencyjnej zebrali się dorośli - dyrektor szkoły, psychologowie, logopedzi, pedagodzy, w tym też tacy od nauczania specjalnego, doradcy szkolni i pracownicy socjalni - i wspólnie zastanawiali się nad nią, nad Calli Clark. Dokładniej - dlaczego Calli nie mówi. Calli wiedziała, że dorośli ten fakt tłumaczą na różny sposób. Zaburzenia w rozwoju umysłowym. Autyzm. Albo - odmowa mówienia. Mutyzm wybiórczy. Przecież dziewczynka jest bardzo inteligentna. Z czytaniem radzi sobie po prostu świetnie, czyta książki dla dzieci starszych od niej o kilka lat.

Panna Monroe, nauczycielka z zerówki - ładna, delikatna osoba z prostymi brązowymi włosami, wyglądająca jak członkini jakiegoś klubu dla pań, a tak naprawdę wulkan energii o tubalnym głosie - była przekonana, że Calli jest po prostu nieśmiała. Dlatego dorośli, zebrani w

sali konferencyjnej, zaczęli zastanawiać się nad Calli dopiero w grudniu. Prawdopodobnie nazwisko Clark w ogóle nie trafiłoby na wokandę, gdyby pielęgniarka szkolna, pani White, kiedy wręczała Calli czystą parę skarpet, figi i spodnie dresowe, nie uświadomiła sobie, że robi to już po raz drugi w tym tygodniu.

- Calli, dlaczego nie powiedziałaś pani nauczycielce, że musisz iść do łazienki? - spytała pani White cichym, łagodnym głosem.

Calli milczała, jak zawsze. Tylko patrzyła szeroko otwartymi oczami w nieruchomej twarzy. Pani White wysłała Calli do łazienki, żeby umyła się i przebrała, a sama zaczęła przeglądać swój zeszyt, w którym starannym, okrągłym pismem notowała wizytę każdego dziecka w pokoju pielęgniarki szkolnej. Kiedy i dlaczego. Ból gardła, ból brzucha, użądlenie pszczoły. Nazwisko Calli od dwudziestego dziewiątego sierpnia, czyli pierwszego dnia nauki, wymienione było dziewięć razy. Za każdym razem była przy nim literka m - moczenie się.

W związku z tym pani White postanowiła skonsultować się z nauczycielką, panną Monroe, która przyprowadziła do niej Calli.

- Michelle, w tym roku Calli zsiusiała się dziewięć razy. Czy ona nie chodzi do łazienki, kiedy wysyłasz tam pozostałe dzieci?

- Nie wiem - odparła panna Monroe. Jej tubalny głos zadudnił tuż pod drzwiami łazienki, w której Calli zdejmowała z siebie brudne ubranie. - Ale zawsze przecież może poprosić.

- Ale zsiusiała się już dziewięć razy. Zadzwonię do jej mamy, powiem, żeby poszła z dzieckiem do lekarza. To może być infekcja dróg moczowych - oznajmiła pani White, jak to ona, chłodno i stanowczo, dlatego bardzo rzadko ktoś podważał jej decyzje. - A ty posyłaj ją do łazienki jak najczęściej, nawet jeśli sama nie poprosi.

- Dobrze.

Panna Monroe poszła sobie, a w drzwiach łazienki, przylegającej do pokoju pielęgniarki, ukazała się Calli. W o wiele za dużych różowych spodniach dresowych, które opływały jej stopy jak różowe dzwony i zwisały z pośladków. W jednym ręku trzymała reklamówkę z przemoczonymi majtkami z serii o zabawnej nazwie „Ciastko z truskawkami”. W reklamówce były również dzinsy, skarpetki i różowo-białe tenisówki. Palec wskazujący drugiej ręki bawił się kosmykiem kasztanowatych włosów.

Pani White nachyliła się, żeby jej oczy znalazły się na tej samej wysokości co oczy dziewczynki.

- Calli, masz tu jakieś buty, które zakładasz na gimnastykę?

Calli spojrzała na swoje stopy, przyodziane w sportowe skarpety tak przetarte, że widziała dokładnie swój duży palec w kolorze brzoskwini, zakończony jaskrawą plamą „Czerwieni wampa”. Lakieru, którym mama poprzedniego dnia wieczorem pomalowała jej wszystkie paznokcie.

- Calli - odezwała się ponownie pani White - czy masz tu jakieś sportowe obuwie na zmianę?

Calli zacisnęła cienkie wargi i skinęła głową.

- Świetnie, Calli. Idź i nałóż te buty, a tę torebkę schowaj do plecaka. Zadzwoń do twojej mamy. Coś takiego, jak dziś, przytrafiło ci się w tym roku już kilkakrotnie. Chciałabym, żeby twoja mama o tym wiedziała.

Pani White mówiąc, wpatrywała się uważnie w nieruchomą twarz Calli. Dziewczynka niby ją słuchała, tak naprawdę jednak jej uwaga skupiona była na tablicy na białej ścianie. Tablicy z rzędami coraz mniejszych liter, służącej do sprawdzania wzroku.

Grono dorosłych z sali konferencyjnej, czyli komisja zajmująca się przypadkami problematycznymi, po przetestowaniu Calli i uzyskaniu niezbędnych informacji na temat dziewczynki, orzekło, że Calli nie ma żadnego defektu fizycznego. Przedyskutowano więc różne opcje i po kilku tygodniach podjęto decyzję. Calli należy wyuczyć podstawowych wyrazów w języku migowym, na przykład wyrazu „toaleta”. Raz w tygodniu Calli będzie spotykać się z doradcą szkolnym. A poza tym trzeba czekać. Czekać cierpliwie, aż Calli zacznie mówić.

Calli zsunęła się z łóżka, podeszła do stołu i zaczęła po kolei każdy ze swoich przyborów szkolnych przekładać na biureczko z sosnowego drewna. Układała je tak, jak zamierzała ułożyć w swojej nowej ławce w pierwszym dniu nauki w klasie drugiej. Najpierw rzeczy duże, na nich mniejsze. Ołówki i długopisy ułożone porządkie w nowym zielonym piórniku.

Coraz bardziej chciało jej się do łazienki. Tak bardzo, że aż wszystko ją bolało. W końcu, zdesperowana, zaczęła się zastanawiać, czy nie załatwić się do białego plastikowego kosza na śmieci, ustawionego koło biureczka. Z tego pomysłu jednak zrezygnowała. Bardzo trudno będzie potem umyć ten kosz po kryjomu. Mama na pewno zauważy albo Ben. Jeśli mama, to zaraz potem nastąpi niekończąca się seria pytań, na które można odpowiedzieć „tak” albo „nie”. Łazienka była zajęta? Nie dałaś rady poczekać? Bawiłaś się z Petrą i zapomniałaś pójść do łazienki? A może jesteś na mnie zła, Calli?

Rozważyła więc inną możliwość. Wyjść na dwór. Przez okno, a ponieważ jej pokój jest na piętrze, zejdzie na dół po drabince oplecionej wilcem o białych kwiatach dużych jak jej dłoń.

Niestety, nie wiedziała, jak zdjąć siatkę z okna, a poza tym mama, gdyby przyłapała ją na schodzeniu po drabince do kwiatów, mogłaby też wpaść na pewien pomysł. Zabicia okna gwoździami. A Calli uwielbiała spać przy otwartym oknie. Kiedy wieczorem padało, przyciskała mocno twarz do siatki, żeby poczuć na policzkach krople deszczu i poczuć zapach spalonej słońcem trawy, nasiąkającej teraz wilgocią. Wariant z oknem był więc też nie do przyjęcia, tym bardziej że Calli absolutnie nie chciała przysporzyć mamie jeszcze więcej zmartwień. Mama miała ich wystarczająco dużo.

Trzeba zejść do łazienki. Jak najciszej, może tato nie zauważy. Calli powoli uchyliła drzwi. Wystawiła głowę, spojrzała w lewo, w prawo i na palcach wyszła na ciemny korytarzyk, gdzie było jeszcze bardziej duszno niż w pokoju. Drzwi naprzeciwko, do pokoju Bena, były zamknięte, tak samo drzwi do sypialni rodziców. Calli podeszła do schodów, przystanęła i zaczęła nasłuchiwać. Cisza, czyli jest nadzieja, że tato wyszedł już z domu. Pojechał na ryby razem ze swoim przyjacielem Rogerem. Daleko. Mieli jechać sto dwadzieścia kilometrów wzdłuż rzeki Missisipi, na wschód, na sam kraniec hrabstwa.

Taty miało nie być trzy dni. Calli z tego powodu wcale nie była nieszczęśliwa. Przeciwnie, cieszyła się, choć czuła wyrzuty sumienia. Ale kiedy w domu byli tylko we trójkę, mama, Ben i Calli, w tym domu było zdecydowanie spokojniej.

Z tatą nigdy nic nie wiadomo. Czasami, kiedy rano schodziła na dół, zastawała go w kuchni wesołego, zadowolonego z życia. Brał córeczkę na kolana, śmiał się i drapał ją w policzek rudymi wąsami. Calli też się śmiała. Ten wesoły, zadowolony tato całował mamę, robił jej kawę, Benowi proponował wspólny wypad na miasto. W takie dni usta tacie się nie zamykały. Mówił i mówił, rozpogodzony, w jego głosie można się było nawet doszukać czułości. Bywały jednak i inne poranki. Kiedy tato siedział przy obdrapanym kuchennym stole, podpierając głowę rękami, a zlewozmywak i kuchenny blat, pokryty laminatem w brązowe cętki, zavalone były puszkami po piwie. W takie dni Calli na palcach przemykała przez kuchnię i uciekała do lasu, który zaczynał się tuż za ich podwórzem na tyłach domu. Bawiła się nad strumieniem albo wśród konarów powalonych drzew. Co jakiś czas wychodziła na skraj lasu, żeby zobaczyć, czy ciężarówka ojca stoi jeszcze koło domu. Jeśli jej nie było, Calli wracała do domu.

Jeśli stała tam jeszcze, Calli znów kryła się wśród drzew. Do domu wracała dopiero wtedy, kiedy zmusił ją do tego głód.

Dalej cisza. Calli zeszła po schodach, odruchowo przestępując przez czwarty, skrzypiący stopień. Dwa kroki i będzie już w łazience. Uniosła palcami brzeg koszulki, zrobiła jeden duży

krok. Teraz trwożliwe spojrzenie w głąb kuchni, gdzie paliła się tylko lampka nad piecem kuchennym. Nikogo. A więc następny krok, ręka dotyka już chłodnego metalu klamki.

- Calli! Chodź tutaj!

Znieruchomiała. A ochryply szept powtórzył:

- Calli! Chodź!

Puściła klamkę i poszła karnie tam, skąd dobiegał głos. W kuchni taty nie było, ale przez uchylone drzwi na dwór widać było w szarym świetle poranka barczyste plecy. Tato siedział na najniższym betonowym schodku. Nad jego głową obłoczek. Dym z papierosa zmieszany z parą, unoszącą się nad kubkiem z gorącą kawą.

- Chodź tu, córeczko! Dlaczego wstałaś tak wcześnie? - spytał.

Nawet łagodnie. Callie otworzyła drzwi trochę szerzej, bardzo ostrożnie, żeby nie trącić taty w plecy, przeszła przez drzwi bokiem i stanęła obok taty.

- A więc jak, Calli? Miałaś zły sen?

Pokręciła przecząco głową i pokazała mu na palcach znak oznaczający łazienkę. Choć teraz, chwilowo, jakoś nie czuła już tej potrzeby

Tato zaśmiał się. Ten śmiech wcale nie był wesoły.

- Co mówisz? Powtórz! Powiedz głośniej. Ach! No tak, przecież ty nie mówisz! Gadasz tylko na migi!

Nagle wstał i naśladując Calli, zaczął wymachiwać rękoma i wykrzywiać palce.

- Nie umiesz mówić jak normalne dzieci! Jesteś niema, jak jakiś przygłup!

Mówił coraz głośniej. Calli spojrzała na ziemię. Zasłana zgniecionymi puszkami. Potrzeba pójścia do łazienki nagle wróciła ze zdwojoną siłą. Spojrzała na okno pokoju matki. Zasłony zaciągnięte, nie poruszają się, za szybą nie ukazuje się twarz, która zawsze dodaje Calli otuchy.

- Nie mówisz! Do cholery! A przedtem mówiłaś! „Tato”, „tato”, przede wszystkim wtedy, kiedy czegoś ode mnie chciałaś. A teraz mam niedorozwiniętą córkę. Debilkę. A może ty nie jesteś moją córką? Masz oczy tego gliniarza!

Nachylił się. Szarozielone oczy spojrzały prosto w oczy Calli.

Calli mocno zacisnęła powieki. Gdzieś niedaleko słyhać było chrzęst żwiru pod oponami. Coraz bliżej. To Roger, jedzie po tatę. Otworzyła oczy w chwili, kiedy duży samochód terenowy podjeżdżał pod dom.

- Dzień dobry! Co u pani słyhać, panno Calli? - zawołał Roger, niby do niej, ale tak naprawdę wcale na nią nie patrzył. Nie spodziewał się przecież żadnej odpowiedzi. - Griff! Gotowy?

Roger Hogan, najlepszy kumpel Griffa, jeszcze ze szkoły średniej, był niewysoki i szeroki, z ogromnym brzuchem wylewającym się nad paskiem spodni. Pracował w miejscowej przetwórni mięsa, był brygadzystą.

Za każdym razem, kiedy Griff przyjeżdżał z Alaski, z rurociągu, Roger namawiał go, żeby został w Willow Creek na dobre. Obiecywał, że załatwi mu robotę w swoim zakładzie. A na koniec zawsze dodawał:

- I byłoby jak za dawnych dobrych lat, co, koleś?

- Cześć, Rog! - zawołał Griff. - Nie gniewaj się, stary, ale trochę zmieniłem plany. Jedź sam, ja dojadę. Calli miała zły sen. Trzeba z nią chwilę posiedzieć, poczekać, póki się nie uspokoi i nie zaśnie.

Roger jęknął.

- Griff, co ty? Nie może zająć się nią matka? Przecież ten wypad zaplanowaliśmy kilka miesięcy temu!

- Ale dziecko czasami potrzebuje swojego tatusia. Jak dzieje się coś złego, tatuś powinien być przy dziecku! Nawet jeśli dzieciak tego nie chce. A ty chcesz, Calli! Prawda?

Za każdym razem, kiedy powtarzał „tatuś”, żołądek Calli kurczył się coraz bardziej. Bardzo chciała teraz wbiec z powrotem do domu i obudzić mamę. Ale jednocześnie wcale nie czuła się zmiażdżona. Kiedy pijany Griff wypluwał z siebie nienawiść do niej, Calli, nie udawało mu się jej zranić. Bena - tak. Mamę też, oczywiście. Ale nie Calli.

- Wrzucę tylko rzeczy do twojego samochodu, Rog, i jedź. Dojadę po południu, spotkamy się w chacie. Po drodze kupię dobrego piwka. A wieczorem rybka na pewno będzie brała!

Griff niedbale wrzucił do samochodu swoją wielką zieloną torbę. Wędki i resztę sprzętu wkładał już o wiele ostrożniej.

- Do zobaczenia, Roger!

- Jesteś pewien, że tam trafisz?

- Jasne. Niech cię głowa o to nie boli. Trafię na pewno.

- No to cześć!

Roger odjechał. Griff podszedł do Calli. Nieruchomej figurki, mimo upału obejmującej się mocno ramionami.

- No to co, Calli? Potrzebujesz tatusia? Zaraz to załatwimy! Ten gliniarz nie mieszka daleko stąd, prawda? Trzeba iść przez las!

Złapał ją za ramię. W tym momencie przepelniony pęcherz nie wytrzymał. Po nodze Calli spłynęła ciepła struga. Płynęła nadal, kiedy tato ciągnął Calli w stronę lasu.

PETRA

Znów nie mogę zasnąć. Jest tak gorąco, że łańcuszek klei mi się do szyi. Siedzę sobie na podłodze, przed wiatraczkiem. Chłodzę twarz. Jednocześnie mówię do niego, do wiatraczka. Cichutko, a on szumi i kręci się, kręci, jakby chciał moje słowa wepchnąć mi z powrotem do buzi.

- Jestem księżniczka Petra, najważniejsza księżniczka na całym świecie.

Nagle słyszę coś za oknem. Czuję lęk, chcę obudzić mamę i tatę. Najpierw jednak sprawdzę, co to jest. Podczołguję się po szorstkim dywanie do okna. Klękam i ostrożnie wystawiam głowę nad parapet. Ciemno. Czuję jednak, że tam, w tej ciemności, ktoś jest. Ktoś duży. Patrzy na mnie. Wyteżam wzrok. Tak, na pewno tam jest, a obok niego ktoś o wiele niniejszy. Strach mija. Przecież dobrze znam ich obu.

Pierwsza myśl - poczekajcie! Idę z wami! Potem druga - nie, nie wolno mi wychodzić z domu. Tak myślę przez sekundę. Potem zmieniam zdanie. Przecież tam jest ktoś dorosły, a z dorosłym mogę wyjść.

Mama i tato nie będą się gniewać. Zresztą wybiegnę tylko na chwilę, aby się przywitać.

Nakładam tenisówki i wymykam się z pokoju.

Tylko się przywitam i zaraz wrócę do domu...

CALLI

Calli razem z tatą szli przez las już dobrą chwilę. Calli wiedziała dokładnie, w którym są miejscu. Niedaleko szlaku Żebraczy Stok, tutaj Calli bardzo często widywała piękne lśniące konie, które z takim wdziękiem niosły swoich właścicieli przez las. Teraz Calli marzyła o takim widoku. Gdyby spomiędzy drzew wynurzyła się klacz w kolorze cynamonu albo appaloosa z czarnymi łatkami, tato może by się opamiętał. Niestety, dziś czwartek, w dni powszednie na szlaku rzadko się ktoś pojawiał. Istniała szansa, że natkną się na strażnika leśnego. Ale strażnicy mają do pilnowania w sumie prawie dziewięćdziesiąt kilometrów szlaków. Praktycznie więc Calli była zdana tylko na siebie. Pogodziła się już z tym, że tato będzie ciągnął ją przez las.

Dróżka była kamienista, dla jej bosych stóp bardzo bolesna. Domu zastępcy szeryfa Louisa, oczywiście, nigdzie tu nie było widać. W sumie to i lepiej. Gdyby dotarli pod ten dom, tato na pewno zacząłby wykrzykiwać niestworzone rzeczy, zastępca szeryfa starałby się go uspokoić, a potem zadzwoniłby po mamę.

Żona zastępcy szeryfa stałaby w drzwiach, rozglądając się niespokojnie na boki, czy ktoś niepowołany nie ogląda teraz tego całego przedstawienia.

Tato miał twarz bladą jak krwiowiec, kwiatek, który mama kiedyś na początku wiosny pokazała jej podczas spaceru po lesie. Powiedziała, że kiedy przerwie się ich korzonek, sączy się z niego czerwony sok. Czerwony jak włosy taty, który mamrocząc coś pod nosem, ciągnął Calli za sobą, potykając się co chwila o wystające korzenie. Dochodzili już do miejsca, zwanego Zakątkiem Siedmiu Wierzb. W tym miejscu nad strumieniem Willow Creek rosło siedem wierzb płaczących, tworzących idealne półkole. Te wierzby podobno przywiózł ze sobą i posadził pewien francuski osadnik. Dostał je w prezencie od swego przyjaciela, samego Napoleona Bonaparte. Wierzby były ulubionymi drzewami francuskiego cesarza.

Mama Calli i Bena, Antonia, należała do mam, które razem ze swoimi dziećmi włązają na drzewo. Sadowiła się tam z nimi pośród gałęzi i opowiadała im różne historie, na przykład o swoich prapradziadkach, czeskich emigrantach, którzy w dziewiętnastym wieku przyjechali do Stanów. Często wyprawiała się z nimi do Zakątka Siedmiu Wierzb. Szykowała lunch dla całej trójki - kanapki z masłem orzechowym, jabłka - i ruszali w drogę. Przechodzili na drugą stronę strumienia, skacząc po mokrych, omszałych kamieniach. Antonia rozkładała koc pod drzewem i wszyscy wsuwali się do namiotu z wiotkich, cienkich gałęzi. Umawiali się, że teraz nie jest to żaden namiot, ale chata na bezludnej wyspie. Wszyscy zresztą przechodzili metamorfozę. Na przykład Ben zmieniał się w dzielnego żeglarza, zaś

Calli była jego pierwszym oficerem, wiernym towarzyszem. Antonia wcale już nie była mamą, tylko piratem, który ścigał Bena i Calli i wykrzykiwał przy tym groźnie, naśladując nieudolnie wymowę londyńskich prostaków:

- Ej, wy, szczury lądowe! Poddajcie się! Chyba że chcecie przejść po naszej pirackiej desce!

Którą, jak wiadomo, piraci wysuwali za burzę, a ty, nieszczęśniku, musiałeś przejść po niej do samego końca, po czym była już tylko jedna opcja. Skok do wody.

- Nigdy się nie poddamy! Nigdy! - krzyczał nieustraszony Ben. - Prędzej rzucimy się rekinom na pożarcie!

- I zeżrą was! - wrzeszczała Antonia, wymachując kijem. - Zostaną same kosteczki!

W końcu nieustraszony żeglarz, pragnąc ocalić swego najwierniejszego towarzysza, kazał Calli uciekać. Calli uciekała co sił na swych długich chudych nogach ozdobionych niezliczonymi siniakami - efekt wspinaczek na drzewa i przełazenia przez płoty. Antonia gonila za nią. Kiedy zabrakło jej tchu, przystawała, ciężko dysząc, i błagała pokornie:

- Rozejm! Rozejm!

Nikt nie miał nic przeciwko temu. Cała trójka zgodnie wracała do wierzbowej chaty i wyczywała, popijając wodę sodową. Antonia co chwilę wybuchala śmiechem. Śmiała się głośno, zaraźliwie, ten śmiech tryskał gdzieś z głębi jej piersi, nieposkromiony, taki radosny. Odrzucała wtedy głowę w tył i zamykała oczy, wokół których zaczynały się już tworzyć pierwsze zmarszczki. Świadectwo wieku i rozczarowań.

Kiedy Antonia śmiała się, śmiali się wszyscy. Wszyscy oprócz Calli. Calli uśmiechała się tylko słodko, nawet nie rozchylając ust. Ale nie śmiała się od bardzo dawna, a kiedyś robiła to tak często. Tak radośnie, jakby rozdzwoniły się dzwoneczki. Teraz nie, choć wiedziała, że mama na jej śmiech czeka z utęsknieniem.

Antonia była tego rodzaju mamą, która w niedzielę pozwoli ci zjeść na śniadanie pizzę, a na kolację płatki śniadaniowe. Mamą, która w deszczowy wieczór ogłasza, że to wieczór w spa i zaprasza serdecznie córeczkę do Salonu Piękności Toni - naśladowując przy tym wymowę francuską. Do wody w starej wannie dodaje czegoś, dzięki czemu robią się w niej bąbelki i pachnie jak bez. Po kąpieli, kiedy wytrze Calli wielkim białym ręcznikiem, przystąpi do malowania paznokci u nóg. Na przykład lakierem „Niegodziwa czerwień”. Albo nałoży na włosy Calli tyle pianki i żelu, że staną na baczność, jak dziesięciocentymetrowe kolce.

Griff natomiast był tego rodzaju tatą, który po wypiciu na śniadanie iluś tam puszek piwa wlecze siedmioletnią córkę przez las, żeby znaleźć potwierdzenie swojej wersji prawdy.

MARTIN

Czuję na plecach ciepłą twarz Fieldy, ręce Fieldy wokół mojej talii, która w zastraszającym tempie liczy coraz więcej centymetrów. Na tego rodzaju konfigurację dwóch ciał jest stanowczo za gorąco, ale ja za nic w świecie nie odsunąłbym Fieldy od siebie. W ciągu czternastu lat naszego małżeństwa rozstawaliśmy się tylko dwa razy. O drugim razie wolałbym nie pamiętać. Pierwszy raz natomiast związany był z moim wyjazdem na symposium ekonomiczne organizowane na uniwersytecie w Chicago. Było to w niecały rok po naszym ślubie. Pamiętam,

że wieczorem, kiedy położyłem się do hotelowego łóżka, na nierównym materacu i pod sztyw-
ną, szorstką kołdrą, po prostu wylem z tęsknoty. Po tej jednej samotnej nocy dałem sobie spo-
kój z sympozjum i wróciłem do domu. Fielda śmiała się ze mnie, czułem jednak, że w głębi
duszy jest bardzo zadowolona.

Fielda w moim życiu pojawiła się późno, kiedy miałem już czterdzieści dwa lata i oże-
niony byłem ze swoją pracą. Profesor ekonomii w prywatnym College'u Świętego Gilianusa w
Willow Creek, w którym kształci się rocznie około dwustu studentów. Osiemnastoletnia Fielda
Mourning nie była studentką, lecz kelnerką w Mourning Glory Café, kawiarni swojej matki. W
tej kawiarni w którymś momencie zacząłem bywać codziennie. W drodze do college'u wstępo-
wałem tam na kawę, muffinkę i przeczytanie gazety. Kawa była zawsze cudownie gorąca, mu-
finka przekrojona na pół, jedna połówka posmarowana słodkim masłem. Czyli obsługa znako-
mita. Byłem pewien, że to standard. O tym, że się myliłem, przekonałem się gdzieś tak po roku,
pewnego zimowego poranka. Wtedy to Fielda, z jedną ręką opartą na krągłym biodrze, stanęła
przede mną i - dosłownie - wycelowała we mnie filiżanką z kawą.

- Proszę pana! - Głos świadczył, że jego właścicielka jest na pograniczu hysterii. - Ja bar-
dzo chciałabym wiedzieć, co ma zrobić dziewczyna, żeby pan w końcu oderwał się od tej ga-
zety i zwrócił na nią uwagę! Na tę dziewczynę!

Filiżanka prawie z hukiem wylądowała tuż przede mną. Moje okulary ze zdumienia wy-
lądowały na końcu mego nosa. Kawa, oczywiście, rozlała się po stole. Zanim zdążyłem cokol-
wiek wykrztusić, Fielda rzuciła we mnie muffinką, prosto w pierś, i wybiegła z kawiarni. Po
czym podeszła do mnie jej matka - nieco już zmęczona życiem starsza wersja Fieldy - i wznosząc
oczy ku niebu, westchnęła. Po czym przekazała:

- Panie Gregory, błagam, niech pan pójdzie do niej i porozmawia. Ona wzdycha do pana
już od wielu miesięcy. Niech pan nią potrząśnie i pomoże jej wrócić na ziemię. Albo niech się
pan z nią ożeni.

Poszedłem za Fieldą. Miesiąc później byliśmy już małżeństwem.

Gorąco, gorąco nie do wytrzymania. Odwracam się, odnajduję w ciemnościach gładki
policzek Fieldy. Całuję ją i wstaję z łóżka. Wychodzę z pokoju, idę korytarzem i jak zwykle
zatrzymuję się przed drzwiami do pokoju Petry. Są uchylone, słyszę szum wiatraczka. Otwie-
ram je trochę szerzej i wchodzę do środka, do tego sanktuarium małej dziewczynki. Zawsze to
robię, kiedy jestem w pobliżu. Lubię spojrzeć na starannie poukładane zbiory sosnowych szy-
szek i żołądzi, liści, piór i kamieni, wszystkie te trofea wyłowione bacznym wzrokiem na na-

szym podwórzu za domem. Lubię spojrzeć przede wszystkim na moje dziecko. Śpiącą Petrę, dookoła której śpią lalki, duże i małe, pluszowe pieski i misie, wszystkie ułożone i przykryte bawełnianymi myjkami pełniącymi rolę kocyków.

Wchodzę, moje oczy po chwili przyzwyczajają się do ciemności. Widzę, że łóżko jest puste. Czyli Petra nie mogła zasnąć, co zdarza jej się dość często. Wtedy cichutko schodzi na dół i ogląda sobie telewizję.

Schodzę na dół. W salonie nikogo, Petra wcale nie ogląda telewizji. Robię szybko obchód domu. Zaglądam do każdego pokoju, zapalam światło. Salon, jadalnia, kuchnia, łazienka, mój gabinet. Wracam do kuchni i schodzę do piwnicy. Nigdzie nie ma Petry. Pędzę po schodach na parter, potem na piętro, do Fieldy. Potrząsam nią.

- Nie ma Petry! - wołam. - Nie ma jej w łóżku! Fielda budzi się natychmiast. Wyskakuje z łóżka i sprawdza cały dom, podążając dokładnie moim śladem. Petry nigdzie nie ma. Biegnę na tył domu, wybiegam na dwór i okrążam dom. Trzykrotnie. Petry nie ma. Fielda i ja spotykamy się w kuchni. Spoglądamy na siebie bezradnie. Fielda wydaje z siebie rozpaczliwy jęk, chwyta za słuchawkę telefonu i wystukuje numer policji.

Ubraliśmy się bardzo szybko. Podczas rozmowy z zastępcą szeryfa wypadaloby wyglądać jak ludzie cywilizowani. Kiedy czekamy na niego, Fielda dalej chodzi po domu, szukając Petry. Zagląda do każdej szafy, sprawdza pod schodami. Zastanawia się.

- Może poszła do Calli?

- O tej porze? - pytam. - Myślę, że jej po prostu było za gorąco. Nie mogła spać, wyszła na dwór i straciła poczucie czasu. Usiądź, Fieldo. Denerwuje mnie, jak tak biegasz po domu. Przecież jej tutaj nie ma!

Mówię to o wiele za głośno. Twarz Fieldy zaczyna się mienić.

Podchodzę do niej.

- Przepraszam - szepczę, choć jej bieganie po domu naprawdę mnie wkurza. - Chodź, zrobimy kawę. Zaraz przyjdzie Louis...

- Kawę! Kawę! - krzyczy Fielda nienaturalnie cienkim głosem. - Zaparzymy sobie kawę, usiądziemy i spokojnie zastanowimy się, jakim cudem nasza córka mogła zniknąć ze swojego pokoju w środku nocy! Może jeszcze podamy Louisowi śniadanko? Jajka sadzone? Płatki? Martin, na litość boską! Nasze dziecko... zaginęło! Nasze...

Głos Fieldy załamuje się. Głaszczę ją po plecach, coś tam szepczę, choć wiem, że teraz nic nie jest w stanie jej uspokoić.

Kiedy słyszymy pukanie, oboje idziemy do drzwi. Zastępca szeryfa Louis to wysoki, szczupły, długonogi facet. Jasne włosy opadają na czoło nad poważnymi niebieskimi oczyma. Jest młodszy ode mnie prawie dwa razy, właściwie rówieśnik Fieldy.

Zapraszamy go do środka. Louis siada na sofie i pyta:

- Kiedy widzieliście swoją córkę po raz ostatni?

Biorę Fieldę za rękę i opowiadam policjantowi dokładnie, co wydarzyło się tego ranka.

ANTONIA

Budzi mnie jakiś pomruk. Niegłośny. W pierwszej chwili myślę, że to grzmot, gdzieś jeszcze daleko. Burza, więc i deszcz. Cudownie. Ulewa. Chłodne, duże krople. Może obudzić dzieci? Calli i Ben z rozkoszą pobiegają po ulewnym deszczu, splukując z siebie suche, upalne lato. Wyciągam rękę, macam miejsce obok. Puste, pościel chłodna. Dziś czwartek, Griff już pojechał na ryby razem z Rogerem. Czyli to nie grzmot, tylko ciężarówka.

Przesuwam się na miejsce Griffa, pragnę poczuć choć przez moment chłód prześcieradła. Próbuję zasnąć, w czym skutecznie przeszkadza mi stukanie, właściwie walenie we frontowe drzwi. Na litość boską! Przecież dopiero szósta! Zirytowana, wstaję z łóżka, nakładam szorty i przeczesuję palcami włosy. Wychodzę na korytarz. Drzwi do pokoju Calli uchylone, drzwi do pokoju Bena jak zwykle starannie zamknięte. Pokój Bena to jego forteca. Nawet nie próbuję tam wejść. Ben zaprasza do siebie tylko swoich kolegów. I siostrę, Calli, co jest dla mnie zaskakujące. Moi czterej bracia wpuszczali mnie do siebie tylko w ostateczności, kiedy na nich to wymusiłam.

Przez całe życie otoczona jestem mężczyznami. Ojciec, bracia, Louis, teraz Griff. W szkole miałam więcej kolegów niż koleżanek. Moja matka zawsze trzymała się trochę na ubożcu. Zmarła, kiedy miałam siedemnaście lat. Teraz żałuję, że nie spędzałyśmy ze sobą więcej czasu. Moja matka była bardzo elegancka, zawsze w sukience albo spódnicy, nigdy w spodniach. Kiedy siadała, zakładała nogę na nogę. Brązowe włosy upinała w kok. Mnie nie mogła zmusić do chodzenia w sukienkach, zainteresować makijażem czy nauczyć poruszać się jak dama. Dała radę wywalczyć tylko jedno. Długie włosy. Ściągałam je w koński ogon i nakładałam czapkę bejsbolówkę. Buntowałam się, a teraz żałuję, że nie przyjrzałam się dokładnie, jak mama maluje sobie usta, jaką ilością perfum skropić sobie nadgarstek. Ja też przecież teraz mam córkę.

Moją Calli. Moją zagadkę. Cichego duszka, który nigdy nie mówi ani słowa. Obserwuję ją, bez przerwy, staram się nie przeoczyć żadnej miny, żadnego gestu. Żeby wiedzieć, czego dziecko chce. Kiedyś mówiło, teraz zamknęło się w świecie ciszy i muszę wszystko odgadnąć. Oczywiście, staram się traktować ją jak zwyczajną siedmioletnią dziewczynkę, o której nie dyskutują obcy ludzie w szkole, nie szepczą sąsiedzi. A szepczą, ciągle szepczą o tym dziwnym dziecku Clarków.

Mam ochotę teraz do niej zajrzeć, ale stukanie do drzwi jest wyjątkowo natarczywe. Szybko zbiegam po wypaczonych schodach. Za ciężkimi dębowymi drzwiami stoją Louis i Martin Gregory, ojciec Petry. Louis po raz ostatni był tu trzy lata temu, kiedy leżałam na sofie nieprzytomna po upadku ze schodów. Co go sprowadza tym razem?

- Dzień dobry - mówię niepewnym głosem. - Czy coś się stało?

- Czy Petra jest u was? - pyta Louis.

- Nie - odpowiadam, zerkając na Martina. Martin pochyla głowę, ale zaraz ją podrywa i teraz on pyta:

- Toni, czy mógłbym porozmawiać z Calli? Petry... nie ma. Może Calli podpowie, gdzie ona może być.

- Petry nie ma?! Och, mój Boże! Wchodźcie, proszę. Bardzo proszę!

Wprowadzam ich do salonu. Mały stolik zastawiony jest puszkami po piwie. Zbieram je szybko i wynoszę do kuchni, wołając po drodze:

- Już idę obudzić Calli!

Biegnę po schodach na górę, pokonując po dwa stopnie. Biegnę z ciężkim sercem. Biedny Martin, biedna Fielda...

- Calli! Calli! - zaczynam wołać już w korytarzu. - Obudź się, skarbie! Musimy z tobą porozmawiać.

Drzwi do pokoju Bena otwierają się, wychyla się z nich ruda głowa mojego syna.

- Dzień dobry, Ben - rzucam w przelocie. - Nie mogą znaleźć Petry!

Otwieram szeroko drzwi do pokoju Calli. Pościel na łóżku skotłowana, na podłodze uśmiechnięta małpka z włóczki.

- Ben! Gdzie jest Calli?!

Ben wzrusza ramionami i cofa się w głąb swojego pokoju. Zaglądam tam, dla pewności, potem do pokoju gościnnego, do swojego pokoju i zbiegam pędem na dół.

- Nie ma jej! Jej też nie ma!

Mijam obu mężczyzn i biegnę dalej w dół, w wilgotny chłód naszej piwnicy wylanej cementem. Przerazona. Człowiek słyszy przecież, że dzieci podczas zabawy w chowanego potrafią zamknąć się w starej lodówce czy zamrażarce. Potem nie mogą się z niej wydostać. A tyle razy mówiłam Griffowi, żeby powynosił te rupiecie! On oczywiście nigdy nie ma na to czasu. Nigdy!

Podbiegam do starej zamrażarki, podnoszę klapę, w nozdrza uderza mnie zapach stęchlizny. Zamrażarka jest pusta. Co za ulga! Na sekundę - przecież nadal nie wiem, gdzie jest moja córka! Odwracam się, widzę na szczycie schodów Louisa i Martina. Pędzę po schodach, mijam ich i wybiegam przez drzwi na tyłach domu. Szybko ogarniam spojrzeniem całe podwórze i znów biegnę. Przed siebie. Zatrzymuję się na skraju lasu. Przez chwilę wpatruję się w mroczną gęstwinę, odwracam się i biegnę z powrotem do domu.

Louis i Martin czekają w drzwiach.

- Nie ma jej! - wołam.

- Spokojnie - mówi Louis. - Najprawdopodobniej dziewczynki poszły gdzieś razem. Pobawić się.

- Ale dokąd? Do parku? Do szkoły? - zastanawiam się głośno. - Tak wcześnie? Jest dopiero szósta!

- A Petry nie ma w domu od wpół do piątej - mówi Martin. - Dokąd mogły pójść o tak wczesnej porze?

- Nie mam pojęcia - mówię szczerze. Louis pyta mnie, czy mógłby rozejrzeć się po domu. Oczywiście, zgadzam się. Louis robi obchód domu, ja depczę mu po piętach. Zagląda do szaf, pod łóżka. Calli nigdzie nie ma.

- Przekazałem już wiadomość innym policjantom - informuje mnie. - Szukają dziewczynek po całym mieście. A wam proponuję, żebyście sprawdzili miejsca, dokąd dziewczynki zwykle chodzą.

Oboje, Martin i ja, skwapliwie kiwamy głową.

- Toni, widzę ciężarówkę Griffa. Czy Griff jest w domu? - pyta Louis. - Może on będzie miał jakiś pomysł, dokąd mogły pójść dziewczynki?

- Griffa nie ma, pojechał na ryby - odpowiadam. - Razem z Rogerem, mieli wyjechać około wpół do czwartej.

- Może zabrali ze sobą dziewczynki? - pyta Martin z wyraźną nadzieją w głosie.

Mimo woli wybucham śmiechem.

- A tego to ja sobie nie wyobrażam! Poza tym wracają dopiero w sobotę!

- Ale wszystko jest możliwe - mówi Louis. - Może Griff zostawił wiadomość na kartce.

- Nie, Louis. Griff na pewno by czegoś takiego nie zrobił. Jestem pewna.

- No dobrze. W takim razie proponuję spotkanie za godzinę. Jeśli do tego czasu dziewczynki się nie odnajdą, zastanowimy się, co robić dalej.

Słyszę za sobą jakiś szelest. Odwracam się. Na schodach siedzi Ben. Jakże on podobny jest do swego ojca! Te same barczyste plecy i rude włosy. Oczy tego samego koloru, ale wyraz inny. W oczach Bena jest spokój.

- Ben! - wołam. - Calli i Petra dokądś poszły. Nie domyślasz się, dokąd?

- Do lasu - odpowiada bez wahania. - Rozniosę gazety i pójdę ich szukać.

- Zawiadomię kolegów, żeby przeszukali las za waszym domem - mówi Louis. - A my spotykamy się za godzinę.

BEN

Tego ranka obudziłem się nagle. Znów miałem ten głupi sen o tym, jak ty i ja włączymy na stary orzech koło Mostu Samotnego Drzewa. Podsadam cię, ty chwytasz się gałęzi tak mocno, że twoje palce z obgryzionymi paznokciami robią się białe. Podciągasz się i zaczynasz piąć się w górę po grubych konarach. Wspinasz się coraz wyżej, coraz wyżej. Nie widać już nawet twoich kościstych kolan, tylko tenisówki. Zaczynam wrzeszczeć.

- Calli! Złaż! Jesteś za wysoko! Złaż, bo jeszcze spadniesz!

Nie widzę już nawet tenisówek. Ale słyszę głos:

- Ben! Chodź tu do mnie! Musisz to zobaczyć! Właż, słyszysz?!

Wiem, że to twój głos. Na pewno twój, chociaż tak naprawdę zapomniałem już, jak on brzmi. Ty dalej się drzesz, a ja nie mogę wleźć na drzewo. Nie mogę dosięgnąć nawet najniższej gałęzi. Jest za wysoko.

- Calli! - wołam. - Poczekaj! A co ty tam widzisz? Wtedy budzę się, cały zlany potem. Nie takim normalnym, tylko zimnym, takim, kiedy boli też głowa i żołądek jest dziwnie ściśnięty. Próbuję znowu zasnąć, ale wcale mi się to nie udaje.

A teraz cię nie ma. Poszłaś nie wiadomo dokąd i jest mi z tym po prostu głupio. Jesteś moją młodszą siostrą, masz dopiero siedem lat i powinienem cię pilnować. Zawsze tak było. Pamiętasz, jak miałem dziesięć lat, a ty pięć i mama kazała iść nam razem na przystanek autobusowy.

- Pilnuj Calli, Ben - powiedziała mi na pożegnanie, czym wcale nie byłem zachwycony. Zacząłem piątą klasę, a tu każą mi się bawić w opiekunkę dzieciaka z zerówki. Wziąłem cię za rękę, ale kiedy doszliśmy do końca naszej dróżki i mama nie mogła już nas zobaczyć, puściłem cię i pobiegłem jak najszybciej na przystanek. Oczywiście, obejrzałem się, czy jesteś za mną. Trzeba przyznać, że zrobiłaś niezły sprint. Twoje chude nogi tylko migaly, nowiutki różowy plecak podskakiwał ci na plecach. Ale potknęłaś się o rynsztok przed domem Olsenów. Upadłaś. Miałem już do ciebie biec, naprawdę. Wtedy jednak podszedł do mnie Raymond i zaczęliśmy gadać. Dotarłaś na przystanek w chwili, gdy autobus właśnie nadjeżdżał. Kolana miałaś podrapane do krwi, czerwona spinka wysunęła się z włosów i dyndała na jednym z kosmyków. Przepchnęłaś się przez kolejkę i ustawiłaś obok mnie. Udawałem, że cię nie widzę. W autobusie usiadłem obok Raymonda. Ty stanęłaś w przejściu i wyraźnie czekałaś, że posunę się i zrobię ci miejsce. Ale ja gadałem z Raymondem. Dzieciaki za tobą zaczęły wołać, żebyś się w końcu ruszyła. Usiadłaś naprzeciwko nas, mnie i Raymonda. Kazali ci się przesunąć do okna. Twoje nogi nie sięgały podłogi. Po jednej z tych nóg spływała strużka krwi.

Potem w domu ani razu na mnie nie spojrziałaś. Kiedy po kolacji zaproponowałem ci, że opowiem ci bajkę, wzruszyłaś tylko ramionami i poszłaś sobie.

Wiem, że byłem dla ciebie wredny, ale chłopak z piątej klasy nie mógł przy innych chłopakach zachować się inaczej. Próbowałem to jakoś naprawić. Te cukierki, tootsie rolls, które tego wieczoru znalazłaś pod poduszką, to ode mnie. Głupio mi, że podczas twoich pierwszych tygodni w szkole w ogóle się tobą nie opiekowałem. Chciałbym cię przeprosić. Ale ty sama wiesz najlepiej, jak to jest, kiedy chcesz coś powiedzieć, a nie możesz. Po prostu nie potrafisz.

CALLI

Kiedy o wschodzie słońca dotarli do Zakątka Siedmiu Wierzb, Griff zarządził krótki odpoczynek. Usiadł, opierając się plecami o pień jednej z wiekowych wierzb, zamknął oczy i zwiesił głowę. Ale grube palce nadal zaciskały się wokół nadgarstka Calli. Zacisnęły się jeszcze mocniej, kiedy Calli próbowała uwolnić rękę. Dlatego zrezygnowała z dalszych prób. Usiadła i też oparła się plecami o pień.

Las dla Calli był zawsze ulubionym miejscem zabawy, także miejscem pełnym spokoju, gdzie można było sobie pochodzić, pomyśleć, pooglądać. Często wyobrażała sobie, jak to jest, kiedy człowiek znajdzie się w lesie bez picia i jedzenia, bez niczego. Tak na dziko, jak mówił

jej brat. A Ben o lasach w Willow Creek wiedział wszystko. Wiedział, że zajmują powierzchnię ponad czternastu tysięcy akrów i ciągną się przez dwa hrabstwa. Wiedział, że las rośnie głównie na wapieniu i piaskowcu, części płyty paleozoicznej, a to oznacza, że przez stan Iowa nigdy nie przechodził lodowiec. Ben pokazał jej też, gdzie można spotkać myszołowa rdzawoskrzydłowego, ptaka zagrożonego wyginięciem, którego nawet strażnik leśny Phelps nigdy przedtem nie widział.

Teraz była w tym lesie od kilku godzin i miała już dość. Może mama zauważyła, że Calli nie ma, może martwi się i szuka...

Griff nagle sapnął i otworzył oczy.

- Idziemy. Zrobimy sobie taki mały zjazd rodzinny. Którędy teraz?

Chudym brudnym palcem wskazała kierunek. Wstali i poszli. Para dosyć dziwna. Dziewczynka przodem, ojciec dokładnie za jej plecami, jedną rękę trzymając na jej ramieniu. Rękę tak ciężką, że dziewczynka idzie lekko przygarbiona.

Przeszli kawałek, jakieś sto metrów, do miejsca, gdzie zaczynał się kręty szlak zwany Szlakiem Szerokiego Liścia. Calli, kiedy wchodziła na tę wąską ścieżkę, zawsze wiedziała, czy tego dnia ktoś już tędy szedł. W nocy pająki snuły swoje pajęczyny, od gałęzi z jednej strony dróżki do gałęzi drzew po drugiej stronie. W świetle porannego słońca Calli widziała cieniutkie niteczki, zdające się mówić - omiń mnie. I tak robiła. Szła bardzo ostrożnie, starając się nie uszkodzić żadnej pajęczyny. Dziś też z tego właśnie powodu obeszła czerwony klon. Obeszła i zatrzymała się, ojciec też przystanął, bo nagle z prawej strony zaszeleściło i na ścieżkę wbiegł piękny rudy pies. Biegł z nosem przy ziemi. Kiedy ich mijał, zaczął obwąchiwać im stopy. Calli wyciągnęła rękę, żeby go pogłaskać, ale on popędził dalej, niosąc za sobą wspaniały puszysty rudy ogon.

- Jezu! - wykrzyknął Griff. - Ale mnie ten kundel przestraszył! Idziemy dalej.

Calli podczas swoich wypraw do lasu tylko raz czegoś się przestraszyła. Złękła się wrony. Piękna wielka wrona o czarnych jak sadza skrzydłach siedziała na krzywym konarze klonu i swoim natrętnym krakaniem zagłuszała wszystkie inne leśne dźwięki.

Calli spojrzała w górę. Żadnych wron. Tylko jakiś samotny szaropióry kowalik schodzi w dół po pniu drzewa, szukając robaków.

Griff przystanął.

- Calli, jesteś pewna, że dobrze idziemy?

Skinęła potakująco głową. Poszli dalej, po dziesięciu minutach zeszli ze Szlaku Szerokiego Liścia i weszli między krzaki jeżyn. Jeszcze kawałek i las się skończył. Wyszli dokładnie w miejscu, gdzie zaczynało się podwórze na tyłach domu Louisa. Przerośnięta trawa była mokra od rosy. Koło huśtawki wały się kije bejsbolowe, rękawice i mnóstwo innych rzeczy. Zielony van stał na podjeździe przed pięknym domem z brązową oblicówką. Cisza, słychać tylko brzęczenie pszczoł uwijających się wokół wędnących kęp margerytek.

Griff nie wyglądał już tak pewnie. Jego ręka na ramieniu Calli lekko drżała.

- Proszę, proszę... Ty też mogłabyś mieszkać w takim pięknym domu. Domu twojego prawdziwego tatusia! Chyba wpadniemy do niego, żeby powiedzieć mu dzień dobry? - Zarechotał głupim śmiechem i potarł ręką przekrwione oczy. Wyraźnie tracił animusz.

W tym momencie trzasnęły drzwi i z domu wyszła jakaś kobieta, w szortach i T-shircie, na bosaka. Do ucha miała przyciśniętą słuchawkę telefonu, do której prawie krzyczała.

- Oczywiście, jesteś na każde jej skinienie! Teraz też lecisz do niej jak na skrzydłach, bo jej najukochańsza córeczka gdzieś się zawieruszyła! Żona Louisa, Christine.

- Nie obchodzi mnie, że zaginęły jakieś dwie smarkule! Obchodzi mnie to, że nic innego dla ciebie się nie liczy! - wypluwała z siebie gorzkie słowa. - Wystarczy, że Antonia kiwnie palcem, a ty już stajesz na baczność!

Na chwilę zamilkła, słuchając tego kogoś na drugim końcu drutu, po czym dokończyła rozżalonym głosem:

- Och, daj mi spokój, Louis. Rób, co do ciebie należy, ale nie spodziewaj się, że z tego powodu będę skakać z radości!

Rozłączyła się, z pasją naciskając przycisk i zamachnęła się, jakby zamierzała cisnąć telefon w krzaki.

- Cholera! - Zreflektowała się i opuściła rękę, zaklęła jeszcze raz i weszła z powrotem do domu.

- Cholera - powtórzył Griff i spojrzał na Calli. - Czyli z tego wynika, że zaginęłaś. Ciekawe, kto ciebie podwędził?! Jezu! A więc jestem wstrętnym kindaperem! Wracamy, bo mi twoja matka głowę urwie!

Calli bez oporu dała się wprowadzić z powrotem między drzewa. Szła, pojękując cicho. Każdy krok była to dla niej męka. Ale szła, pragnąc jak najszybciej znaleźć się w domu, przy mamie, która zdejmie z niej tę cuchnącą koszulę, umyje Calli, zabandażuje nogi i położy do łóżka. Calli naciągnie kołdrę na głowę i będzie spać, spać, spać...

MARTIN

Byłem wszędzie, dokąd moja Petra chodziła najchętniej. W bibliotece, szkole, piekarni, w domu Kerstin i w domu Ryana. Teraz jestem w parku, na placu zabaw, pustym o tak wczesnej porze. Postąłem chwilę wśród huštawek, drabinek, wież i zjeżdżalni. W końcu wsiadłem do starej czarnej lokomotywy, którą kolej podarowała miastu, a miasto ustawiło na placu zabaw. Przedtem wymontowano z niej wszystkie niebezpieczne części, szkło zastąpiono plastikiem, zlikwidowano ostre kanty. Ja jednak nie jestem do końca przekonany, czy ta lokomotywa ze swoimi drabinkami, zakamarkami, penetrowanymi przez dzieci, jest bezpiecznym miejscem do zabawy. Nadal jest to wielka maszyna, a udostępniono ją małym dzieciom, które nie czują lęku. Widziałem malucha, jak wgramolił się na najwyższy punkt w lokomotywie i skoczył. Zadudniło. Byłem pewien, że połamał sobie wszystkie kości. A on wstał, otrzepał sobie spodniki i pobiegł dalej się bawić.

Ja również wspiąłem się na lokomotywę. Kiedy usiadłem okrakiem na jej czarnym grzbiecie, zrozumiałem dlaczego tak fascynuje dzieci. Też w pierwszej chwili poczułem zachwyt, wręcz uniesienie. Kiedy jesteś tam, gdzie najwyżej, a najkrótsza droga w dół to skok... wtedy po prostu masz ochotę pofrunąć.

Rozglądałem się dookoła, lustrując wzrokiem cały park. Pusto. Spoglądałem na swoje ręce, czarne od sadzy, którą lokomotywa przesiąkła do takiego stopnia, że nigdy nie będzie można zmyć jej do końca. Patrzę na czarne smugi na rękach i myślę o moim dziecku.

Tej nocy, kiedy urodziła się Petra, postanowiłem zostać w szpitalu do rana. Posiedzieć na krześle koło łóżka Fieldy na porodówce, krzesło wyjątkowo wygodnym. Byłem zaskoczony luksusami na porodówce. Ściany wyklejone były drogimi tapetami o delikatnych, pastelowych barwach. Ostrość światła regulowana, wystarczyło odpowiednio przekręcić wyłącznik i już miałeś światło łagodne, przytłumione. Łazienka z bąblem, czyli jacuzzi.

Byłem bardzo zadowolony, że Fielda rodzi w takim właśnie miejscu, pod opieką troskliwej położnej, która zaglądała do niej bardzo często, kładła rękę na jej czole i przemawiając serdecznie, dodawała Fieldzie odwagi.

W przeszłości zetknąłem się z całkiem inną rzeczywistością. Urodziłem się w Missouri, na farmie hodowlanej. Świń. Mam siedmioro rodzeństwa, siostry i braci, wszyscy ode mnie młodszy. Moja ciężarna matka do ostatniej chwili normalnie prowadziła dom, aż do momentu, kiedy nagle, czując pierwsze skurcze, łapała się za kuchenny blat. Jej surowa, dumna twarz wykrzywiła się z bólu. Wtedy robiłem się czujny. W końcu matka kazała mi biec do ciotki, u

której mieszkała też babka. Powiedzieć, żeby obie przyszły, bo już się zaczęło. Ten kilometr pokonywałem błyskawicznie. Jeśli było lato, biegłem na bosaka. W lecie zawsze chodziłem na bosaka, moja skóra była tak stwardniała, że nie czułem ziemi czy kamyków. Oczywiście, że wolałem chodzić w butach, ale matka kazała je oszczędzać, na niedzielę i do szkoły. A ja przeżywałem męki, że ludzie oglądają moje bose stopy z brudnymi paznokciami. Miałem zwyczaj stać na jednej nodze, jedną stopę zakrywałem drugą, podkurczając w niej mocno palce. Jak już mają oglądać, to przynajmniej niech widzą tylko jedną. Babcia i ciotka śmiały się ze mnie, nazywały mnie bocianem. Ale śmiały się tak serdecznie, że śmiałem się razem z nimi.

Kiedy przybiegałem do nich z nowiną, szybko ładowaliśmy się we trójkę do zdezelowanego forda i jechaliśmy do nas. Po drodze przejeżdżaliśmy koło chlewni. Ojciec machał do nas i uśmiechał się szeroko. Nasz widok był przecież dowodem, że niebawem na świecie pojawi się kolejny syn albo kolejna córka.

Jednym słowem, byłem synem farmera. Takim synem, który farmy nie kochał, tylko książki i liczby, co absolutnie jednak nie zwalniało mnie z moich obowiązków, czyli sprzątnięcia w chlewni i zanoszenia świniom żarcia. Uczestniczenia w uboju stanowczo odmówiłem. Mimo że nie miałem żadnych oporów, jeśli chodzi o jedzenie wieprzowiny. Ale nie wyobrażałem sobie, że mógłbym istotnie żywej odebrać życie. Dlatego kiedy nadchodził dzień uboju, znikałem. Nakładałem buty, mocno zawiązywałem sznurowadła i szedłem trzy kilometry. Kiedy dochodziłem do miasta, pląłem na palce i ścierałem z butów kurz. Sprawdzałem, czy faktycznie mam ze sobą kartę biblioteczną, zniszczoną od częstego używania, i maszerowałem do biblioteki, gdzie mogłem siedzieć nad książkami godzinami. Historia i numizmatyka, to były moje pasje. Bibliotekarka знаła mnie bardzo dobrze, często odkładała mi książki, o których wiedziała, że mnie zainteresują.

- Nie musisz oddawać ich za dwa tygodnie - mówiła mi konspiracyjnym szeptem, kiedy chowałem książki do płóciennej torby. Wiedziała, że niełatwo mi robić wycieczkę do miasta co dwa tygodnie.

Pod wieczór, kiedy było już po uboju, chyłkiem wracałem na farmę. Ojciec, mężczyzna wyjątkowo duży i mocny, jednocześnie bardzo łagodny, nie robił mi wymówek. Aż do chwili, kiedy ukończyłem dwanaście lat. Wtedy to, kiedy po wymiganiu się od farmerskiego obowiązku wracałem do domu, czekał na mnie oparty o ogrodzenie koło chlewni. Jego zwykle pogodna twarz wcale nie była pogodna, a potężne ramiona były groźnie skrzyżowane na potężnej piersi. Miałem wielką ochotę rzucić płócienną torbę z książkami na ziemię i zwać. Ale nie zrobiłem

tego. Tylko na sztywnych nogach podszedłem do ojca, wpatrującego się nieruchomym wzrokiem w moje zakurzone buty. Buty do kościoła i do szkoły.

- Martin - odezwał się ponurym głosem, jakiego nigdy jeszcze u niego nie słyszałem. - Martin, spójrz na mnie.

Podniosłem głowę, spojrzałem mu w twarz i nagle poczułem na sobie cały ciężar jego rozczarowania.

- Martin, jesteśmy jedną rodziną. A nasz rodzinny interes to hodowla świń. Wiem, że ty się tego wstydzisz...

Pokręciłem głową, bardzo energicznie. Bo naprawdę wcale tak nie uważałem.

- Martin - mówił dalej ojciec - wiem, że wstydzisz się mojej brudnej roboty. Ale ja się tego nie wstydzę. Jestem, kim jestem. Hodowcą świń. A ty jesteś synem hodowcy świń, przynajmniej na razie. Ja nie czytam takich grubych książek jak ty, ale dzięki mojej pracy jest co do garnka włożyć i masz na nogach buty. Niestety, jesteś najstarszy z rodzeństwa i musisz mi pomagać. W czym konkretnie, to już twoja sprawa. Zastanów się nad tym. Zamiast uciekać do miasta, musisz mi pomagać. Jasne? Daję ci czas do jutra.

Tej nocy prawie nie spałem, zastanawiając się, w czym ja, dwunastoletni chłopak, mogę pomóc swojej rodzinie. Pilnowanie młodszego rodzeństwa wcale mi się nie uśmiechało, do prac manualnych, jak naprawy czy prace budowlane, absolutnie nie miałem smykałki. W czym byłem dobry, oprócz czytania książek? W matematyce. I wtedy wpadłem na pomysł...

Następnego ranka, kiedy ojciec wszedł do kuchni, czekałem już na niego przy kuchennym stole.

- Tato, wiem już, jak mógłbym pomóc - odezwałem się nieśmiało.

Ojciec uśmiechnął się.

- Wiedziałem, że coś wymyślisz - powiedział i usiadł koło mnie.

Wtedy mu wszystko wyłożyłem. Powiedziałem o sytuacji finansowej farmy, wspomniałem o pewnych niedociągnięciach, oczywiście starając się nie wymądrzać. Po czym oznajmiłem, że mogę pilnować przepływu gotówki. Znajdę sposób, jak oszczędzać i zwiększyć wydajność. Ojciec był zadowolony z mojego planu, ja bardzo dumny, że uwierzył we mnie.

Nasza farma nigdy nie zmieniła się w żyłę złota, ale poziom życia zdecydowanie nam się podniósł. Mogliśmy pozwolić sobie na sporo nowoczesnych sprzętów domowych i założyć telefon. Każde dziecko dostało parę butów, nikt już nie musiał chodzić na bosaka. Chociaż w lecie tylko ja chodziłem w butach, moje rodzeństwo i tak ganiało na bosaka. A kiedy miałem

szesnaście lat, zimą, tuż przed urodzinami ojca, wziąłem naszą ciężarówkę i pojechałem do jedyne go supermarketu w okolicy, gdzie sprzedawano dosłownie wszystko. Tam ponad dwie godziny spędziłem na kontemplowaniu dwóch modeli odbiorników telewizyjnych, rozważając wszystkie „za” i „przeciw”. W końcu zdecydowałem się na dwunastocalowy z anteną pokojową. Kupiłem i owinąwszy go kocami, żeby przetrwał jazdę po wyboistej drodze, położyłem w szoferce na fotelu obok. Wróciłem do domu i tego wieczoru, kiedy ojciec po wieczornym obrzędzie wrócił z chlewni, wszyscy, czyli mama i ośmioro dzieci, zebraliśmy się w pokoju dziennym. Cała dziewiątka, wystarczająca liczba osób, żeby zasłonić urodzinowy prezent.

- Co się dzieje? - spytał zdziwiony ojciec.

Rodzina w komplecie był to rzadki widok, wyjąwszy oczywiście wspólne kolacje.

Matka zaczęła śpiewać urodzinową piosenkę, reszta zawtórowała. A pod koniec piosenki rozsunęliśmy się, żeby odsłonić malutki, czarno-biały telewizor, ustawiony na półce.

- A co to ma być? - spytał ojciec.

My wszyscy uśmiechnęliśmy się od ucha do ucha, a Lottie, moja młodsza siostra, siedmiolatka, zaczęła piszczeć:

- Tato, włącz, włącz!

Ojciec podszedł do odbiornika i nacisnął przycisk. Pokazywali akurat jakieś show. Wszyscy zachwyceni wlepili oczy w ekran, śmiali się głośno, a ojciec w pewnej chwili odciągnął mnie na bok, położył mi rękę na karku i spojrzał mi głęboko w oczy. Byliśmy już prawie tego samego wzrostu.

- Mój chłopak - szepnął. - Moja krew...

Nigdy przedtem ani potem tak się nie wzruszyłem. Do chwili, gdy moja Petra po raz pierwszy powiedziała:

- Ta... ta...

Poród był długi. Kiedy wreszcie pozwolono mi wziąć małą na ręce, nie mogłem uwierzyć, że natura potrafiła stworzyć coś tak doskonałego jak moja Petra.

Prześliczna istotka o długich czarnych rzęsach, czarnych włoskach i mięciutkiej fałdce pod szyjką. Z malutkimi usteczkami, poruszającymi się pracowicie. Ruchem ssącym, oczywiście.

Teraz siedzę w parku na starej lokomotywie i zrozpaczony kryję twarz w umazanych sardzą dłoniach.

Moja Petra... Nie mogę jej odnaleźć.

Nie mogę znieść myśli o powrocie do domu bez dziecka.

Przed oczyma mam twarz Fiely, zboloną, w oczach wielkie rozczarowanie. Wstydę się, jak wtedy, gdy rozczarowałem swego ojca. Znów nie wywiązałem się ze swoich obowiązków, tym razem jako ojciec.

Gdzie szukać mojej córeczki? Nie wiem.

ZASTĘPCA SZERYFA LOUIS

W drodze do domu Gregorych kontaktuję się z szeryfem, Henrym Mottsem, żeby przekazać mu najświeższe informacje, także powiadomić, że odnośnie tej sprawy mam jak najgorsze przeczucia. Wcale nie uważam, że te dwie dziewczynki wymknęły się z domu i poszły gdzieś się bawić.

- Masz jakieś dowody? - pyta Motts.

- Nie, nie mam żadnych dowodów. Nie ma śladów włamania ani śladów walki w pokoju żadnej z dziewczynek. Mam jednak przeczucie, że to paskudna sprawa, Motts. Powinna włączyć się w to policja stanowa. Niech przyślą kogoś, żeby powęszył. Poza tym, wiadomo, pomoc się przyda, nasze możliwości są bardzo ograniczone.

- Fakt. Dzwonię do nich. Będziemy potrzebować techników z laboratorium?

- Na razie nie. Mam nadzieję, że w ogóle nie będą potrzebni. Poczekamy, zobaczymy. Myślę, że trzeba też zmobilizować naszych rezerwistów.

Koniecznien. Willow Creek ma około ośmiu tysięcy mieszkańców, jesienią, kiedy zjeżdżają studenci college'u liczba ta zwiększa się o dwieście osób. A policjantów garstka. Zaledwie dziesięciu, na służbie jest zwykle trzech. Za mało, żeby zorganizować poszukiwania dwóch siedmiolatek

- Louis, myślisz, że to coś podobnego do sprawy McIntire z zeszłego roku? - pyta Motts.

- Przyznaję, że zastanawiałem się nad tym.

Wtedy też nie było żadnych śladów, a potem okazało się, że dziesięcioletnia Jenna McIntire została uprowadzona i zamordowana. Trudno więc było nie kojarzyć obu tych spraw i nie obawiać się, że obu siedmiolatkom mogło przytrafić się coś podobnego.

PETRA

Nie mogę ich dogonić. Idą za szybko. Ale on mnie zauważył, na pewno, bo odwrócił głowę i uśmiechnął się. Nie mogliby na mnie poczekać? Wołam za nimi, a oni wcale się nie

zatrzymują. Są gdzieś tam, przede mną. Nie wiem dokładnie, gdzie, ale są na pewno, słyszę głosy.

Postaram się ich jednak dogonić.

CALLI

Było coraz bardziej gorąco. Cykady cykały jak najęte, a tato milczał. W jego przypadku to raczej rzadkość. Calli domyślała się, że tato po prostu nad czymś się zastanawia. Czymś, co dla niej wcale nie byłoby miłe, dlatego starała się o tym nie myśleć. Starala się zająć czymś innym, na przykład wpatrywać się w pnie drzew i gałązki, i wyszukiwać wzrokiem przyklepione do nich cienkie skorupki, w których ukrywają się poczwarki cykad. Naliczyła dwanaście. Ben zbierał te skorupki. Zdejmował je z drzewa bardzo ostrożnie i wkładał do starego wyścielonego czerwonym aksamitem pudełeczka, które kiedyś należało do ich babci. Często wołał Calli, żeby przyszła popatrzeć, jak groźnie wyglądająca cykada wychodzi ze swojej starej skóry. Skorupka zaczynała pękać, wychodził z niej biały robak o wilgotnych skrzydłach. Wychodził, po czym czekał cierpliwie, aż stwardnieje jego nowy szkielet. A w opustoszałej skorupce zostawały tylko maciupęńkie nóżki, pozostałość po poprzednim życiu.

- Nawet jego żona widzi, co się dzieje - wymamrotał nagle tato.

Serce Calli zabiło szybciej. Liczyła dalej. Trzyście, czterście...

- Nawet jego żona widzi to! - powiedział tato o wiele głośniejszym głosem. - Toni z każdym problemem leci do niego. Nie do mnie, do swojego męża, tylko do Louisa! A ja od tylu lat jestem ni-by twoim tatusiem! Od tylu lat!

Palce taty wpiły się w ramię Calli. Twarz taty była purpurowa od upału, pot spływał po czole. Nad głową krążyły maciupęńkie komary, kilka z nich usiadło mu na twarzy. Jak drobinki pyłku.

- Czy ty wiesz, jak ja się czuję, kiedy wszyscy, dosłownie wszyscy wiedzą, co się dzieje z twoją matką?!

Pchnął Calli. Bardzo mocno. Upadła na ziemię i wystraszona zaczęła cofać się na czworakach, jak krab. Łzy płynęły po policzkach. Dlaczego tato tak mówi? Przecież to on jest jej tatusiem. Mają takie same małe uszy, takie same piegry na nosie. Podczas świąt Bożego Narodzenia wyjmowano zawsze wielki album ze zdjęciami, oprawiony w zieloną skórę. Było tam mnóstwo zdjęć Bena i Calli w różnym wieku, także zdjęcia ich rodziców. Sześciomiesięczna Calli na ko-

lanach ojca wyglądała prawie identycznie jak tato, kiedy był malutki i siedział na kolanach swojej mamy.

Tuż nad sobą zobaczyła wykrzywioną ze złości twarz taty.

- Ty... ty... - wyszczał. - Łazisz po moim domu, a to wcale nie twój dom! Ach, ty!

Kopnął ją. Nie za mocno, w ostatniej chwili cofnął nogę, ale czubek buta i tak zdążył trafić w goleń dziewczynki.

- Jak wrócimy do domu, powiesz matce, że sama polazłaś do lasu. Zabłądziłaś, a ja ciebie znalazłem. Zrozumiano?!

Próbował ją jeszcze raz kopnąć. Poderwał nogę, ale Calli szybko odsunęła się, osłaniając głowę rękami. Tato zachwiał się i przewrócił na stos połamanych, ostrych gałązek.

- Do cholery! - ryknął, spoglądając na swoje podrapane ręce.

Calli pierwsza poderwała się z ziemi, gotowa do ucieczki. Tato wyciągnął rękę, chwycił ją za ramię, ale palce nie zdążyły się zacisnąć. Calli odwróciła się na pięcie, wykonując coś w rodzaju bardzo niezgrabnego piruetu, wysunęła się spod jego ręki i umknęła w las.

ANTONIA

Siedzę przy kuchennym stole i czekam. Louis powiedział, że bym nie wchodziła do pokoju Calli, bo będą chcieli przejrzeć jej rzeczy, może natrafią na coś, co pomoże zorientować się, dokąd dziecko poszło. Więc nie wchodzę tam, tylko siedzę w kuchni. Czekam i rozmyślam. Martin martwi się o swoją Petrę o wiele bardziej niż ja o Calli. Jestem złą matką? Ale Calli z natury jest włóczykijem. Kiedy szłyśmy razem do sklepu, wystarczyło, że na moment spuściłam ją z oka, studiując nalepkę na jakimś słoiku, a Calli już nie było. Latałam jak wariatka między regałami, szukając dziecka. Raz znalazłam ją w dziale mięsnym, a innym razem przed akwariem z homarami.

- Mamusiu, popatrz! - powiedziała, postukując pulchnym paluszkiem w szklaną ścianę. - One mają związane rączki. Na pewno je to boli!

No cóż... Mogłam tylko zwichrzyć żartobliwie mięciutkie ciemnobrązowe włoski i zapewnić:

- Nie, skarbie. Nie boli ich.

- Ale one tęsknią za oceanem! Mamusiu, kupmy je wszystkie i wypuścimy je do rzeki.

- Niestety, kochanie. W rzece umrą, mogą żyć tylko w wodzie oceanu.

Calli ze smutną miną jeszcze raz zastukała w akwarium i posłusznie poszła za mną. Oczywiście, było to dawno temu, kiedy Calli jeszcze mówiła. Kiedy nie zastanawiałam się, czy kiedykolwiek jeszcze usłyszę jej głos. Kiedy nie śnił mi się zawsze ten sam sen. Sen, w którym moja córeczka mówiła do mnie.

Do Griffa na komórkę dzwoniłam już chyba kilkadziesiąt razy. Nie odbiera. Zastanawiałam się, czy nie zadzwonić do jego rodziców. Też mieszkają w Willow Creek, w śródmieściu. Ale zrezygnowałam. Między Griffem a jego rodzicami nigdy nie było dobrze, poza tym oni pili jeszcze więcej niż on. Tak naprawdę to było prawie tak, jakby nie miał rodziców. Myślę, że między innymi z tego powodu zbliżyliśmy się do siebie. On czuł się samotny, ja też. Moja matka umarła, ojciec po jej śmierci pogrążył się w rozpacz. Z Louisem rozstałam się, na spokojnie, bez żadnego przedstawienia. Obojgu nam po prostu było bardzo przykro. Griff natomiast miał tylko rodziców alkoholików, w stosunku do syna bardzo obojętnych. Siostra Griffa wyjechała, starając się uciec jak najdalej od dramatu życia z rodzicami alkoholikami. Na początku, kiedy Griff i ja staliśmy się parą, było nam bardzo dobrze ze sobą. Cieszyliśmy się z posiadania drugiego, bliskiego człowieka. Niestety, potem było już inaczej...

Wyjmuję z szuflady ściereczkę do naczyń. Zaczynam machinalnie składać ją i rozkładać, zastanawiając się jednocześnie, czy nie powiadomić moich braci o tym, co się stało. Rezygnuję. Nie czuję się na siłach ubierać w słowa przerażający fakt, że Calli zaginęła. A może stało się coś jeszcze gorszego.

Wyglądam przez okno. Widzę Martina i Louisa, wysiadających z samochodu Louisa. Koszula Martina jest już przepocona upałem tego dnia. Dziewczynek nie ma z nimi. Ale Ben je odnajdzie. Ja to wiem. On, Calli i Petra myślą podobnie. Dlatego kto jak kto, ale Ben na pewno je odnajdzie.

ZASTĘPCA SZERYFA LOUIS

Martin Gregory i ja podchodzimy do drzwi domu Toni. Martinowi nie powiodło się, nie odnalazł ani swojej córki, ani córki Toni. Mam cichą nadzieję, że teraz obie dziewczynki, całe i zdrowe, zastaniemy w kuchni, zajadające się naleśnikami Toni. Albo okaże się, że przed sekundą dzwoniła Fielda, że dziewczynki właśnie pojawiły się u niej.

Niestety, twarz Toni, witającej nas w progu, wcale nie jest radosna. Patrząc na Tonie i myślę, że nadal jest bardzo piękna. Stoi przed nami ubrana tak, jak zawsze ubierała się w lecie. Szorty z denimu, T-shirt bez rękawów. Na bosaka, opalona na brąz.

- Nie znaleźliście ich - stwierdza. Tak, stwierdza, bo to nie jest pytanie.

- Nie - mówię i obaj z Martinem przekraczamy próg. Toni prowadzi nas nie do salonu, jak poprzednim razem, lecz do kuchni, gdzie na kuchennym blacie stoi dzbanek z mrożoną herbatą i trzy szklanki z kostkami lodu.

- Za gorąco na kawę - mówi i zaczyna nalewać herbatę. - Proszę, siadajcie.

Siadamy.

- Toni, może ty masz jakiś pomysł, gdzie one mogą być? - pyta Martin. W jego głosie słychać rozpacz.

- Las - mówi krótko Toni. - Ben szuka teraz w lesie. On dokładnie wie, dokąd chodzi Calli.

Dziwne, że mówi to tak spokojnie. Jakby nie docierało do niej, że sytuacja jest naprawdę poważna.

- Czy Calli często chodzi sama po lesie, Toni? - pytam.

- Dla niej las to jak drugi dom. Jak zresztą dla nas wszystkich, Lou. Ale nigdy nie odchodzi od domu za daleko.

- Nasza Petra nigdy nie chodzi do lasu sama - mówi Martin stanowczo, ale absolutnie nie napastliwie. - Zawsze pod opieką dorosłych. W lesie jest zbyt niebezpiecznie. Poza tym Petra nie zna dobrze lasu, mogłaby zablądzić.

A ja przez moment przetrawiam fakt, że Toni zwróciła się do mnie jak kiedyś, dawno temu. Lou. Nie zwracała się do mnie tak od lat. Od dnia swych zaręczyn z Griffem mówi do mnie jak wszyscy - Louis. Jakby w ten sposób odgradzała się ode mnie ostatecznie.

- Ben wkrótce tu się zjawi, Martin - mówi Toni łagodnym głosem. - Jestem pewna, że przyprowadzi obie dziewczynki.

- Może my też powinniśmy pójść do lasu? - zastanawia się Martin. - Im więcej osób będzie szukać, tym większa szansa, że je odnajdziemy!

- Martin, spokojnie - mówię. - Po pierwsze, nie wiadomo na sto procent, czy dziewczynki poszły do lasu. Niedobrze, jeśli skupiać się będziemy tylko na jednym wariantcie, pomijając inne. Po drugie, w lesie, jak powiedziała Toni, szuka Ben. Poszli już tam też policjanci. Mam nadzieję, że jeśli dziewczynki faktycznie są w lesie, nie schodzą ze szlaku. Aha, i jeszcze jedno. Powinno się podać do publicznej wiadomości, że zagubiły się dwie dziewczynki...

- Zagubiły! - krzyczy Martin, poczerwieniały z gniewu. - Ja nie zagubiłem mojej córki! Wczoraj wieczorem położyłem ją spać. O wpół do dziewiątej. A kiedy obudziłem się rano, jej

łóżko było puste! Była w piżamie, na litość boską! Czy do ciebie nie dociera, że ktoś mógł ją wywabić z jej pokoju, ktoś...

- Martin, ja wcale nie sugeruję, że ty czy Toni nie dopilnowaliście swoich dzieci. Po prostu nie ma dowodów, że ktoś ją uprowadził z domu. Nie ma śladów włamania, poza tym nie ma tenisówek Petry. Gdyby ktoś ją uprowadził, myślisz, że czekałby, aż ona nałoży tenisówki?

- Przepraszam - mówi Martin i wzdycha ciężko. - Ale mnie po prostu trudno sobie wyobrazić, że Petra sama wyszła z domu. Jeśli dziewczynki faktycznie nie zostały... uprowadzone, a nie ma ich w innych, ich ulubionych miejscach, las rzeczywiście wydaje się najbardziej logicznym rozwiązaniem. Zwłaszcza, że Calli jest z lasem tak obyta.

Toni kiwa głową.

- Tak. Las, jak powiedziałam, to dla Calli jak drugi dom. Założę się, że niebawem zjawi się tu Ben z naszymi dwoma skruszonymi uciekinierkami.

- Toni, a jak z butami Calli? - pytam. - Czy brakuje którejś pary?

- Nie wiem. Musiałabym sprawdzić.

Wstaje i idzie po schodach na piętro, do pokoju córki. Martin wypija łyk herbaty i odstawia szklanę. Wyraźnie nie wie, co zrobić z rękami. Dlatego znów sięga po szklanę.

- Sam nie wiem, jak to się stało, że Petra i Calli tak się zaprzyjaźniły - mówi po chwili. - Tak naprawdę są bardzo różne, poza tym Calli nie mówi. A Petra, kiedy na przykład prosi, żeby zrobić im kanapki, mówi, że dla Calli z masłem orzechowym, bo ona nie lubi dżemu. Skąd Petra to wie? Nie mam pojęcia.

- A ja mam - słychać łagodny głos Toni, wkraczającej do kuchni. W jednym ręku trzyma podniszczone tenisówki, w drugim klapki w identycznym stanie. - Pokrewieństwo dusz - mówi, odpowiadając na nasze niewątpliwie pytające spojrzenia. - Jedna w drugiej czyta jak w otwartej książce. Dlatego Petra wie, w co chce się bawić Calli, co by zjadła, czy nic ją nie boli. Wie wszystko, tak samo jak Calli wie wszystko o Petrze. Petra boi się burzy. Calli zabiera ją wtedy do swojego pokoju i nastawia bardzo głośno muzykę, żeby zagłuszyć grzmoty. Zawsze wyczuje, kiedy Petrę coś gnębi, choć Petra stara się to ukryć. Calli, żeby ją rozweselić, robi takie zabawne miny. Rozśmiesza nimi nas wszystkich. A dziewczynki są najlepszymi przyjaciółkami, co bardzo mnie cieszy. Petra nie przejmuje się, że Calli nie mówi, a Calli nie przejmuje się, że Petra boi się burzy i nadal czasami ssie palec. A co do butów... - Toni podnosi obie ręce, demonstrując klapki i tenisówki. - Są w domu. Innych, jak na razie, nie ma. Nowe buty do szkoły mieliśmy kupić w przyszłym tygodniu. Aha, Calli ma jeszcze kowbojskie buty po Benie, ale są

w garażu, widziałam je. Czyli teraz... teraz Calli jest bez butów. A Calli nigdy nie chodzi do lasu na bosaka...

Nagle broda Toni zaczyna drżeć. Po raz pierwszy od chwili zaginięcia dziewczynek Toni jest przerażona. Podchodzę do niej i kładę rękę na jej ramieniu. Toni wcale nie odsuwa się ode mnie.

BEN

Sprawdziłem wszystkie miejsca, dokąd chodzimy się bawić. Najpierw Zakątek Siedmiu Wierzb, gdzie lubimy złapać się za wiotkie gałęzie płaczącej wierzby i kołysać się na nich, udając małpy. Zajrzałem pod każdą wierzbę, pewien, że pod którąś z nich was znajdę. Ale was tam nie było, poszedłem więc do Mostu Samotnego Drzewa, tego chudego drzewka, które prze-waliło się przez strumień, a potem nad jezioro, koło którego szukamy zawsze żab nadrzew-nych.

Nie ma was. Nigdzie. Zaczynam się zastanawiać, czy przypadkiem tato nie zabrał was na ryby. Z nim nigdy nic nie wiadomo. Raptem przypomniał sobie, że jest ojcem. Tato taki jest. Całymi tygodniami nas nie dostrzega, a potem nagle zabiera nas dokądś, gdzie naprawdę jest bardzo fajnie. Mnie raz zabrał na ryby. Poszliśmy nad strumień wieczorem, tylko on i ja. Nie mieliśmy dżdżownic, dlatego zwinęliśmy z lodówki trochę sera Velveeta. Usiedliśmy na brzegu w miejscu, gdzie strumień jest najszerszy. Dużo nie gadaliśmy. Tłukliśmy komary i wyciąga-liśmy z wody sam drobiazg. Założyliśmy się, że kto wyciągnie najmniejszą rybkę, wygrywa pięć dolców. Ja złapałem sumika wielkości gupika, autentycznie. Jedliśmy orzeszki, skorupki wrzucaliśmy do wody i popijaliśmy wodą sodową. Kiedy słońce zaczęło zachodzić, usłyszeli-śmy cykanie świerszczy. Tato powiedział, że z tego cykania można się zorientować, jak dzisiaj było ciepło. Trzeba policzyć, ile razy taki świerszcz sobie cyknie za jednym zamachem. Śmia-łem się, ale tato powiedział mi dokładnie, jak to jest. Tak w ogóle było super. Dlatego myślę, że tato chciał się teraz z tobą zintegrować i razem z Rogerem zabrali cię na ryby. Ciebie i Petrę. Tylko zapomniał powiedzieć o tym mamie. Chociaż z drugiej strony trudno mi uwierzyć, że faceci wzięli na ryby dwie małe dziewczynki. Ale z ojcem, jak wspomniałem, nigdy nic nie wiadomo.

Zawsze byłaś fajna, Calli. Pamiętam, jak zaczynałaś chodzić. Kiwałaś się jak kaczka. Ja miałem wtedy sześć lat. Kiedyś mama powiedziała, żebyśmy poszli bawić się na dworze. Cho-dziłaś za mną i próbowałaś robić to samo, co ja. Zbierałem pod jabłonią poobijane jabłka i rzu-

całem sobie nimi w garaż. Ty, oczywiście, to samo. Trochę mnie wkurzało, jak tak łąziłaś za mną. Ale lubilem, kiedy wołałaś do mnie „be... be...”, co miało oznaczać Ben...

Mama śmiała się i mówiła:

- Calli bardzo kocha swego starszego brata. Prawda, Calli?

Ty śmiałaś się, piszczałaś swoje „be... be...”, podchodziłaś do mnie i z całej siły ścisłaś moją nogę.

Kiedy skończyłem siedem lat, dostałem na urodziny buty kowbojskie. Naprawdę ekstra. Czarne z czerwoną stebnowką. Nosilem je bez przerwy. Nie wiem, czy to możliwe, żeby taki mały dzieciak zazdrosny był o buty. Ale tak chyba było. Kiedy próbowałaś ściągnąć je z moich nóg po raz pierwszy, ja byłem zły, a mama ryczała ze śmiechu. Aż musiała usiąść na podłodze. Nie mam pojęcia, co ty sobie wymyśliłaś. Bałaś się, że kocham te buty bardziej niż ciebie, czy podobało ci się, jak się wściekam. W każdym razie przez długi czas było to twoje ulubione zajęcie. Zwykle udawało ci się zdjąć mi jeden but. Wcale niełatwo było mi się bronić. Byłaś przecież malutka, nie mogłem cię odepchnąć czy kopnąć. Gdybym coś takiego zrobił, miałbym za swoje. Najczęściej podkradałaś się do mnie, kiedy oglądałem telewizję. Przyklejałaś się do buta, w końcu on sam zsuwał mi się z nogi. Wtedy uciekałaś, oczywiście razem z butem. Najczęściej zrzucałaś go ze schodów albo wyrzucałaś na podwórze. Aż w końcu wrzuciłaś go do sedesu. Szok. Mama uprała ten but i wysuszyła na słońcu, jednak ja powiedziałem, że dziękuję, ale tych butów nigdy już nie nałożę. Ty natomiast nie miałaś żadnych oporów. Były teraz twoje, choć o wiele za duże. Nosiałaś je bez przerwy. Do szortów, do sukienki, nawet kiedy byłaś w piżamie. Potrafiłaś w nich zasnąć, mama nieraz ściągała ci je z nóg. Teraz też czasami je zakładasz. Tak naprawdę wcale nie byłbym zdziwiony, gdyby okazało się, że masz je teraz na nogach.

Dokładnie nie pamiętam, kiedy przestałaś mówić. Wiem, że miałaś wtedy cztery lata, ja dziewięć. Pamiętam, jak chodziłaś za mną w tych moich butach, opowiadałaś jakieś durne kawały i śmiałaś się do rozpuku, a ja, niby znudzony, wywracałem oczami. A potem jak ręką uciął. Cisza w całym domu. Taka, jak po porządnej burzy śnieżnej. Wychodzisz na dwór, wszędzie białe, nikt jeszcze nie odgarnął śniegu. I cicho. Wrzeszczysz, żeby usłyszeć choć swój własny głos. Ale on do twoich uszu nie wraca, gdzieś tam wchłania go puszysta biel.

CALLI

Calli zbiegała po zboczach krętym Szlakiem Szerokiego Liścia, prowadzącym do strumienia. Biegła, wciągając głęboko w płuca świeże leśne powietrze, przesycone tyłoma zapachami. Przerazona, słyszała przecież, że tę samą drogę kawałek za nią pokonuje rosłe ciało taty. A jej brakło już sił, w boku kłuło. Gdzie się schować? Niedaleko dróżki zauważyła kilka przewalonych drzew. Jedno upadło na drugie, tworząc coś w rodzaju wału. Podbiegła tam, przykucnęła po drugiej stronie płataniny pni i sękatych konarów i szybko nazgarniała na siebie tyle zielonych gałązek, żeby jej różowa koszulka była niewidoczna.

Minuty mijały. Tato się nie pojawiał. Cisza, tylko w górze jakiś dzięcioł pracowicie stukał w drzewo. Mimo upału Calli drżała. Ze strachu, przed oczyma wciąż miała obraz rozgniewanego taty.

Tato zły. Zamknęła oczy, z nadzieją, że ten obraz zniknie. Znikł, ale pod powiekami zaczęły przesuwać się inne obrazy, jeszcze straszniejsze.

Tamten dzień. W grudniu. Calli miała cztery lata. Ben poszedł z kolegami na sanki, a mama, wtedy w ciąży, z wielkim brzuchem, robiła dla Calli gorące kakao. Do gorącej czekolady wrzucała mięciutkie ślazowe cukierki, potem dodawała kostkę lodu, żeby kubek nie był taki gorący. Calli siedziała przy kuchennym stole i rysowała.

- Jak nazwiemy maluszka, Calli? - spytała mama, stawiając przed nią kubek z czekoladą.
- Pij powoli, żebyś się nie poparzyła.

Calli odsunęła na bok swoje dzieło. Oczywiście narysowała pięknie ustrojoną choinkę, renifera i okrągłutkiego świętego Mikołaja.

- Może... lodzik na patyku? - odpowiedziała, rozgniatając łyżeczką rozpuszczający się cukierek.

- Lodzik? - Mama roześmiała się. - Bardzo oryginalnie. A na drugie?

- Babeczka!

- Babeczka? To ma być jej drugie imię?

- Tak. I jeszcze Tort Urodzinowy. Trzy imiona. Lodzik Babeczka Tort Urodzinowy.

- Bardzo ładnie - pochwaliła mama. - Boję się tylko, że jak będę ją wołać, zaraz zrobię się głodna. Co myślisz o Lily albo Evelyn? Moja mama miała na imię Evelyn...

Drzwi na tyłach domu otworzyły się, wpuszczając do środka podmuch mroźnego powietrza.

- Tato! Tato!

Calli, piszcząc z radości, stanęła na krześle. Wyciągnęła ręce i kiedy Griff przechodził obok niej, chwyciła go za szyję.

Griff bezskutecznie próbował posadzić ją z powrotem na krześle.

- Poczekaj, Calli. Najpierw chcę porozmawiać z mamą.

Ale Calli nie puszczała. W rezultacie ojciec, kiedy podchodził do matki, trzymał Calli na swoim biodrze. Calli, czując zapach piwa, skrzywiła się.

- Myślałam, że zobaczę cię wcześniej - odezwała się Antonia, głosem spokojnym, wcale nie robiła mu wyrzutów. - Czy coś zatrzymało cię w mieście?

- Nie było mnie przez trzy tygodnie. Kilka godzin chyba nic nie znaczy - odparł Griff, równie pogodnym głosem. - Wpadłem do O'Leary'ego na drinka, razem z Rogerem.

Antonia zmierzyła go wzrokiem od stóp do głów.

- Coś mi się wydaje, że to nie był jeden drink! I jednak się dziwię. Nie było cię cały miesiąc. Normalny człowiek przede wszystkim chce zobaczyć się z rodziną.

- Ale z kumplami też!

Atmosfera robiła się już napięta. Calli zaczęła się wiercić, próbując oswobodzić się z rąk ojca. Ale Griff trzymał ją mocno. Podeszedł do lodówki i zajrzał do niej. Piwa nie ma. Rozczarowany, huknął drzwiami. Wszystkie butelki zabrzęczały.

- Griff, nie kłóćmy się!

Antonia podeszła do męża i objęła go. Niezręcznie, wielki brzuch przecież przeszkadzał. Calli wyciągnęła ręce do matki, ale Griff nie puścił jej. Usiadł przy kuchennym stole i posadził sobie córeczkę na kolanach.

- U O'Leary'ego dowiedziałem się bardzo ciekawych rzeczy - zaczął obojętnym tonem, jakby nigdy nic. Ale Antonia domyślała się, co zaraz nastąpi. - Podobno Loras Louis niedawno był tu z wizytą.

- Och! - Antonia odwróciła się do kredensu i zaczęła wyjmować płaskie talerze. - Po prostu w zeszłym tygodniu odgarnął śnieg z naszego podjazdu. Wpadł tutaj, żeby sprawdzić, co się dzieje z panią Norland.

Listonosz zgłosił mu, że pani Norland nie wyjmuje poczty ze swojej skrzynki. Na szczęście pani Norland czuje się dobrze. Wychodząc od pani Norland, Louis zobaczył, jak odgarniam śnieg i postanowił mnie wyręczyć... - Antonia odwróciła się, żeby zobaczyć reakcję Griffa. - Ben nie mógł tego zrobić. Źle się czuł, wymiotował. Musiałam zabrać się za to sama.

A Louis po prostu mi pomógł. Jestem przecież w ciąży, prawda? A on nawet nie wszedł do naszego domu.

Griff z nieruchomą twarzą nadal wpatrywał się w Antonię.

Antonia zaśmiała się, bardzo niewesoło.

- Niepojęte! Ty myślisz, że my... Griff, przecież to siódmy miesiąc! A zresztą... Myśl sobie, co chcesz. Idę się położyć.

Wyszła z kuchni, zaraz potem Calli usłyszała ciężkie kroki mamy na schodach.

Griff, nadal trzymając mocno Calli, poderwał się z krzesła. Też wyszedł z kuchni.

- Stój! - ryknął, zatrzymując się przed schodami. - Jeszcze nie skończyłem! Nie chcesz się dowiedzieć, co wszyscy o tobie gadają?

Calli widziała pulsującą żyłę na jego skroni, postronki żył na szyi. Przestraszyła się. Zaczęła się szarpać, krzyczeć rozpaczliwie.

- Puść ją, Griff! - zawołała z góry Antonia. - Ona się ciebie boi!

- Co się boi! Co się boi! - Rozjuszony Griff zaczął wchodzić po schodach, pokonując po dwa stopnie. - Ty dziwko! - ryczał, plując na wszystkie strony. - Znowu się z nim spiknęłaś! Haruję jak wół, żeby utrzymać rodzinę, a ty obściskujesz się z tym gliniarzem!

Był już na szczycie schodów. Dopadł do Antonii i złapał ją za ramię.

- Dziwka!

Histeryczny płacz Calli omal go nie zagłuszył.

- Mamusiu! Ja chcę do mamusi!

- Zamknij się! - wrzasnął Griff i cisnął dziewczynkę na podłogę. Głowa Calli kilkakrotnie odbiła się od twardego drewna. Dziecko ucichło, wlepiając przerażone oczy w matkę. Antonia próbowała odepchnąć się od męża, ale on trzymał ją mocno za ramię. Odsuwała się od niego kawałek i wracała, jakby byli związani ze sobą gumową taśmą. Odsuwała się i przysuwała kilka razy.

A potem upadła. Na plecy. I na schody. Mąż i córka zastygli z przerażenia, patrzyli, jak ciężarna Antonia spada na dół.

Calli zaczęła krzyczeć przeraźliwie. Griff zbiegł pędem na dół i przykląkł przy żonie. Antonia, z twarzą wykrzywioną z bólu, trzymała się za brzuch i pojękiwała cicho.

- Możesz usiąść? - spytał Griff. - Calli, do cholery, zamknij się! Toni, możesz wstać? Nie martw się, wszystko będzie dobrze. Przepraszam. Calli, powiedziałem, zamknij się! Toni, chodź, połóżysz się na sofie.

Pomógł Antonii wstać, podprowadził do sofy, ułożył i przykrył grubym kocem.

- Odpocznij sobie. Po prostu odpocznij. Wszystko będzie dobrze.

Płacz Calli nie milkł. Był coraz bliżej, kiedy dziewczynka schodziła ze schodów. Matka wyciągnęła do niej rękę. Ojciec ryknął:

- Calli, zjeżdżaj stąd! Ale już! Jezu! Wynoś się, a przede wszystkim zamknij się! - Roztrzęsioną ręką chwycił dziecko za ramię, powlókł za sobą do kuchni i pchnął na krzesło.

- Siadaj! I cisza! Ma być cisza!

Kilka razy przemierzył kuchnię. Otarł zaślinione usta i nachylił się nad Calli. Płacz dziecka i krzyki ucichły, przeszły w nerwową czkawkę. Griff nachylił się jeszcze bardziej i przez jedną pełną minutę szeptał coś do ucha Calli. Jego oddech wypełniał wszystkie zakamarki jej małego ucha, zlewał się z cichym płaczem matki.

Po tych nieskończenie długich sześćdziesięciu sekundach wyprostował się. Pognał do drzwi i znikł za progiem, razem z podmuchem zimnego wiatru, o wiele zimniejszego niż ten, który mu towarzyszył, gdy wchodził do domu.

Kiedy Ben wrócił z sanek, przeraził się na widok matki, skulonej na sofie. Jej ciche, żalotne jęki wypełniały cały pokój. Ben zadzwonił do zastępcy szeryfa Louisa. Przyjechała karetka, w samą porę, by odebrać poród. Na świat przyszła śliczna, malutka jak pisklę dziewczynka. Cichutka. Jej skóra miała taki sam niebieskawy odcień jak usta jej matki. Ratownicy od razu zabrali nieoddychającego noworodka. Ale Calli zdążyła dotknąć siostrzyczki. Pogłaskać ją po rudych włoskach.

Słowa ojca, wyszeptane kiedyś z taką złością, nigdy nie opuściły uszu Calli. Napawały takim samym lękiem, teraz też, kiedy siedziała ukryta wśród gałęzi powalonych drzew i wsłuchiwała się w każdy najlżejszy szelest. Pocieszając się w duchu, że nawet jeśli tato jest tu gdzieś w pobliżu, a ona go nie widzi, tato też nie może jej zobaczyć. Tu, w swojej kryjówce, była całkowicie bezpieczna.

MARTIN

Zatrzymuję się przed domem. Fielda stoi w drzwiach. Czarne wijące się włosy upięte byle jak, okulary na nosie przekrzywione. Patrzy na mnie wyczekująco. Kręcę przecząco głową. Twarz Fieldy tężeje.

- Martin, i co teraz? - pyta zdławionym głosem.

- Zastępca szeryfa mówi, że trzeba zadzwonić do każdego, kto naszym zdaniem mógłby gdzieś zobaczyć dziewczynki. Poza tym mamy wybrać zdjęcia, które zostaną skserowane na ulotce. Chciałbym zaraz zawieźć te zdjęcia dziewczynek na posterunek. Powiedzieli, że od ręki zrobią dla nas ulotki. Wezmę je i zacznę rozwieszać. Znajdę parę osób, które mi w tym pomogą.

- Och, Martin... - Fielda obejmuje mnie w pasie i dosłownie wciska się we mnie. - Martin, Martin, jak to będzie? Jak to będzie?

- Odnajdziemy ją - mówię twardym głosem. - Odnajdziemy i przywieziemy z powrotem do domu. Masz moje słowo.

Stoimy tak, nieruchomo, jakbyśmy oboje wchłaniali w siebie moją obietnicę.

- Dobrze. To jedź po te ulotki - mówi Fielda po chwili. - Ja siadam przy telefonie. Po-dzwonię w porządku alfabetycznym.

Kiedy jadę ulicami mojego miasta, mój wzrok dosłownie bada każdy centymetr chodnika. Wyciągam szyję i próbuję zajrzeć w okna, na podwórza. Kilkakrotnie omal nie zjeżdżam z jezdni. Kiedy podjeżdżam pod posterunek, moje nogi drżą ze zdenerwowania. Kiedy przechodzę przez drzwi, uginają się pode mną. Podchodzę do policjanta za biurkiem, przedstawiam się i podaję mu zdjęcia.

- Ulotki zaraz będą gotowe, panie Gregory. Proszę poczekać - mówi policjant i wychodzi do drugiego pokoju.

Teraz, w ciszy mojego gabinetu w College'u Świętego Gilianusa, każda pełna udręki chwila tego dnia odżywa w mojej pamięci. Nie mogę się skupić. Siedzę nad papierami, a widzę przed sobą twarz mojej córeczki. Prawie czuję jej obecność. Petra uwielbia odwiedzać mnie w pracy. Chowa się pod moim wielkim biurkiem z orzechowego drewna i bawi się tam lalkami, które przynosi tu w wielkiej płóciennej torbie. Lubi chodzić ze mną po terenie całej uczelni, z jednego starego neogotyckiego budynku do drugiego, podziwiać piękne witrażowe okna z wizerunkami świętych i męczenników Kościoła katolickiego. Często prosi, żeby postać dłużej przed bardzo pięknym witrażem, przedstawiającym świętego Gilianusa, patrona uczelni. Święty Gilianus, stary człowiek w brązowych szatach, trzyma w ręku zwój pergaminu. Obok świętego wielki niedźwiedź i stado kosów. Stoimy, patrzymy i ja po raz kolejny opowiadam córeczce o świętym Gilianusie, znanym również jako święty Gall albo święty Callo, urodzonym w szóstym wieku w Irlandii. Był pustelnikiem, ów niedźwiedź, jak głosi legenda, zbierał dla Gilianusa i innych pustelników chrust na ognisko. Bo Gilianus go o to poprosił. Opowiadam też Pe-

trze historię o tym, jak król Siegbert z Austrazji - dziś północno-wschodni kraniec Francji i zachodni Niemiec - błagał Gilianusa, by kobietę, którą miał pojąć za żonę, uwolnił od dręczących ją demonów. Gilianus uczynił to. Na jego rozkaz demony opuściły ciało kobiety. Uleciały z niej jako stado kosów.

Kiedy Petra jest u mnie, koledzy specjalnie zagląдают do mojego gabinetu, żeby z nią porozmawiać. Wypytują Petrę o szkołę, jakie ma koleżanki i kolegów. Petra rysuje im obrazki, które wieszają na ścianie w swoich gabinetach. Moi studenci również przepadają za Petrą. Petra pamięta imię każdego, który zjawił się w moim gabinecie podczas jej wizyty. Zeszłej zimy przyszedł pewien bardzo zestresowany student. Zwykle bardzo pogodny, tym razem był dosłownie bliski łez. Bał się, że nie zrobi dyplomu w terminie. Trudno mu było skupić się na nauce, skoro nie miał pracy, nie miał więc też na czesne i wynajęcie mieszkania.

Wtedy spod biurka wynurzyła się Petra.

- To moja córka, Petra - powiedziałem. - W weekendy często odwiedza mnie na uczelni i pomaga mi. Petro, to jest Lucky Thompson, jeden z moich studentów.

Petra dość krytycznym wzrokiem spojrzała na potargane włosy i wypchane džinsy.

- Czy Lucky* to twoje prawdziwe imię? - spytała rezolutnie.

* Lucky (ang.) - szczęśliwy, mający szczęście.

- Nie. Naprawdę nazywam się Lynton - odparł student. - Ale wszyscy nazywają mnie Lucky...

- No tak... - Petra z powagą pokiwała główką. - A czy ty naprawdę masz szczęście?

- Przeważnie.

- A masz w domu jakieś zwierzątko? - dopytywała się dalej Petra.

- Mam psa, goldena retrievera. Ma na imię Sierżant.

- Bardzo ładnie. I dobrze, że go masz. Wszyscy mówią, że jak się ma w domu jakieś zwierzątko, człowiek mniej się martwi. Tatusiu! A wiesz co? Może babcia by chciała, żeby ktoś pomagał jej w kawiarni! Lucky mógłby pracować u babci!

Jeden telefon potwierdził słuszność sugestii mojej bystrej córki. Teściowa była bardzo zadowolona, Lucky w siódmym niebie.

- Jesteś super, Petra - powiedział i pogłaskał ją po głowie.

I tak moja Petra, dobra wróżka, bez żadnego wysiłku po raz kolejny przyczyniła się do poprawy tego świata. Młody człowiek opuszczał mój gabinet w znakomitym nastroju i wkrótce podjął pracę w niepełnym wymiarze godzin w kawiarni mojej teściowej.

Wstaję. Stare kości zaskrzypiały. Dziś mój wiek wyjątkowo daje mi się we znaki. Biorę plik ulotek i rolkę taśmy samoprzylepnej i wyruszam na miasto robić coś, co jest dla mnie po prostu niepojęte. Muszę poprzyklejać wizerunek mojej córki na słupach, oknach wystawowych i budkach telefonicznych. Po całym mieście.

Gdzie teraz jest moja córeczka, co się z nią dzieje? Te pytania nie dają mi spokoju.

ANTONIA

Ucho mnie już boli od słuchawki. Zadzwoiłam do wszystkich, którzy przyszli mi na myśl. Sąsiadów, koleżanek i kolegów z klasy, nawet do nauczycieli. Nikt nie widział mojej córki ani Petry. O tym informują mnie wszyscy, po czym na moment w słuchawce zapada cisza. Odbieram to jako swego rodzaju ocenę. Zdecydowanie negatywną. Dopuszczałam, żeby zaginęło moje dziecko, coś najcenniejszego, co posiadam. Przedtem pozwoliłam, żeby znikł głos mojego dziecka, teraz znikła cała. Co z ciebie za matka, Antonio Clark?

Po tej chwili ciszy każdy mówił to samo. Wszystko będzie dobrze, będę się modlić. Także szukać, oczywiście. O zaginięciu powiadomię jak najwięcej osób.

Tamtego dnia, kiedy Calli przestała mówić, powinnam była porozklejać plakaty po mieście.

ZAGINAŁ. Zaginał piękny głos Calli Clark. Calli ma zaledwie cztery lata, ale jej głos wydaje się o wiele starszy, ma bardzo bogate słownictwo. Po raz ostatni słyszano go dziewiętnastego grudnia, kiedy matka Calli spadła ze schodów. Ktokolwiek wie coś o miejscu pobytu głosu Calli Clark, proszony jest o skontaktowanie się telefoniczne z rodziną. NAGRODA!

Zrobiłam bardzo niewiele, żeby pomóc Calli odnaleźć jej głos. Tylko podstawowe rzeczy. Zabrałam do lekarza, do poradni rodzinnej. Nic to nie pomogło. Calli dalej milczała jak zaklęta. Było mi bardzo ciężko, musiałam przecież jednocześnie zmagać się z innego rodzaju bólem. Rozpaczą po stracie dziecka. Do dziś w najmniej oczekiwanych momentach czuję to okropne ukłucie w sercu. Na przykład kiedy pielę w ogrodzie. Patrzę na kwiaty i przypominam sobie, że chciałam nazwać maleństwo Maczek. Przecież nie Lodzik, Babeczka, Torcik Urodzinowy. Ale Maczek.

Maczek. To imię tak by do niej pasowało. Miała prześliczne czerwoniutkie włoski. Kiedy przynieśli mi ją, żebym się pożegnała, wyglądała jak kwiatek o czerwonych płatkach. Zwiędnięty. Powiedzieli, że zrobili wszystko, co w ich mocy. Ale moja córeczka na tym świecie ani razu nie nabrała powietrza.

Czasami, kiedy zmywam naczynia i tak sobie rozmyślam, zastanawiam się, co Griff powiedział wtedy Calli. Kiedy Calli płakała i płakała, a on zabrał ją do kuchni. Widziałam, jak szeptał jej do ucha. Pomyślałam, że chce ją uspokoić. Ale potem Calli nie powiedziała już ani słowa. Nigdy nie pytałam Griffa, co jej wtedy powiedział. Co gorsza, nigdy nie pytałam o to Calli.

Wychodzę na dwór, prosto w nagrzane do niemożliwości powietrze. Cykanie cykad jest wręcz ogłuszające. Z lasu wychodzi Ben. Idzie powoli, z rękoma w kieszeniach. Spocony, przygarbiony. I taki duży. Zawsze przewyższał wzrostem swoich rówieśników. Patrzył na nich z góry, oni zadzierali głowy i byli zdumieni jego łagodnością. Ben zawsze przeproszał, kiedy podczas gry w koszykówkę powalił przeciwnika. Przerywał grę, pytał, czy tamtemu nic się nie stało. Teraz, kiedy mnie mijał, też szepnął:

- Przepraszam...

Weszłam za nim do domu. Ben zatrzymał się w kuchni, oparł o blat. Wyjęłam z szafki szklanke, nalałam lemoniady, wrzuciłam kostki lodu.

- Wypij, Ben. Jesteś kochany. Wiem, że zrobiłeś wszystko. Gdyby one tam były, na pewno byś je znalazł.

Ben wziął szklanke, wypił duży łyk kwaśnej lemoniady i skrzywił się.

- Pójdę tam jeszcze raz, mamó. Skrzyknę tylko chłopaków. Trzeba iść głębiej w las.

- Masz rację, Ben. Idę z wami. Zadzwoń do pani Norland, poproszę ją, żeby posiedziała u nas w domu. Calli przecież może zjawić się tu w każdej chwili. Zapakuję do torby butelki z wodą, a ty dzwoń do kolegów.

Ben nie zdążył chwycić za słuchawkę, kiedy telefon zadzwonił.

To był Louis, poinformował mnie, że skontaktował się z policją stanową.

- Przyślą nam swojego człowieka. Powinien być tu za jakąś godzinę. Będzie chciał porozmawiać z tobą, Toni, z Benem i z państwem Gregory. Próbowałem skontaktować się też z Griffem i Rogerem Hoganem. Bez skutku. Żona Rogera powiedziała, że jej mąż miał podjechać po Griffa o czwartej rano. Wybierali się do Julien. Zadzwoń na tamtejszy posterunek. Powiedzieli, że pojedą do chaty i powiadomią Griffa, co się stało.

Jak zareaguje Griff? Zmartwi się i natychmiast wróci do domu? Czy jak zwykle zostawi wszystko na mojej głowie?

- Czy Ben i ja mamy przyjechać na posterunek? - pytam.

- Może my przyjedziemy do ciebie? Lepiej, żebyś była w domu, w każdej chwili może przecież pojawić się Calli. Zadzwoń, kiedy będziemy już do ciebie jechali. Aha, i jeszcze jedno, Toni. Ten facet zawodowo zajmuje się poszukiwaniem zaginionych dzieci. Dociekliwy. Niektóre jego pytania na pewno nie przypadną ci do gustu.

- To znaczy? - pytam i nagle mnie olśniewa. - Będzie sprawdzał, czy nie mam z tym nic wspólnego? O Boże!

Czuję się okropnie. Splugawiona.

- Będę przy tobie, Toni. A facet jest naprawdę dobry. Pomoże odnaleźć Calli i Petrę.

- Dobrze, Lou.

Zapada cisza. Przytłaczająca, jak ten upał na dworze.

- Toni - odzywa się Louis po chwili - zgłosiłem zaginięcie dziewczynek do Ogólnokrajowego Rejestru Osób Zaginionych, także do policyjnego biuletynu dla całego hrabstwa. Mnóstwo ludzi będzie ich szukać. Na pewno wszystko będzie dobrze. Obiecuję.

Odkładam słuchawkę.

- Ben, idź do łazienki, weź prysznic. Przyjedzie do nas ktoś z policji stanowej i...

- Chwileczkę! - przerywa zniecierpliwionym głosem. - Mamy przecież szukać dalej!

- Potem. Teraz musimy spotkać się z tym człowiekiem. Tak powiedział Louis. Idź do łazienki.

Ben wychodzi. Ja siadam. Znow siadam, żeby czekać.

CALLI

W zaroślach znow coś zaszeleściło, słyhać trzask łamanej gałazki. Serce Calli omal nie wyskoczyło z piersi. Skuliła się, wstrzymała oddech, pewna, że za moment spoza wału z gałęzi wychyli się głowa taty.

Znow szelest, ale jakiś taki cichy, ostrożny. Wcale nie słyhać ciężkich kroków ojca. Jeszcze raz szelest, jeszcze raz trzasnęły gałazki i z zielonej gęstwiny wynurzył się nie tato, lecz prześliczna czworonożna istota. Ruda sarenka, pocętkowana na biało, czyli jeszcze dziecko. Wynurzyła się i znieruchomiła, wyczuwając obecność człowieka. Uszy sarenki były długie, wąskie, przypominały Calli uszy zajęca. Oczy czarne, bardzo błyszczące. Przez dłuższą chwilę

obie, Calli i sarenka, wpatrywały się w siebie z wielką ciekawością, po czym sarenka, odważniejsza niż Calli, a może bardziej ciekawska, podeszła trochę bliżej. Tak blisko, że Calli nabrała wielkiej ochoty pogłaskać ją po czarnym lśniącem nosie. Zmieniła pozycję, starając się to zrobić bezszelestnie. Uklękła. Niestety, spłoszona sarenka odskoczyła w tył. I znów patrzyły tylko na siebie, jedna na drugą. Obie długonogie, obie o kościstych kolanach jak gałki. Obie same, bez swoich mam.

Minęła chwila, ciekawska sarenka znów zbliżyła się ostrożnie do Calli. Ośmielona dziewczynka zaczęła powoli rozsuwać osłaniające ją gałązki. Sarenka od razu cofnęła się kawałek, ale po kilku minutach zebrała się na odwagę i zrobiła dwa kroki do przodu. Zaskoczona Calli wstała z kolan i odruchowo cofnęła się, trafiając plecami na pień brzozy o białej korze, cieniutkiej jak papier. Ale teraz ona pierwsza zebrała się na odwagę i zaczęła powoli podchodzić do sarenki, wyciągając do niej brudną rękę.

Sarenka cofnęła się o krok.

I tak to trwało. Jedyny w swoim rodzaju taniec pod kopułą połyskującej zieleni we wszystkich możliwych odcieniach. Taniec bez muzyki, po dywanie z miękkiej ziemi. Obie tancerki nieduże, wylęknione. Każda zamknięta w swoim własnym milczeniu, a jednocześnie szepcząca do tej drugiej...

ZASTĘPCA SZERYFA LOUIS

Siedzę za biurkiem i czekam na agenta z policji stanowej. Tą sprawą, zaginięciem dwóch siedmioletnich dziewczynek, jestem po prostu przybity. Przed chwilą prosiłem Meg, naszą dyspozytorkę, żeby skontaktowała się z jednym z naszych policjantów rezerwowych, Davidem Glassem, farmaceutą. Niech Glass weźmie nasz stary radiowóz i zaparkuje dokładnie w środku między domami rodziców zaginionych dziewczynek. Będzie naszym punktem kontaktowym. Wszystkie informacje zebrane podczas śledztwa mają być przekazywane do niego.

Przede mną na biurku zdjęcie Calli. Jakże ona podobna jest do matki. Te same brązowe oczy i kasztanowate włosy, ściągnięte w nieporządny koński ogon. Jak u młodziutkiej Toni.

Poznałem Toni, kiedy miała siedem lat. Ja też, oboje byliśmy w pierwszej klasie, z tym że do szkoły w Willow Creek zacząłem chodzić w zimie. Wtedy to nasza rodzina przeprowadziła się z wielkiego Chicago do małego Willow Creek. Rodzina niepełna. Moja matka, siostra, brat i ja. Ojciec zmarł nagle rok wcześniej, na atak serca. Matka, polecona przez przyjaciół, dostała pracę w tutejszym college'u, stąd decyzja o przeprowadzce. Ja do nowego miejsca abso-

lutnie nie mogłem się przyzwycząić. Brakowało mi szumu ulicy, głosów sąsiadów, którzy albo ryczeli ze śmiechu, albo darli się na siebie. Dostałem własny pokój, w rezultacie wieczorem trudno mi było zasnąć. Brakowało mi cichego pochrapywania brata. Czyli, ogólnie rzecz biorąc, dla mnie było tu po prostu za cicho. Sąsiedzi oddaleni o wiele akrów, w nocy słyhać było tylko poszczekiwanie psa albo szum wiatru. W końcu, po wielu bezsennych nocach, matka kupiła mi małe radio, żebym czymś mógł wypełnić nocną ciszę, która nie pozwalała mi zasnąć.

Na pierwszy dzień w szkole podstawowej w Willow Creek wcale nie czekałem z utęsknieniem. Przeciwnie, udawałem chorego. Matka przysiadła wtedy na brzegu mojego łóżka i odezwała się wyjątkowo poważnym tonem:

- Lorasie Michaelu Louisie! Wiem bardzo dobrze, jak to jest, kiedy człowiek musi rozstać się z czymś, z czym zżył się przez lata i zaczynać wszystko od nowa. Wcale niełatwo, tym bardziej że nie ma z nami waszego ojca. Nie zapominaj jednak, że jesteś najstarszy spośród moich dzieci. Młodsze rodzeństwo przygląda ci się uważnie. Jeśli teraz będziesz leżał w łóżku i rozpamiętywał, zrobi to samo. A jeśli wstaniesz, pełen energii, gotów stawić czoło całemu światu, oni pójdą za twoim przykładem.

- Mamo! Katie ma dopiero trzy miesiące. Jak ona ma stawiać czoło całemu światu?

- Dla Katie, mój drogi, jesteś starszym bratem. Więcej, jesteś teraz najstarszym mężczyzną w tym domu. Mała będzie rosła, wpatrzona w ciebie. Tak będzie wyobrażała sobie prawdziwego mężczyznę. Rozumiesz? Dlatego weź się w garść, chłopcze, i wstawaj!

- Dobrze już, mamo, dobrze. Wstaję.

Tego pierwszego dnia matka zawiozła nas do szkoły. Niebo było niebieskie jak jajko rudzika, ziemia pokryta śniegiem o bieli tak idealnej, że raził w oczy. Szkoła była na obrzeżach miasta. Wielki stary budynek z czerwonej cegły, o wiele większy niż moja poprzednia szkoła w Chicago, mała prywatna szkoła podstawowa. Ale wszystkie szkoły są właściwie do siebie podobne i to jakoś dodawało otuchy. A potem zobaczyłem, że wszyscy uczniowie, w różnym wieku, z sankami pod pachą biegną gdzieś za szkołę.

- Dave, idziemy!

Chwyciłem swoją torbę i wyskoczyłem z samochodu. Młodszy brat, uczeń zerówki, wyskoczył za mną.

- Hej, hej! - zawołała matka. - Nie chcecie, żebym weszła z wami?

- Nie, dzięki! - krzyknąłem już w biegu. - Cześć, mamo!

Oczywiście, razem z Dave'em pognaliśmy też za szkołę. A tam czekał na nas widok zapierający dech każdemu siedmiolatkowi. Za szkołą było olbrzymie wzgórze, szersze chyba od samej szkoły. Podzielono je na kilka sektorów, w zależności od tego, jak strome było zbocze. W niektórych bardziej, w innych mniej i przechodziło w łąkę o długości chyba dwóch boisk. Widać było, że panuje tu porządek. Dzieci karnie ustawiały się w kolejce. Starsze, prawdopodobnie z siódmej i ósmej klasy, ustawiały się nad stromym zboczem, na którym porobiono kopczyki, starannie zaokrąglone i wygładzone. Dzięki tym kopczykom sanki wyrzucało w powietrze. Mniejsze dzieci zjeżdżały oczywiście po zboczu łagodniejszym.

Wszyscy zachowywali się identycznie. Zjeżdżali z radosnym wrzaskiem, potem z mozołem pieli się z powrotem na górę, ciągnąc za sobą sanki. Jednak jedna niewielka osoba zwróciła moją uwagę. Chłopiec w moim wieku, ubrany na czarno. Spodnie, za duży płaszcz i czarne gumki. Rękawiczki nie do pary, jedna czerwona, druga zielona. Czarna czapka z włóczki nasunięta głęboko na oczy. Miał srebrzyste, plastikowe sanki w kształcie dysku. Ustawił się z nimi w kolejce przed bardzo stromym zboczem, dla starszych dzieci. Był czwarty w kolejce, przed nim trzech o wiele wyższych chłopaków, którzy zaczęli się śmiać i odepchnęli go na bok. On, wcale nie zrażony, wrócił na swoje miejsce i cierpliwie czekał, nie zwracając uwagi na docinki starszych kolegów. Kiedy nadeszła jego kolej, jeden z chłopaków popchnął jego sanki swoim ciężkim butem. Sanki pomknęły w dół przechylone. Podskakiwały na bryłach lodu, wylatywały w powietrze i opadały na zamrznięty stok. Raz sanki przechyliły się tak niebezpiecznie, że wstrzymałem oddech. Była to szalona jazda, ten biedak po prostu mógł się zabić na oczach wszystkich. Na ostatni kopczyk najeżdżał z tak wielką prędkością, że kiedy opadał, czapka sfrunęła mu z głowy. Wtedy zobaczyłem z tyłu głowy powiewający sznur włosów.

Czyli to dziewczyna! Szok. Kiedy pokonywała ostatnie pięćdziesiąt metrów, byłem już zakochany. Totalnie i nieodwołalnie. Do dziś, kiedy przypominam sobie to całe zdarzenie, uśmiecham się. Jestem zdumiony, że Toni tak szybko zagnieździła się w moim sercu.

Co dziwniejsze, jest w tym sercu do dziś.

BEN

Przez okno w moim pokoju widzę, jak zastępca szeryfa wjeżdża na podjazd przed domem Gregorych. Wyciągam szyję, żeby widzieć dokładnie, kto wysiada z samochodu. Mam wielką nadzieję, że będziesz to także ty, Calli. Niestety. Z samochodu, oprócz Louisa, wysiada tylko jakiś facet. Niewysoki, w brązowych spodniach, białej koszuli i czerwonym krawacie.

Widzę, jak spogląda ciekawie na dom Gregorych, potem razem z zastępcą szeryfa podchodzi do ich drzwi wejściowych.

Dzisiejszą noc miałem spędzić u Raymonda, ale z tego chyba nici. Najpierw trzeba odnaleźć ciebie, to jasne. A ty bardzo nie lubisz, kiedy nocuję u kumpla. Siadasz na moim łóżku i patrzysz, jak pakuję plecak. Minę masz grobową, a ja powtarzam w kółko:

- Jutro wrócę, Calli. Naprawdę to nic takiego.

Żeby cię pocieszyć, mówię, że możesz pograć moimi szachami, tymi, które dostałem od taty na Gwiazdkę. Skutkuje. Wyglądasz już na mniej nieszczęśliwą.

Mamie też nie bardzo podobają się moje nocne wypady. Chociaż oczywiście udaje, że nie ma nic przeciwko temu.

- Możesz tam zanoćować, Ben. My, dzielne kobiety, poradzimy sobie. Poza tym nie zostajemy przecież same. Mamy tu tatę.

Nigdy nie nocowałem poza domem, kiedy nie było taty. Nie wyobrażam sobie, żebym mógł was zostawić same. Idę na noc do kumpla tylko wtedy, kiedy tato jest w domu. Szczerze mówiąc, bardzo chętnie. Czasami wolę zejść tacie z oczu.

Pamiętasz „lekcję mówienia”? Zeszłej jesieni, kiedy byłeś w pierwszej klasie. Mama pojechała do szkoły na wywiadówkę, ty i ja zostaliśmy w domu razem z tatą. Tato do twojego chodzenia do szkoły odnosił się bardzo sceptycznie. Często powtarzał, na co ci szkoła, skoro ty nie mówisz. A wtedy, tamtego wieczoru, zapytał ciebie:

- Calli, chcesz zrobić mamie niespodziankę?

Oczywiście, że pokiwałaś głową. Tato, rozwalony w swoim ulubionym zielonym fotelu, kazał ci podejść i posadził sobie ciebie na kolanach. Byłaś tak bardzo podekscytowana, że ja też podszedłem i spytałem, czy nie mógłbym pomóc w tej niespodziance.

- Bardzo miło z twojej strony, Ben, ale niestety jest to coś, co dla mamy może zrobić tylko Calli - powiedział tato. - Calli, czy wiesz, jak szczęśliwa byłaby mama, gdybyś powiedziała jej, że ją kochasz?

W mgnieniu oka posmutniałaś. Tato prosił przecież o coś, co było niemożliwe.

- Och, Calli, na pewno potrafisz to zrobić! Po prostu powiedz „mama” - prosił tato, ale ty bardzo mocno zacisnęłaś powieki i zaczęłaś gwałtownie kręcić głową.

- Calli, nie wydziwiał. Powiedz ma-ma!

Ty nadal nie otwierałaś ani oczu, ani ust.

- Calli, na pewno potrafisz to zrobić! Przecież chcesz, żeby mama była szczęśliwa, prawda? A więc, ma-ma, ma-ma!

Nadal nic nie mówiłaś, tylko próbowałaś zeskoczyć z kolan taty.

- O, nie! - krzyknął. - Zostaniesz tu, dopóki nie powiesz! Mów! Mama! Mama!

Jedną ręką trzymał cię, drugą zaczął ścisnąć ci policzki, żebyś otworzyła usta.

- Tato, przestań - powiedziałem, najpierw bardzo spokojnie. Ale tato dalej ścisnął ci policzki, a ty zaczęłaś płakać. Powiedziałem więc głośniej: - Tato! Przestań!

Tato zaczął mnie wyganiać.

- Idź stąd, Ben! Calli ma teraz lekcję mówienia. Jesteś tu niepotrzebny. Wyjdź!

Wtedy wrzasnąłem.

- Zostaw ją w spokoju! Ona nie może mówić! Nie może! Gdyby mogła, dawno by to już powiedziała!

- Ben, idź do swojego pokoju - powiedział tato, niby spokojnie, ale czułem, że dłużej mojego oporu nie będzie tolerować. Nie zamierzałem jednak rezygnować.

- Masz ją zostawić w spokoju. Ona tego nie może zrobić!

Tato wstał. Zjechałaś z jego kolan i rąbnięłaś tyłkiem o podłogę.

- Uciekaj, Calli! - krzyknąłem, ale ty nie posłuchałaś. Siedziałaś nadal na podłodze i patrzyłaś na nas.

- Wspaniale! - ryknął tato. - Mam niedorozwiniętą córkę i syna gnojka, któremu się wydaje, że wszystkie rozumy pozjada! Ale dobrze. Chciałaś pomóc, to pomożesz. Calli, wstawaj! Wstałaś. Bardzo szybko.

- Ben uważa, że nie możesz mówić. A ja uważam inaczej. Pamiętam, że kiedyś gadałaś jak najęta. Postaramy się więc jakoś cię do tego zmusić, stosując dość radykalne środki...

Odwrócił się i rąbnął mnie w tył głowy. Zakryłaś twarz rękoma, ale pociągnął twoje ręce w dół, zmuszając, żebyś patrzyła. Uderzył mnie jeszcze raz w głowę, potem w plecy, potem w żołądek. Bił mnie, cały czas patrząc na ciebie. Bił i wydzierał się.

- Mów, Calli! Mów, do cholery, to przestanę! Mów, Calli! Powiedz, żebym przestał! Dlaczego nic nie mówisz?! Chcesz, żebym dalej go prał?

Między jednym uderzeniem a drugim widziałem, że starasz się coś powiedzieć. Bardzo się starasz, ale nie możesz. Wiem, że gdybyś mogła, zrobiłabyś to.

W końcu tato się zmęczył.

- Jesteście oboje beznadziejni - powiedział. Usiadł z powrotem w swoim zielonym fotelu i do powrotu mamy oglądał telewizję. Po kilku dniach wyjechał na Alaskę. Mamie nie powiedziałem, co się wydarzyło. Przez cały następny miesiąc nosiłem bluzy z długimi rękawami. A ty po tej całej „lekcji mówienia” pobiegłaś do swojego pokoju i przez następne dziesięć dni unikałaś mnie. Wiem, że było ci przykro. A przez następne dwa tygodnie codziennie znajdowałem pod poduszką cukierki. Tootsie rolls, nasze ulubione.

Nigdy nie zapomnę tacie tej „lekcji mówienia”.

MARTIN

Fielda trzyma się resztką sił. Jest blada, mówi drżącym, nienaturalnie cienkim głosem, skubiąc nerwowo nitki wystające z obicia sofy. Oczywiście, że stara się skupić na tym, co mówi do niej agent Fitzgerald, który razem z Louisem siedzi na drugiej sofie, naprzeciwko nas. Fielda ma jednak wyraźnie problemy z koncentracją.

- Przepraszam, słucham? - pyta skruszona.

- O której godzinie po raz ostatni widziała pani swoją córkę? - pyta ponownie agent.

Agent jest o wiele młodszy, niż się spodziewałem. Gdzieś koło czterdziestki. Bardzo niski, z kwadratową szczęką buldoga i uderzająco małymi dłońmi, jak u kobiety.

- Wczoraj wieczorem - odpowiada Fielda. - Około wpół do dziewiątej. Nie, chyba o dziewiątej. Tak. Czytała książkę. Przyszła do mnie, bo nie rozumiała jednego wyrazu.

- Jakiego wyrazu? - spytał uprzejmym głosem Fitzgerald.

- Jakiego? Zaraz, niech pomyślę. Już wiem. Niejadalny. Wyjaśniłam jej, co to znaczy.

- Chwileczkę - odzywam się, chyba o ton za głośno. - Moja żona i ja odpowiedzieliśmy już na wszystkie pytania, jakie zadał nam zastępca szeryfa Louis. Nie rozumiem, dlaczego mamy odpowiadać na nie po raz drugi. Marnujemy czas, a powinniśmy szukać dziewczynek!

- Panie Gregory, doskonale rozumiem pański niepokój - mówi Fitzgerald. - Ale odpowiadając na moje pytania, mogą państwo przypomnieć sobie coś, o czym nie powiedzieliście Louisowi. Proszę o cierpliwość.

- Trudno być cierpliwym, kiedy zaginęło dziecko! Moje dziecko! Błąka się gdzieś w samej piżamce. Tak samo jak jej najlepsza przyjaciółka! A my siedzimy tu, gadamy, zamiast ich szukać!

Fielda łapie mnie za rękę i kiwając się w przód i w tył, zaczyna płakać.

- Fieldo, kochanie, nie trzeba - uspokajam ją i szepczę do agenta: - Przepraszam.

- Państwo mają prawo się niecierpliwić - mówi agent. - Proszę jednak zrozumieć, że często jakiś drobiazg, z pozoru nieistotny, może naprowadzić nas na ślad. Dlatego warto porozmawiać.

- Rozumiem. Proszę kontynuować.

- Dziękuję. Proszę mi powiedzieć, kto w ciągu ostatniego miesiąca pojawił się w domu państwa. Kto was odwiedzał najczęściej?

Fielda głośno pociąga nosem i ocierając ręką łzy, zaczyna pierwsza:

- Calli, oczywiście. Poza tym Ben, brat Calli. On roznosi gazety. Moja przyjaciółka Martha...

- Nazwisko tej pani?

- Martha Franklin. Było u nas też dwóch pracowników ze sklepu meblowego. Nie znam ich nazwisk. Przywieźli nam regał na książki.

- Dwa tygodnie temu zaprosiłem dwóch kolegów z pracy do nas na obiad - dodaje. - Oczywiście z żonami. Walt i Jeanne Powersowie oraz Mary i Sam Garfieldowie.

- Wpadają też studenci - informuje Fielda. - Pomagają nam czasami. Mariah Burton w ciągu ostatnich dwóch lat kilkakrotnie siedziała z Petrą, kiedy wychodziliśmy z mężem. Chad Wagner, student ekonomii, z grupy mojego męża, kosił nam w lecie trawę. Był u nas też jeszcze jeden student, Lucky Thompson. Nikogo więcej nie przypominam sobie. A ty, Martin?

- Ja też nie - mówię. - Parę razy zajrzeli do nas turyści, mieszkamy przecież przy szlaku. Dużo ludzi z miasta w weekendy wędruje sobie po lesie.

- Chciałbym, żebyście państwo sporządzili listę osób, które kontaktowały się z waszą córką w ciągu minionego roku - prosi agent. - Te osoby sprawdzimy w naszym systemie. Proszę mi powiedzieć, czy żadna z tych osób, które państwo wymienili, nie zwracała szczególnej uwagi na Petrę? Nie patrzyła na nią, nie rozmawiała z nią w taki sposób, że dziecko czuło się skrepowane?

Niebieskie oczy agenta wpatrują się w nas bardzo uważnie, po prostu irytująco uważnie.

- Ja niczego takiego nie zauważyłam - odpowiada Fielda. - Nasza Petra jest bardzo lubiana. Ma w sobie tyle ciepła. Kiedy wchodzi do pokoju, zaraz robi się jaśniej. Potrafi rozmawiać z każdym, o wszystkim.

Fitzgerald uśmiecha się.

- Nie mogę się doczekać, kiedy ją poznam! Proszę się jednak zastanowić, czy ktoś, kogo państwo znacie, nie uśmiechał się do waszej córki, nie obejmował jej w taki sposób, że zwróci-

ło to państwa uwagę? Nawet jeśli tylko na moment. Proszę państwa, zdaję sobie sprawę, że moje pytania nie są dla państwa łatwe, ale im szybciej przerobimy wszystkie możliwe scenariusze, tym szybciej odnajdziemy dziewczynki.

- Czy pan... pan podejrzewa, że ktoś je uprowadził?

W głosie Fieldy słychać rozpacz. Agent milczy, Fielda wbija przerażony wzrok w Louisa.

- Istnieją pewne podobieństwa między zniknięciem Petry i Calli a sprawą małej McIntire - mówi cicho Louis. - Nic konkretnego, ale, jak powiedział agent Fitzgerald, trzeba wziąć pod uwagę wszystkie możliwości.

- Nie!

Fielda powoli zsuwa się z kanapy, opada na podłogę i zwija w bezbronny kłębek.

- O Boże, o Boże... Klękam przy niej.

- Proszę wyjść! - Zabrzmiało za bardzo ostro, dlatego dodaje: - Proszę, zostawcie nas panowie na moment samych. Potem porozmawiamy dalej. Proszę, wyjdźcie.

Obaj mężczyźni wstają i wychodzą na dwór, na ten morderczy upał. Kiedy drzwi zamykają się za nimi, kładę się za plecami zapłakanej Fieldy i stapiam się z nią, przyciskając się do niej całym ciałem. Obejmuję ją w pasie, twarz kryję w jej włosach. Moja żona pachnie słodko perfumami i talkiem. Ten zapach zawsze już będzie kojarzyć mi się z największą rozpaczą.

Nigdy wcześniej nie czułem się tak bezradny.

ZASTĘPCA SZERYFA LOUIS

Fitzgerald i ja wychodzimy na podwórze przed domem.

- Jezu! - mówi Fitzgerald zrozpaczonym głosem. - Jak wy to wytrzymujecie?

- Przepraszam, co?

- To cykanie. Brzmi tak, jakby miliony owadów coś przeżuwały. Okropne.

Wyjmuje pudełko papierosów i cienkimi palcami swej kobiecej dłoni wyciąga jednego papierosa.

- To cykady - wyjaśniam. - Wprawiają w drganie błonę u nasady odwłoka, stąd te dziwne dźwięki.

- Przecież to jest nie do wytrzymania!

- Przypuszczam, że tak samo jest z hałasem w wielkim mieście. Z czasem człowiek się przyzwyczaja i w ogóle tego nie słyszy.

- Może i tak... Fitzgerald zapala papierosa.

- Nie przeszkadza? - pyta uprzejmie.

- Absolutnie nie - mówię.

Stoimy sobie i słuchamy cykad. Dziś ich pieśń też i mnie wydaje się irytująca.

- Nie czujesz się z tym dobrze - mówi Fitzgerald po chwili.

- Owszem. Nie - odpowiadam dość obojętnym głosem.

- Ale dobrze, że o tym wspomniałeś. O tej małej McIntire. Oni muszą wiedzieć, że taka możliwość istnieje. Potrzebują kilku minut, żeby to przetrawić i będą gotowi do dalszej rozmowy. Trzeba zorganizować regularne poszukiwania z psami policyjnymi. Możemy je dostać z Madison albo z Des Moines, jeszcze dziś po południu... - Fitzgerald zaciąga się mocno i opiera plecami o pień starego dębu. - Masz jakiś pomysł co do tej sprawy?

Wzruszam ramionami.

- Bo ja wiem... Może warto przyjrzeć się bliżej mężowi Toni. Nieciekawy człowiek, pijak. Ludzie mówią, że potrafi być brutalny.

- Brutalny? A dokładniej?

- Powtarzam, to tylko pogłoski. Toni nigdy nikomu o tym nie mówiła, nigdy nie wzywała policji do domu. Tym niemniej...

- Warto o tym pamiętać. Masz rację - mówi Fitzgerald, spoglądając na dom Toni.

Ja spoglądam na jego papierosa.

- W takim dniu jak dziś wolałbym palić.

- W takim dniu jak dziś wolałbym nie palić - mówi Fitzgerald.

Z domu wychodzi Martin Gregory.

- Przepraszam - mówi - jesteśmy gotowi do dalszej rozmowy. Proszę wejść.

CALLI

Nigdy dotąd Calli nie była w lesie tak daleko. Samiusieńka, sarenka dawno już sobie poszła do swojej mamy. A Calli chodziła wśród drzew o bardzo grubych pniach i zastanawiała się, w którą stronę pójść. Jeden szlak prowadził w górę zbocza. Kręta, kamienista ścieżka, która zniknęła za kępą pietraszніка. Drugi szlak prowadził w dół, prawdopodobnie do strumienia. A Calli okropnie się chciało pić. Była też okropnie głodna. Próbowła więc przypomnieć sobie, czego uczyli ją mama i Ben. Co wolno zjeść w lesie, a co jest trujące. Na pewno można jeść morwy, duże purpurowoczerwone jagody, zwisające z gałęzi drzewa, wypełnione słodkim so-

kiem. Natomiast czerwono-brązowych jagód jesionu kolczastego absolutnie nie wolno brać do ust.

Szła przed siebie, wpatrując się uważnie w każdy krzak i pnącze. W końcu wyłowila wzrokiem gęszcz kolczastych gałązek. Z tych gałązek na białych cieniutkich łądyżkach zwisały bardzo ciemne jagody. Jeżyny! Calli, nie zważając na kolce, szybko zerwała kilka jeżyn i włożyła do ust. Potem jeszcze kilka, i jeszcze. Palce miała granatowe, cudowna mokra słodycz wypełniła jej usta.

W lesie koło domu mama pokazała im wiele miejsc, gdzie rosną jeżyny. Calli i Ben wyprawiali się tam z plastikowymi kubkami po lodach i zrywali jeżyny, starając zerwać jak najwięcej, a zjeść jak najmniej. Kiedy kubki były pełne, wracali do domu. Mama ostrożnie płukała jeżyny, potem piekła pyszny placek z jeżynami, który podawała razem z lodami, ukręconymi w domu. Te domowe lody Calli uwielbiała. Uwielbiała cały proces kręcenia. Najpierw trzeba było zejść do piwnicy po starą maszynkę do kręcenia lodów, na korbkę, żaden prąd. Przynosiło się maszynkę do kuchni i kręciło się. Calli za każdym razem dziwiła się, że za pomocą tak prostej czynności można z jajek, wanilii, mleka i soli kamiennej wyczarować coś tak pysznego. Kręciła z zapalem, dopiero kiedy jej ręka zaczynała mdleć, zastępował ją Ben.

Calli postanowiła, że gdy wreszcie wróci do domu, natychmiast poleci po tę maszynkę i ukręci się dla wszystkich po porządnej porcji lodów.

Zjadła wszystkie jeżyny, jakie były w zasięgu ręki. Głód na jakiś czas został zaspokojony, można iść dalej. Zadecydowała, że dalej będzie pięła się w górę. Może uda jej się wejść na sam szczyt zbocza. Spojrzy w dół i zorientuje się, gdzie dokładnie jest i w którą stronę trzeba iść, żeby dotrzeć do domu. Było jednak bardzo gorąco, a ona bardzo zmęczona i senna. Dlatego postanowiła przedtem odpocząć. Tylko chwilę. Zeszła z dróżki i wsunęła się w cień pod szerokimi gałęziami sosny. Odgarnęła z ziemi szpilki i ostre gałązki, położyła się przy pniu. Ręce posłużyły za poduszkę. Wsunęła je pod głowę i zamknęła oczy. Zasnęła od razu jak kamień.

BEN

Na zastępcę szeryfa Louisa i tego drugiego faceta czekamy z mamą całe wieki. Mama kazała mi się wyszykować do tej rozmowy. Iść na górę, umyć się i przebrać. Nałożyć jakieś porządne szorty i nie T-shirt, tylko koniecznie koszulkę polo. W brzuchu mi burczało, ale jakoś głupio mi było robić sobie kanapkę, kiedy pomyślałem, że ty gdzieś się błąkasz i prawdopodobnie nie masz co włożyć do ust. Chwyciłem więc tylko pudełko krakersów. Kiedy prze-

chodząc koło drzwi do twojego pokoju, zobaczyłem taśmę przyklejoną do framugi drzwi. Jak na miejscu zbrodni. Bez sensu, pomyślałem. Grzebię w twoich rzeczach, kiedy wszyscy powinni szukać cię w lesie.

Widzę w twoim pokoju mamę. Siedzi na podłodze i wyjmuję rzeczy z twojej skrzynki ze skarbami. Tak nazwała mama to stare pudełko po kapeluszu, wypełnione różnymi rupieciami. Ja też dostałem takie pudełko. Mama mówi, że kiedyś, starzy już i siwi, z wielką przyjemnością będziemy sobie oglądać różne rzeczy, które kiedyś miały dla nas wielką wartość. W rezultacie ja zapełniam już drugą skrzynkę ze skarbami.

Wokół mamy leżą na podłodze twoje rysunki. Mama dotyka palcem każdego z nich, bardzo ostrożnie, jakby bała się, że dotknie za mocno i rysunki zmieniają się w popiół. Potem sięga znów do pudełka i wyjmuję coś, co mnie z tej odległości trudno zidentyfikować. Jej chyba też, bo przygląda się temu przez dłuższą chwilę. Niezidentyfikowany przedmiot jest białawoszary, ma jakieś siedem, osiem centymetrów długości.

Mama dostrzega mnie w drzwiach.

- Nie wiesz, Ben, co to może być?

Podchodzę i biorę niezidentyfikowany przedmiot do ręki. Jasnoszarą podłużną grudkę, z której wystają jakieś włoski.

- Myślę, że to wypluwka sowy, mamó. Zobacz, widać maleńkie kosteczki, a to sierść.

Mama odbiera ode mnie wypluwkę, przygląda jej się dokładniej. I to właśnie mi się w mamie podoba. Większość matek na widok niestrawionych resztek pokarmu, zwymiotowanych przez sowę, czułaby obrzydzenie. A moja mama nie.

- Chyba masz rację, Ben. A dlaczego Calli schowała to do swojego pudełka na skarby?

Znów wzruszam ramionami.

- Myślę, że z tego samego powodu co ja, kiedy chowam tam skorupki po poczwarkach cykady!

Mama wybucha śmiechem. Jak to dobrze, mama ostatnio śmieje się raczej rzadko. Wkłada wypluwkę z powrotem do pudełka i wyjmuję z niego biały kłębuszek.

- Wiem! - woła. - Wiem, co to jest! Zbite puszki dmuchawca!

- Widzę - mówię. - Wypluwka sowy mnie nie dziwi. Ale to?!

- A mnie wcale nie dziwi, Ben. Zapomniałeś? Kiedy widzisz wróżki roztańczone w powietrzu, złap jedną z nich, potrzymaj w dłoni i pomyśl sobie jakieś życzenie. Potem pozwól wróżce odfrunąć, a życzenie się spełni.

- Faktycznie - mówię, uśmiechając się pod nosem. - Ciekaw jestem, dlaczego Calli nazbierała aż tyle tych puszek i schowała do pudełka. Może ma jakieś jedno wielkie życzenie. Chce nazbierać ich jak najwięcej i potem wypuścić wszystkie za jednym razem.

- Może...

Mama wkłada puszki dmuchawca z powrotem do pudełka, na sam wierzch. Zamyka wieczko i wsuwa pudełko pod łóżko.

- Chodź, Ben - mówi. - Zrobię ci kanapkę. Niedługo przyjedzie Louis.

Odnosnie puszek, domyślam się, czego sobie życzysz. Twoje życzenia są przecież identyczne z moimi. Numer jeden - wiadomo. Żebyś znów zaczęła mówić. Numer dwa - dostać psa. A do trzeciego życzenia żadne z nas za nic by się nie przyznało. Ale tego życzymy sobie oboje. Żeby tato pojechał na Alaskę i nigdy już stamtąd nie wrócił.

ANTONIA

Robię dwie kanapki z wędliną, dla Bena i dla mnie. Kroję jabłko na pół i przez cały czas rozmyślam. Dokładniej - wspominam. Puszki dmuchawca w pudełku ze skarbami Calli przypomniały mi przygodę z dmuchawcami w dzieciństwie. Związaną z Louisem. To było jego pierwsze lato w Willow Creek. Łąka za naszym domem, w którym zresztą mieszkam do dziś, była cała zarośnięta radosnym żółciutkim mleczem. Zdesperowana mama wyznaczyła mnie i Louisowi bojowe zadanie. Każde z nas dostało starą łyżkę plus instrukcję. Należy podkopać się pod roślinkę jak najgłębiej, wyrwać ją z korzeniami, koniecznie z korzeniami!, i wrzucić do starego plastikowego wiaderka. Pracowaliśmy w pocie czoła, po czym mama każdemu z nas kładła na brudnej dłoni świecącą monetę - ćwierć dolara. Wskakiwaliśmy na rowery, jechaliśmy do Mourning Glory Café przepuścić zarobione pieniądze. Ja kupowałam wiśniową kokę, ale nie taką jak dziś, sprzedawaną w puszkach. Była to woda sodowa z takiej małej fontanny, zmieszana z sokiem wiśniowym. Pani Mourning dawała nam dwie słomki i dwie wiśnie, jedną dla Louisa, drugą dla mnie. Louis kupował tackę frytek, gorących i bardzo słonych. Na tych frytkach pisał ketchupem moje imię, potem swoje. Frytki pod moim imieniem zjadałam ja, drugą połowę pałaszował Louis. Czasami kupowaliśmy batoniki, ja Marathon, Louis wołał Baby Rooth.

W kawiarni często była Fielda, matka Petry. Pomagała swojej matce. Dla mnie i Louisa była bardzo miła. Zagadywała do nas, dolewała nam wody sodowej. Teraz myślę, że chciała się ze mną zaprzyjaźnić. Ale ja miałam Louisa, nikogo więcej nie potrzebowałam. Wiele lat póź-

niej, kiedy zostałyśmy sąsiadkami i w tym samym czasie obie zaszłyśmy w ciążę, Fielda ponownie próbowała się do mnie zbliżyć. Zapraszała mnie na kawę, na spacer, ale ja po raz drugi byłam bardzo powściągliwa. Tym razem z całkiem innych powodów. Bałam się, że Fielda odkryje prawdę o moim smutnym małżeństwie. Zobaczy moje siniaki, albo, co gorsza, będzie świadkiem jakiejś przykrej sceny. Fielda, po kilku nieudanych próbach, dała sobie spokój.

Akcja wyrywania mleczy trwała około dziesięciu dni. W międzyczasie mieliśmy już tej pracy, wiśniowej koki i frytek serdecznie dość. Przykładaliśmy się coraz mniej, w rezultacie mlecze zaczęły się wysiewać, białe puszki radośnie fruwały sobie nad łąką, niweczając efekty naszej pracy.

- Te puszki to wróżki - powiedział mi kiedyś Louis. - Tak powiedział mi tato. Puszki dmuchawców to zaklęte wróżki. Jeśli złapiesz ją, zanim upadnie na ziemię, ona z wdzięczności spełni twoje życzenie. Ale przedtem musisz ją z powrotem wyrzucić na wiatr.

- Naprawdę? - spytałam z niedowierzaniem. - A czy w Chicago są w ogóle mlecze?

- Oczywiście, że są! - wykrzyknął Louis z oburzeniem. - Kwiaty, chwasty i trawa, wszystko! Chociaż nie tyle, co tutaj. A tato dokładnie mówił tak. Kiedy widzisz wróżki roztańczone w powietrzu, złap jedną z nich, potrzymaj w dłoni i pomyśl sobie jakieś życzenie, potem pozwól wróżce odfrunąć, a życzenie się spełni. Tato mówił, że wie o tym od babci. Jego babcia była Irlandką. I my zawsze tak robiliśmy. Łapało się puszek, potem trzeba było pomyśleć życzenie i zdmuchnąć puszek z ręki.

- A jakie były twoje życzenia, Lou? - spytałam.

- Moje? A takie tam... różne.

Louis, nagle speszony, rzucił swoją łyżkę i odbiegł kawałek, łapiąc po drodze jeden z fruujących puszków.

- Ale powiedz! Louis!

- Na przykład... żeby moja drużyna zuchowa zdobyła proporczyk.

- A pomyślałeś o swoim tacie? Życzyłeś sobie czegoś dla swojego taty?

Louis nagle posmutniał.

- Nie. Śmierć to śmierć. Nic nie poradzisz - powiedział cicho. - Można życzyć sobie pieniędzy, albo żeby zostać gwiazdą filmową. Masz! - podał mi mięciutki biały puszek. - A jakie będzie twoje życzenie?

Pomyślałam chwilę, potem delikatnie zdmuchnęłam puszek ze swej ręki. Biały maciupeński kosmyczek odfrunął.

- Czego sobie życzyłaś? - dopytywał się Louis.

- Żeby zuchy zdobyły proporczyk, oczywiście! Roześmiał się i pobiegł nad strumień.

Oczywiście, że moje życzenie było całkiem inne. Życzyłam mu, żeby z powrotem miał tatę.

Osiem lat później, kiedy mieliśmy po szesnaście lat, znów byliśmy razem nad strumieniem. Kochaliśmy się po raz pierwszy, potem ja tonęłam we łzach. Zdawałam sobie doskonale sprawę, że kocham Louisa, że to, co zrobiliśmy, wcale nie było błędem. Mimo to szlochałam. Louis próbował mnie rozśmieszyć, łaskotał mnie, robił głupie miny. Bezskutecznie. W końcu Louis, podejrzewam, że po prostu zrozpaczony, uciekł znad strumienia.

Ja siedziałam tam dalej. Drżącymi rękami nakładałam na siebie ubranie, dalej zaryczana. Pewna, że straciłam Louisa na zawsze.

Ale on po jakimś czasie wrócił.

- Którą wybierasz? - spytał, wyciągając do mnie obie ręce z dłońmi zaciśniętymi w pięść.

Wybrałam lewą. Rozłożył palce. Na dłoni leżały trzy puszki.

- Trzy życzenia - powiedział, a potem otworzył drugą dłoń. Na tej dłoni też leżały trzy puszki. - Po trzy dla każdego z nas.

- Ty pierwszy - powiedziałam, uśmiechając się przez łzy.

- Żeby zuchy zdobyły proporczyk! Uśmiechnął się, a ja się roześmiałam.

- A poza tym... żebym został policjantem - dodał i jego twarz, już twarz młodego mężczyzny, spoważniała. - Chcę, żebyś kochała mnie zawsze, Toni - wyrzucił z siebie jednym tchem. - Teraz twoja kolej!

Po chwili zastanowienia wyjawiałam mu moje życzenia:

- Chciałabym mieszkać w żółtym domu... - Zerknęłam na Louisa. Śmieje się ze mnie?

Nie, więc mówiłam dalej: - Chciałabym pojechać nad ocean. I... - ciężkie, słone krople znów spłynęły po moich policzkach - żebyś kochał mnie zawsze, Lou.

Trzy lata później Louis wyjechał do college'u, a ja wyszłam za Griffa. Teraz myślę - głupie wróżki. Wcale nie mieszkam w żółtym domu, nigdy nie byłam nad oceanem, Louis nie po kochał mnie na zawsze. A Calli, moja Calli zaginęła. Wszystko, czego się dotknę, niszcę. Zmienia się w puch.

ZASTĘPCA SZERYFA LOUIS

Znów siedzę przy stole w kuchni Toni, przede mną pokryta mgiełką szklanka z mrożoną herbatą. Tym razem jednak obok mnie siedzi nie Martin, lecz agent Fitzgerald. Mam wielkie obawy, że Martin, kiedy to wszystko się skończy, nigdy już się do mnie nie odezwie. Z Toni będzie podobnie. Widzę przecież, że ją męczy ta sytuacja. Suche, precyzyjne pytania agenta całkowicie zbijają ją z tropu. Na pewno też przez cały czas zastanawia się, czy agent uważa ją za złą matkę. Ociąga się z odpowiedzią, prawdopodobnie zastanawia się, czy dane pytanie nie jest podchwytliwe, czy nie ma w nim żadnych podtekstów. W sumie zachowanie Toni mnie nie dziwi. Po tylu latach pożycia z takim człowiekiem jak Griff, który manipuluje nią bezwstydnie, można się było tego spodziewać.

Cztery lata temu, kiedy przyjechałem do domu Clarków, zastałem Toni zwiniętą w kłębek na sofie. Urodziła martwe dziecko. Myślałem wtedy, że wreszcie zmądrzeje i pozbędzie się Griffa na zawsze. Co prawda, nie wiedziałem, co dokładnie się wydarzyło tamtego zimowego wieczoru. Wiedziałem tylko tyle, że Ben po powrocie do domu zastał matkę w bardzo złym stanie. Leżała na sofie, przykryta kocem, obok siedziała Calli i głaskała ją po ramieniu. Nie udało mi się skłonić Calli do mówienia. Siedziała, kiwała się i tylko patrzyła na mnie tymi swoimi ogromnymi brązowymi oczami.

Spytałem Bena, gdzie jest jego ojciec. Ben nie wiedział, ale podejrzewał, że u Behnkego, w jednym z barów w śródmieściu. Zastanawiałem się, czy zadzwonić tam, czy pojechać. Pojechałem. Rozmowa w cztery oczy jest o wiele bardziej efektywna.

Poprosiłem sąsiadkę, żeby posiedziała z dziećmi i pojechałem do Behnkego. Griff siedział przy barze, razem z kilkoma kumplami ze szkoły średniej. Prawdopodobnie zebrało im się na wspominki szkolne, bo ryczeli ze śmiechu. Wszyscy, oprócz Griffa. Griff odbijał od reszty towarzystwa. Był wyraźnie wyciszony. Moim widokiem wcale nie był zaskoczony. A ja czułem na sobie spojrzenia wszystkich klientów Behnkego. O tym, że byłem kiedyś z Toni, wiedziało całe Willow Creek.

- Griff, pozwól na moment - powiedziałem półgłosem.
- A nakaz sądowy jest?! - spytał jego głupkowaty kumpel Roger i zarechotał.
- Możemy pogadać tutaj, Louis - powiedział Griff spokojnym głosem, potem mi doładował: - Postawię ci drinka.
- Nie, dzięki, jestem na służbie - odparłem. Jego kumple, kretyni, uznali moją wypowiedź za szalenie zabawną i wybuchnęli śmiechem.

A ja nachyliłem się do Griffa i powiedziałem bardzo cicho, tak, żeby rozbawieni kumple tego nie dosłyszeli.

- Chodzi o Toni, Griff.

Wstał ze stołka. Jestem od niego wyższy o jakieś dziesięć centymetrów. Ale on jest zbudowany tak, jakby trenował podnoszenie ciężarów. Niestety, miałem już okazję poznać siłę jego ciosu. Kiedy miałem dziewiętnaście lat. Przyjechałem tu z Iowa City, gdzie studiowałem i próbowałem namówić Toni, żeby wróciła do mnie. Poszedłem do niej do domu. Mieszkała razem ze swoim ojcem, który po śmierci żony nagle postarzał się o co najmniej dziesięć lat. Poszedłem tam, zapukałem, Toni otworzyła drzwi. Wystarczyło jedno spojrzenie na jej twarz. Wiedziałem, że jestem spalony. Moja historia z Toni skończyła się. Bezapelacyjnie. Przede wszystkim z powodu różnych wersji wspólnej przyszłości. Ja absolutnie swojej przyszłości nie wiązałem z Willow Creek. Moja matka wyszła powtórnie za mąż i razem z siostrą i bratem wróciła do Chicago. A ja pokochałem uczelnię, pokochałem Iowa City. Chciałem, żeby Toni przyjechała tam do mnie. Przecież nic ją nie trzyma w Willow Creek. Ale Toni powiedziała: nie. Stanowczo, choć w jej głosie była odrobina żalu. Powiedziała, że spotyka się z Griffem Clarkiem. Jest im dobrze ze sobą, poza tym ona nie może zostawić ojca samego. Po tym, co przeszedł.

Powiedziała to wszystko, wyprostowała się i skrzyżowała ramiona na piersiach. Robiła tak zawsze po podjęciu nieodwołalnej decyzji. Kiedy nachyliłem się, żeby pocałować ją na pożegnanie, w ostatniej sekundzie opuściła głowę. Moje usta wylądowały na jej nosie.

Griff, jak się okazało, też tam był. Odczekał, aż odjadę spod domu i pojechał za mną. Pięćdziesiąt kilometrów. Kiedy zatrzymałem się na stacji benzynowej, odczekał, aż zatankuję, zapłacę za benzynę i będę wracał do samochodu. Wtedy wynurzył się z cienia. Dostałem w brzuch. Kiedy zgiąłem się wpół, kopnął mnie w podbrzusze.

- Trzymaj się od Toni z daleka, ty palancie - syknął. Jechało od niego alkoholem. - Mam zamiar się pobrać.

Na pożegnanie dostałem jeszcze w szczękę, pięścią twardą jak głaz. Bardziej jednak niż te trzy ciosy zaboląła mnie wiadomość o ich ślubie. Kilka miesięcy potem dowiedziałem się od wspólnych znajomych, że Toni i Griff pobrali się i niebawem na świecie pojawił się Ben. Zanim minęła odpowiednia liczba miesięcy. Nie trzeba było być geniuszem matematycznym, żeby się tego doliczyć.

Nieważne. Teraz wiem, że powinienem był być wtedy bardziej stanowczy. Walczyć o nią...

- Idziemy - powiedział Griff. Wyszedł pierwszy, ja za nim. Na rześkie, czyste powietrze, wielka ulga po zadymionym barze.

- Co jest? - spytał niewinnym głosem.

- Toni jest w Szpitalu Miłosierdzia.

Tylko tyle. Tego faceta nienawidziłem z całego serca, ale jakoś nie potrafiłem powiedzieć mu, że jego dziecko nie żyje.

- Ale dlaczego? - spytał Griff, oczywiście, wyraźnie zaniepokojony. - Mówiła coś?

- W szpitalu wszystko ci powiedzą. Ja... mało wiem. To Ben zadzwonił po pomoc.

Nie powiedziałem, że Ben zadzwonił do mnie. Gdyby Griff się o tym dowiedział, Ben miałby za swoje.

Griff, z kluczykami w ręku, zatrzymał się przy swojej ciężarówce.

- Chyba to nie jest dobry pomysł, żeby prowadził - mruknął.

- Chyba nie.

Przez moment patrzyliśmy na siebie. W końcu powiedziałem:

- Wsiadaj do mojego wozu.

Ruszyliśmy. Jechaliśmy w milczeniu, w samochodzie słychać było tylko szum ogrzewania, bezskutecznie próbującego wykonać swoje zadanie. Po jakimś czasie Griff chrząknął.

- Co mówiła Calli? - spytał, nie patrząc na mnie.

- A jak myślisz? - odpowiedziałem pytaniem na pytanie.

- No tak. Wiadomo, że nic. - Griff znowu chrząknął. - A Toni... Toni upadła. Ale czuła się dobrze. Sama wstała, powiedziała, że nic jej nie jest. Tylko trochę poleży sobie.

- Niestety, teraz wcale nie czuje się dobrze.

Wjechałem na parking przy szpitalu. Zatrzymałem samochód i odwróciłem się do Griffa.

- Griff, jeśli okaże się, że skrzywdziłeś Toni, zapłacisz za to. Zamknę cię, a kiedy nikt nie będzie widział, przyjdę do twojej celi i dam ci łomot.

- Ty?! - Griff roześmiał się szyderczo. - Zastępca szeryfa?! Przecież ty nigdy nie łamiesz przepisów. Dzięki za podwiezienie. Cześć! - Wysiadł i walnął drzwiami.

Niestety, w tej kwestii Griff miał całkowitą rację.

BEN

Kiedy miałem siedem lat, zacząłem grać w piłkę nożną. Mama była bardzo zadowolona, że zainteresowałem się sportem i poznam nowych kolegów. Byłem wysoki, duży, ale nie jakaś tam baryła. Po prostu duży. Wyjątkowo duże miałem stopy. Zdarzało mi się autentycznie potknąć o własne nogi i zrobić z siebie głupka. Zacząłem więc trenować. Po zgnieceniu trzech, a może nawet czterech chłopaków z drużyny przeciwnika trener postawił mnie na bramce. Co wcale nie było głupie. Byłem dwa razy większy niż reszta chłopaków, czyli miałem większą szansę na przechwycenie piłki. I faktycznie. Podczas letnich rozgrywek przez cztery mecze nie wpuściłem żadnej. Ty i mama oczywiście kibicowałyście mi z entuzjazmem. Widziałem, jak podskakujecie i wydzieracie się na całe gardło. Zdarzało się, że ty, Calli, czasami wbiegałaś na boisko i sędzia musiał wstrzymać grę. Leciałaś do mnie, mama leciała po ciebie, wołając do każdego „Och, przepraszam, przepraszam, przepraszam!”.

Pewnego razu na mecz przyszedł tato. Zobaczyłem go, przyszedł już po rozpoczęciu gry. Ja stałem oczywiście na bramce, ubrany w niebieską koszulkę z numerem cztery i w czarnych rękawicach bramkarza. W tych rękawicach czułem się jak zawodowiec. Były super, miały nawet takie guzki, żeby lepiej było chwycić piłkę. Ty i mama siedziałyście na starym kocu, rozłożonym za linią autową. Tato nie siedział, tylko się miotał. Chodził tam i z powrotem po mokrej śliskiej trawie, bo przed meczem padało, i darł się:

- Dalej, chłopaki! Ruszać się! Gońcie za piłką!

Kątem oka zauważyłem lecącą na mnie piłkę. Natychmiast przestałem gapić się na tatę i przyjąłem odpowiednią postawę. Tak, jak uczył trener. Pochyliłem się, nogi rozstawione, lekko ugięte w kolanach. Ręce wyciągnięte przed sobą.

- Złapiesz ją, Ben! - wrzeszczał tato. - Na pewno złapiesz!

Do dziś mam przed oczami tę cholerną piłkę, jak leci na mnie. Czerń i biel zlewała się w szarość. Przeleciała obok mnie. Nawet nie zdążyłem jej dotknąć palcem w tej super rękawicy. Byłem pewien, że tato teraz będzie krzyczał jeszcze głośniejsze, a mama będzie go uciszać. Ale nie. Kiedy spojrzałem na linię autową, nie było go tam. Zacząłem szukać go wzrokiem w tłumie. Po chwili dostrzegłem. Wracił do swojej ciężarówki.

Wygraliśmy cztery do jednego. Mama, żeby to uczcić, zaprosiła nas na lody. Ale ja wcale nie miałem na nie ochoty. Kiedy wróciliśmy do domu, tato na temat meczu nie powiedział ani słowa. Nie wyżywał się na mnie, ale w sumie to milczenie było o wiele gorsze.

ANTONIA

Z okna salonu widzę samochód podjeżdżający pod nasz dom. Wysiada z niego Louis, razem z nim niewysoki krępy mężczyzna ze skórzaną teczką. Ubrany dość swobodnie, chociaż buty wyglądają na bardzo drogie.

Witam ich w drzwiach i prowadzę do kuchni. Siadamy przy stole. Mężczyzna z teczką przedstawia się. Kent Fitzgerald, agent federalny. Mówi to tak dumnie, jakby był bohaterem, a co najmniej gwiazdą filmową. Z trudem powstrzymuję uśmiech. Bardzo szybko przestaje mi być do śmiechu, kiedy z ust agenta słyszę kolejną informację.

- Wydział Dzieci Zaginionych i Wykorzystywanych.

- Przecież my jeszcze nie wiemy, czy one zaginęły - mówię słabym głosem. - Chociaż... O, Boże... przecież one zaginęły. Nie ma ich. Co pan o tym myśli? Czy już coś wiadomo?

Spoglądam przelotnie na Louisa. Louis patrzy w inną stronę.

- Jak na razie, wiemy tyle co pani, pani Clark - mówi agent Fitzgerald. - Przyjechałem tu pomóc zastępcy szeryfa Louisowi i jego ludziom w odnalezieniu dziewczynek. O której godzinie widziała pani swoją córkę po raz ostatni?

- Około dziesiątej. Oglądałyśmy razem telewizję i jadłyśmy prażoną kukurydzę. Potem położyłam ją spać.

- Kto wczoraj wieczorem był jeszcze w domu?

- Mój syn Ben. Ma dwanaście lat. Nie obejrzał całego filmu, gdzieś tak o dziewiątej poszedł do swojego pokoju. Griff, to znaczy Griffith, mój mąż, wrócił do domu o północy.

- Louis mówił mi, że pani mąż o świcie wybierał się na ryby.

Kiwam głową, że tak i czekam na następne pytanie. Ale pytania nie słyszę, więc mówię dalej:

- Nie wiem dokładnie, o której wyjechał. Ale rozmawiałam z żoną Rogera. Powiedziała, że Roger wyjechał z domu około wpół do czwartej. Miał podjechać po Griffa. Ja w tym czasie jeszcze spałam, ale słyszałam chyba przez sen, jak pod dom podjeżdża duży samochód. Na pewno Rogera.

- Jak nazwisko tego pana? - pyta agent Fitzgerald.

- Hogan. Roger Hogan - odpowiadam. Czuję jak ze zdenerwowania wilgotnieją mi dłonie. Zaczyna boleć mnie głowa.

- Czy udało się pani skontaktować dziś z mężem albo z panem Hoganem?

- Próbowałam. Ale w komórce Griffa od razu włącza się poczta głosowa. Żona Rogera, Laura, też dzwoniła do męża, ale nie uzyskała połączenia. Panie Fitzgerald...

- Jestem agentem.

- Przepraszam. Agencje Fitzgerald, proszę mi powiedzieć, dlaczego interesuje się pan Griffem i Rogerem? Nie rozumiem tego.

Po twarzy agenta przemyka uśmiech. Zęby ma białe i małe, zgryz nieprawidłowy. Dolna szczeka lekko wysunięta do przodu.

- Powiedzmy, że robię to ze względów... logistycznych. Poprosiliśmy policję w Julien, żeby podjechali do chaty, gdzie zatrzymał się pani mąż i jego kolega. Odnaleźli chatę i ciężarówkę Rogera Hogana. Przy pomoście nie ma łodzi. Obaj panowie wypłynęli na ryby. Jeden z policjantów został tam i czeka na ich powrót.

Niech czeka. Ja swoje wiem. Griff, jaki jest, taki jest, ale z zaginięciem dziewczynek na pewno nie ma nic wspólnego.

- Co Calli miała na sobie, kiedy widziała ją pani po raz ostami?

- Różową koszulkę nocną za kolana. Z krótkimi rękawkami.

- Buty?

- Buty? Oczywiście, że była bez butów.

W małych palcach agenta Fitzgeralda pojawia się długopis. Zapisuje coś w notesie, rzucając mi jednocześnie kolejne pytanie.

- Czy Calli nie wspominała, że się dokądś dziś wybiera?

Spoglądam na Louisa. Tym razem on patrzy na mnie.

- Nie powiedziałaś panu?

Louis kręci przecząco głową. Nie powiedział? Jestem na niego zła.

Odwracam się ponownie do agenta.

- Moja córka nie mówi. Przestała mówić, kiedy miała cztery lata.

Wyraz twarzy agenta nadal jest idealnie nieprzenikniony.

- Z powodu jakiejś choroby?

- Nie. Wydaje mi się, że nie ma potrzeby tego wyjaśniać.

- Trzeba powiedzieć, Toni - odzywa się cichym głosem Louis i zwraca się do agenta. -

Calli widziała, jak jej ciężarna matka spadła ze schodów. Dziecko urodziło się nieżywe.

Louis wkurza mnie coraz bardziej.

- Jak pani porozumiewa się z córką? - pyta agent.

- Z pomocą różnych gestów - odpowiadam. - Calli kiwa głową albo kręci nią, wiadomo, tak albo nie. Poza tym zna podstawowe wyrazy w języku migowym.

- Co mówią lekarze?

- Mówią, że Calli znów będzie mówić, kiedy sama zechce. Nie wolno jej do niczego zmuszać.

Wstaję i podchodzę do okna.

- Przepraszam, agencie Fitzgerald - odzywa się nagle Louis. - Chciałbym zamienić kilka słów z panią Clark. W cztery oczy.

- Naturalnie, bardzo proszę - mówi uprzejmie agent. Zamyka swoją teczkę, długopis wsuwa za ucho. Wstaje i idzie do drzwi. Louis i ja odprowadzamy go wzrokiem. Agent znika za drzwiami. Louis patrzy na mnie i milczy.

W końcu pytam:

- O co chodzi?

- Toni. To sprawa poważna.

- Poważna?! Louis! Do jasnej...! Moja córka zaginęła! Moja! A ty śmiesz mnie pouczać, że to sprawa poważna?!

Kończę krzyczeć, zaczynam płakać. Choć nienawidzę płakać przy świadkach, zwłaszcza w obecności Louisa.

Louis podchodzi do mnie.

- Toni, przepraszam - mówi, biorąc mnie za rękę.

- Nie płacz, Toni. Na pewno odnajdziemy Calli. Obiecuję ci to. A z agentem Fitzgeraldem musisz porozmawiać. Odpowiadać na jego pytania precyzyjnie, szczegółowo. Im szybciej to zrobisz, tym szybciej będzie można rozpocząć poszukiwania.

- Dobrze, dobrze... - szepczę. - Och, Boże! W swoim życiu popełniłam tyle błędów. Ale nie mogę stracić jeszcze jednego dziecka! Słyszysz, Lou? Nie przeżyję tego...

- Nie stracisz - mówi Louis twardym głosem.

- Masz moje słowo. Idź teraz po Bena, ja idę po Fitzgeralda. Trzeba jak najszybciej zakończyć tę rozmowę i przystąpić do działania.

Ścisną mocno moją rękę. Odwracam się i biegnę na górę, po Bena.

PETRA

Nie mam pojęcia, gdzie jestem. Idę po prostu za nimi. Co jakiś czas widzę ich, potem znikają mi z oczu. Teraz od dłuższego czasu ich nie widzę i wiem, że zabłądziłam. Zupełnie nie wiem, co robić. Siadam na przewalonym pniu, żeby odpocząć. Bardzo żałuję, że nie ma ze mną Calli. Ona wiedziałaby, którądy iść. Ja - nie. Choć wszyscy myślą, że jestem taka dzielna, taka mądra. A z tą dzielnością i mądrością bywa różnie.

W zerówce właściwie nie znałyśmy się z Calli. Wiedziałam, że mieszka w sąsiedztwie, ale nigdy nie bawiłyśmy się razem. Ale wiedziałam, że Calli nie mówi. Powiedziała mi o tym Lena Hill, która chodziła do tej samej klasy, co Calli. W pierwszej chwili nie uwierzyłam, ale przecież Lena dobrze znała Calli. Powiedziała, że Calli nigdy, przenigdy nie mówi ani słowa. Nawet kiedy pytała ją o coś sama dyrektorka, milczała jak grób. Spytałam Lenę, czy Calli ma problemy z nauką. Lena zaprzeczyła, ale powiedziała, że Calli chodzi na spotkania do szkolnego doradcy, pana Wilsona. Pomyślałam, że to nawet fajnie. Bo pan Wilson jest super.

Calli bardzo mnie ciekawiła. Kiedy obie byłyśmy już w pierwszej klasie, postanowiłam poznać ją bliżej. Pewnego razu, było to na samym początku roku szkolnego, podczas przerwy na lunch, przepchnęłam się przed Jake'a Moona i usiadłam sobie koło Calli. Jake za bardzo nie protestował. A ja chciałam się przekonać, czy Calli naprawdę nie mówi. Mnóstwo dzieci nie mówi w klasie ani słowa, a podczas lunchu wszyscy gadają jak najęci.

Calli - nie. Siedziała jak trusia i jadła swoją kanapkę.

- Z czym masz? - spytałam. Nie odpowiedziała, tylko podniosła połówkę kromki, tę na wierzchu, i pokazała, że ma kanapkę z czymś białym, podobnym do śmietany.

- Ale to chyba nie majonez! Okropność! - powiedziałam. Calli zmarszczyła nos i pokazała język, na znak, że dla niej majonez to też coś obrzydliwego. Potem podała mi połówkę swojej kanapki. Ugryzłam kawałek. Było pyszne.

- Już wiem! - zawołałam. - Zmiksowane masło orzechowe! Ale ty masz szczęście! Ja nigdy nie dostaję takich dobrych kanapek. Moja mama po prostu robi mi kanapkę z tego, co ma pod ręką. I z pszennego chleba!

Calli pokiwała głową na znak, że doskonale rozumie mój żal do mamy.

Wyszłyśmy razem na szkolny dziedziniec.

- Chodź, Calli - powiedziałam i podbiegłyśmy do moich koleżanek, które skakały przez skakankę. Dwie kręciły linką, Bree skakała, reszta czekała, aż zostanie wywołana. Ledwo zdążyłyśmy dobiec z Calli, kiedy Bree zawołała:

- Nie mam spodni, nie mam swetra, teraz skacze ze mną Petra!

I już skakałam. Skakałyśmy razem przez chwilę, potem Bree odeszła i teraz ja miałam zawołać jakąś koleżankę, oczywiście wymyślając na poczekaniu głupi wierszyk.

- Czy się pali? Nie, nie pali. Skakać będzie ze mną Calli!

I Calli pojawiła się przy mnie. Skakałyśmy i skakałyśmy, uśmiechając się do siebie. Obu nam brakowało jedynek. Potem ja odskoczyłam na bok, robiąc miejsce innej koleżance. Tę koleżankę miała wybrać Calli. Niestety, Calli skakała dalej, nie mówiąc żadnego wierszyka. Dziewczynki zaczęły się niecierpliwić, pokrzykiwać.

- Calli! Wywołaj którąś z nas! Na co czekasz, Calli? Nie wolno tak długo skakać!

W końcu dziewczynki, które kręciły skakaną, przestały kręcić. Długi sznur opadł na ziemię. Jednocześnie zadzwonił dzwonek. Wszyscy zaczęli ustawiać się w pary, żeby pomaszerować do klas. Koło mnie raptem znalazł się Nathan, bardzo z tego niezadowolony.

- O, nie! Nie będę stał z tą krzaczastą głową. Niech ktoś zamieni się ze mną miejscami!

Nikt nie chciał. Nawet Lena i Kelli, które są moimi przyjaciółkami. Byłam już na dnie rozpaczki, kiedy nagle pojawiła się Calli. Odepchnęła Nathana i stanęła obok mnie. Co najlepsze, cały czas patrzyła mu prosto w oczy. Dopóki Nathan nie powiedział:

- No dobrze. Dwie zakręcone pasują do siebie.

Następnego dnia podczas lunchu znów usiadłam obok Calli. Tym razem miała kanapki z masłem orzechowym i... parówkami bolońskimi. Chciała się ze mną podzielić, ale podziękowałam jej bardzo grzecznie. Po lunchu znowu razem wyszłyśmy na dziedziniec. Znowu wzięłam Calli za rękę i pociągnęłam do dziewczynek, skaczących przez skakaną. Calli chyba nie była tym zachwycona, dziewczynki też nie bardzo... Kiedy przyszła moja kolej, zawołałam:

- Chcę być królem, nie królową, Calli będzie skakać ze mną.

Poskakałyśmy razem, potem ja odskoczyłam na bok i zanim Calli i reszta dziewczynek zdążyły się zdenerwować, zawołałam:

- Calli lubi parówki, Calli lubi mnie, skakać będzie Lena, bo tak Calli chce!

Wierszyk taki sobie, ale problem został przecież rozwiązany. Lena poskakała z Calli, potem Calli odskoczyła na bok.

Och, jakbym chciała, żeby Calli była teraz ze mną! Ona na pewno znałaby drogę do domu. Poza tym byłybyśmy we dwie, a to całkiem inaczej.

I tak strasznie mi się chce pić...

ZASTĘPCA SZERYFA LOUIS

Ben powoli schodzi po schodach. Patrząc na niego z zazdrością. Jest tak podobny do swego ojca, a mój syn, Tanner, wdał się w matkę. Niewysoki, ciemnowłosy, oczy szaroniebieskie, taka jest cała jej rodzina. Ben sprawia wrażenie zdenerwowanego, ale wiem, że moja osoba zawsze go trochę onieśmiela. A w sumie to sympatyczny, dobrze ułożony chłopak.

- Ben - mówię - to jest agent Fitzgerald. Przyjechał pomóc odnaleźć Calli i Petrę.

Fitzgerald wyciąga rękę do Bena. Witają się, siadamy wszyscy przy stole. Toni obok Bena, Fitzgerald i ja po drugiej stronie stołu.

- Pani Clark - mówi agent, spoglądając na Toni.

- Wolimy z poszczególnymi członkami rodziny rozmawiać osobno. Dzięki temu każdy może wypowiedzieć się swobodnie.

- Rozumiem. Ale ja wolę zostać z moim synem - oświadcza Toni. Interweniuję.

- Toni, proszę. Naprawdę nie ma powodu do niepokoju.

Toni wstaje, bardzo niechętnie, i wychodzi z kuchni. Agent Fitzgerald zadaje chłopcu pierwsze pytanie. Zaczyna, oczywiście, od pytań bardzo prostych, żeby chłopiec się rozluźnił.

- Ile masz lat, Ben?

- Dwanaście - odpowiada chłopiec cichym głosem.

- Aha... A twoja siostra siedem, tak?

- Tak.

- Może opowiesz mi o niej?

- O Calli? Calli jest... ona jest dobrą siostrą. Nie wtrąca się do mnie, robi, co jej każę...

- A co każesz jej robić?

- Różne rzeczy. Wnosić śmiecie, sprzątać ze stołu i takie tam... - odpowiada Ben, wzruszając lekko ramionami.

- Klóćcie się czasami?

- Trudno klócić się z kimś, kto nie mówi. Fitzgerald zaśmiał się.

- Fakt. Ben, czyli twoja siostra robi zawsze, co jej każesz?

- Nie, to jest trochę inaczej. Ona po prostu lubi pomagać.

- Jesteście zżyci? Spędzacie ze sobą dużo czasu?

- Tak.

- Trochę dziwne. Dwunastoletni chłopak i jego siedmioletnia siostra.

- Wcale nie dziwne. Calli nie mówi, dlatego ma mało koleżanek.

- Ma Petrę Gregory. Dziewczynki są bardzo ze sobą zaprzyjaźnione, prawda?

- Tak. Ale przecież Petra nie jest z Calli przez cały dzień!

Fitzgerald wydaje się być usatysfakcjonowany odpowiedziami. Ale teraz wyraźnie zmienia front. Zaczyna łagodnie.

- Słyszałem o tobie wiele dobrego, Ben. Nauczyciele i sąsiedzi uważają cię za sympatycznego chłopca...

Domyślam się, ku czemu agent zmierza. Pytał mnie już o to wcześniej, kiedy przeglądał dokumentację. Powiedziałem mu, że to nie ma nic do rzeczy. Niestety, Fitzgerald ma własną koncepcję.

- ...tylko rodzice Jasona Meechuma mają wobec ciebie zastrzeżenia. Także sam Jason. Możesz mi to wyjaśnić?

- Jason Meechum jest idiotą i kłamcą - oświadcza Ben.

- A dokładniej?

- A dokładniej to nie muszę niczego panu mówić - mówi Ben, wyraźnie rozdrażniony.

Fitzgerald dalej syczy łagodnie:

- Nie, nie musisz. Ale powinieneś. Chyba chcesz pomóc Calli, prawda?

- Oczywiście. Ale siedzenie tutaj i odpowiadanie na głupie pytania na pewno jej nie pomoże.

Ben wstaje i krzyczy.

- Żeby ją odnaleźć, trzeba jej poszukać! Ona na pewno jest w lesie!

- Skąd wiesz, Ben? - pyta cicho Fitzgerald.

- Bo wiem! Wiem, dokąd chodzi! Dokąd idzie na spacer, gdzie się chowa, kiedy chce pobyć sama!

- A może... - Fitzgerald nachyla się nad stołem, jeszcze bardziej ścisza głos, mówi prawie szeptem

- ...może Calli jest tam, dokąd wcale nie chciała pójść? Wiesz coś o tym?

Ben wybiega z kuchni.

Uważam, że tym razem agent Fitzgerald wyraźnie przesadził.

ANTONIA

Z kuchni dobiegają do mnie podniesione głosy. Słyszę nazwisko Meechum, słyszę szybkie kroki. Ben wybiega z domu. Ja natychmiast wkraczam do kuchni.

- Co to ma znaczyć?! - pytam podniesionym głosem. - Co pan mu powiedział? Podejrzewa pan, że Ben ma z tym coś wspólnego? Mój syn?! Na litość boską! Przecież on stara się pomóc!

Jestem wściekła. Jakiś obcy człowiek zjawia się w moim domu, przegania stąd mojego syna, a Louis nie reaguje. Tylko siedzi z głową opuszczoną i wpatruje się w swoje ręce. Zawsze tak robi, od małego, kiedy ma jakiś problem. Natomiast agent Fitzgerald absolutnie nie jest speszony. Wiadomo, to jego chleb powszedni. Ładuje się do czyjegoś domu, narobi zamieszania, a potem do widzenia. Zaraz mu to powiem...

Otwieram usta. Louis też. Mówi pierwszy.

- Pójdę po niego.

- Nie ma potrzeby. Wiem dokładnie, dokąd poszedł. Sama pójdę do niego i razem pójdziemy szukać Calli - mówię chłodno, na koniec mamrocząc pod nosem: - Jeszcze tego brakowało, żeby ktoś nas tu obrażał...

- Pani Clark, pani postawa nie pomoże w śledztwie - mówi agent.

A tego po prostu już za wiele. Wybucham.

- Ach tak?! A to, co przed chwilą stało się z Benem, pomoże w śledztwie? Co ma do tego wszystkiego Jason Meechum? Co on ma wspólnego z zaginięciem mojej córki?

Zdaję sobie sprawę, że prawie wrzeszczę. Wściekła też dlatego, że tracę panowanie nad sobą. Na szczęście, udaje mi się trochę zniżyć głos. Co prawda minimalnie, ale przecież nie mam zamiaru przemawiać do nich łagodnie.

- Zastępco szeryfa, jestem zdumiona, że uznał pan za konieczne przekazanie tej informacji agentowi Fitzgeraldowi! A pan, agencie Fitzgerald, może skupi się na tym, co istotne. Poinformuje mnie, co konkretnie zamierza pan zrobić w tej sprawie. Podpowie, co ja mam zrobić!

Ciekawe, co w ogóle teraz powie. Ciekawe, czy w tej szkole dla agentów nauczyli go, jak postępować w takiej sytuacji jak ta. Konkretnie - jak mnie uspokoić.

Agent przeprasza.

- Przykro mi, że zdenerwowałem pani syna, pani Clark. Ale musimy brać pod uwagę wszystkie możliwości. Zdarzają się sytuacje, że ktoś ma do kogoś pretensję, a wyładowuje się

na jego najbliższym krewnym. A jeśli chodzi o zastępcę szeryfa Louisa, on naprawdę nie wiedział, że zamierzam wspomnieć o sporze między Benem a Jasonem.

- Rozumiem. Czyli wariant dobry policjant i zły policjant... Och, nieważne. Ja w każdym razie nie ruszam się teraz z domu. Panowie niech robią, co do nich należy, ale jeśli Calli nie odnajdzie się do szóstej wieczorem, skrzyknę wszystkich znajomych i idziemy do lasu. Calli na pewno tam jest. Trzeba tylko ją odnaleźć.

- Pani Clark, doskonale rozumiem, że chciałaby pani uczestniczyć w poszukiwaniu córki. Wolałbym jednak, żeby pani tego nie robiła. Im mniej osób kręci się teraz po lesie, tym lepiej. Policja już tam jest, a w chwili obecnej organizujemy poszukiwania na dużą skalę. Czekamy na psy. Proszę się nie martwić, robimy wszystko, żeby odnaleźć pani córkę. A z pani synem będę musiał jeszcze raz porozmawiać. Wpadanie w gniew i uciekanie na pewno nie pomoże Calli.

- Ben robi dla siostry wszystko - mówię przez zaciśnięte zęby.

- Nie wątpię, pani Clark. A poza tym jeszcze kilka spraw. Powinna pani wiedzieć, że niebawem zaczną kontaktować się z panią dziennikarze. To dobrze, oni zawsze mogą się przydać, proszę jednak udzielać im tylko jednej informacji. Córka pani zaginęła, na tym koniec. Mediom koniecznie też trzeba przekazać zdjęcia dziewczynek. Im więcej ludzi pozna ich twarze, tym większa szansa, że znajdzie się ktoś, kto je gdzieś widział lub zobaczy. Wkrótce zjawią się też u pani technicy z laboratorium, żeby zebrać materiał dowodowy. Proszę nie wchodzić do pokoju córki, pokój powinien być w takim stanie, w jakim znajdował się w chwili, gdy dziecko z niego wyszło. A najlepiej by było, gdyby pani na jakiś czas przeniosła się do rodziny albo sąsiadów. Proszę powiadomić policję, gdzie się pani zatrzymała. Do widzenia, pani Clark.

On i Louis wychodzą, ja rozmyślam. Wcale nie mam ochoty opuszczać swojego domu, jeśli jednak okaże się to konieczne... Do kogo mogłabym pójść? Do pani Norland, bardzo życzliwej nam starszej pani z sąsiedztwa, chociaż kontakty między nami ograniczają się głównie do pomachania sobie przez płot i promiennych uśmiechów.

Płot, ogród... Wyglądam przez okno. Mój ogród stanowczo domagał się pielienia. Może więc powstrzymać się jeszcze z dzwonieniem do pani Norland. Czekać na nowe wiadomości, a jednocześnie, żeby nie zwariować, popracować w ogrodzie.

Idę do komórki po rękawiczki, łopatkę i wiadro. Nie podlewałam od wielu dni. To też należałoby zrobić, ale wieczorem, nie teraz, w palącym słońcu, kiedy woda natychmiast wyparuje i rośliny nie będą miały z podlewania żadnego pożytku.

W ciemnej komórce, starej już i zdecydowanie chylącej się ku upadkowi, mającą wśród pajęczyn stare pojemniki z farbą. Jasnożółtą. Kupioną przed wieloma laty, kiedy to ojciec zaraz po moim ślubie z Griffem wręczył mi klucze, życzył wiele szczęścia i wyjechał za moimi braćmi. Zostałam panią piętrowego domu. Białego, a ja zawsze chciałam mieszkać w żółtym. Potrafiłam godzinami chodzić po sklepie, oglądać farby i szukać odpowiedniego odcienia. Te kubły z farbą przywiozłam do domu parę dni po ślubie. Griff obiecał, że zaraz zabierze się za malowanie. Nie zrobił tego do dziś.

Miałam wtedy osiemnaście lat, teraz trzydzieści jeden i nadal nie mieszkam w żółtym domu.

Wychodzę z ciemnej komórki na oślepiające słońce. Patrzę na moje rabaty. Od której zacząć? Wszystkie zaniedbane. W ciągu ostatnich kilku tygodni mordercze upały skutecznie odstraszały od pracy w ogrodzie. W rezultacie pomidory i cukinia są przejrzałe, a tojeść na rabatach, ponadgryzana przez sarny, więdnie.

Spoglądam dalej, na kawałek ziemi za grządkami z warzywami. Na początku lata wysiałam tam trawę, ale nie wyrosła. Dalej był to placek gołej ziemi, na którym teraz coś zauważyłam. Coś, co kazało przestąpić przez przerośnięty rabarbar i przyjrzeć się dokładnie.

Śladom. Wyraźnym śladom, dużym i małym. Stopy dziecka, widać dokładnie odcisnięte paluszki. Obok ślady męskich butów. W pewnym momencie ślady dziecka się kończą, widać już tylko ślady męskich butów. Ziemia obok wzruszona, jakby ktoś po niej coś ciągnął.

Prawie półprzytomna ze strachu odwracam się i biegnę z powrotem do domu. Jak najszybciej powiadomić o śladach policjanta, który pilnuje naszego domu, jak najszybciej zadzwonić do Louisa.

MARTIN

Fitzgerald i Louis przed wyjściem z naszego domu zachęcają nas, żebyśmy do chwili zakończenia śledztwa przenieśli się do krewnych albo do bliskich znajomych. O wiele łatwiej znieść przeciwności losu, mając przy sobie życzliwych ludzi. Poza tym, chodząc po domu, możemy nieświadomie zniszczyć jakiś dowód.

Fielda próbuje dyskutować.

- A jeśli w tym czasie Petra wróci do domu? Powinnam czekać tu na nią!

Fitzgerald i Louis zapewniają ją, że w domu przez cały czas ktoś będzie, a poza tym będziemy informowani na bieżąco o wszystkim.

Zabieram Fieldę do samochodu i jedziemy do jej matki. Pani Mourning, zalana łzami, zaczyna nerwowo krzącać się koło córki. Fielda wygląda bardzo źle, oboje namawiamy ją, żeby się położyła.

Boli ją głowa. Przynoszę jej tabletki przeciwbólowe, które znalazłem w domowej apteczce i wodę z lodem. Fielda, zwinięta w kłębek pod kołdrą, którą uszyła jej babka, wygląda bezbronnie i... staro. Jest całkiem inna niż sprężysta, bardzo ruchliwa Fielda o młodzieńczym wyglądzie, jaką oglądam na co dzień.

Posłusznie kładzie sobie tabletkę na języku, popija wodą i z powrotem opada na poduszki.

- Zdrzemnę się troszkę... tylko chwilę.

Wiem, że robi to tylko z rozsądku. Wcale nie chce spać, kiedy nie wiadomo, gdzie jest jej dziecko. Najchętniej położyłbym się teraz obok niej, łyknął garść tabletek i zasnął. Ale nie wolno mi tego robić. W każdej chwili przecież mogę być potrzebny. Poza tym Louis i Fitzgerald obiecali, że zadzwonią do mnie po rozmowie z Antonią i jej synem.

Ja po rozmowie z agentem i Louistem byłem bardzo przygnębiony. Miałem wrażenie, jakby do mojego normalnego, przyzwoitego życia wkradł się brud, a nawet perwersja. Agent Fitzgerald o nic mnie nie oskarżał, tylko prosił, żebyśmy razem z Fieldą pojawili się na posterunku. Chcą mieć odciski naszych palców. Żeby wykluczyć, jak to określił Fitzgerald. Ale ja, człowiek raczej doinformowany, wiem, że w przypadku zaginięcia dziecka członkowie rodziny są pierwsi na liście podejrzanych. Często niestety okazuje się, że słusznie.

Ale Fielda? Ja? Fakt, że ktokolwiek może nas podejrzewać o skrzywdzenie dziecka, wzbudzał we mnie gniew. Fielda od dnia naszego ślubu nieustannie wspominała o dziecku. O całej gromadce ciemnookich dzieci o kręconych włosach, które będą kochały książki, jak tata i lubiły dobrze zjeść, jak mama. Mnie jakoś trudno było sobie wyobrazić, że mógłbym zostać ojcem. Przede wszystkim upajałem się faktem, że u mego boku niespodzianie pojawiła się tak cudowna, piękna kobieta. A Fielda potrafiła godzinami przeglądać czasopisma dla rodziców i katalogi z ubrankami dla dzieci. Studiowała wszystko dokładnie. Snuła plany, ja tylko potakiwałem albo wydawałem z siebie pomruki pełne aprobaty, kiedy Fielda pokazywała mi jakiś nadzwyczajny artykuł o opiece prenatalnej czy organicznych produktach spożywczych dla niemowląt.

Miesiące mijały, zrobił się z tego cały rok, dwa, cztery. Fielda niezmiernie zaczytywała się książkami dla rodziców. Potrafiła rozmawiać tylko o dzieciach. Jak to jest, kiedy zaj-

dzie się w ciążę, potem urodzi, potem wychowuje. Wstyd przyznać, ale w końcu moja cierpliwość się wyczerpała.

Nie jestem tak zwaną „złotą rączką”, ale przysłowiową uszczelkę w kranie potrafię wymienić. Pewnego dnia zszedłem do piwnicy po rzadko używaną skrzynkę z narzędziami. Miałem zamiar wymienić rączkę prysznica. Do dziś nie wiem, dlaczego to właśnie pudło z przezroczystego plastiku zwróciło moją uwagę. Może dlatego, że spod niebieskiego wieka wyglądało coś jasnorożowego, taka radosna plamka na tle szarości naszej ponurej piwnicy. W każdym razie to pudło mnie zaintrygowało. Zdjąłem je z półki i otworzyłem, czując przy tym całkowicie nieuzasadniony lęk. Jakbym w tym momencie robił coś złego, podstępnego.

Pudło było pełne ubranek dla dzieci. Różowych, niebieskich, żółtych. Wszystkie nowiutkie, z etykietkami z ceną. Sukieneczki dla dziewczynek i dresiki dla chłopców, malutkie skarpetki, za małe na mój kciuk. Śliniaczki z napisami: Córeczka tatusia albo: Wypiłaś mleczko?

Oczywiście, że nie chodziło mi o pieniądze, chociaż taka ilość ubranek nie kosztowała parę dolarów.

Przeraziłem się, bo to wszystko razem wydało mi się po prostu nieskończenie smutne. Dziś patrzę na to inaczej. Pudło z ubraniami to wyraz nadziei. Fielda, kupując ubranka, utwierdzała się w przekonaniu, że w końcu zajdzie w ciążę. Będzie miała dziecko, ubranka przecież już ma.

Wtedy jednak patrzyłem na to inaczej. Chwyciłem garść tych różnokolorowych szmatek i pognałem po schodach na górę, gubiąc po drodze maciupeńkie T-shirty.

- Fieldo! Fieldo!

Fielda zamierzała właśnie odcedzić makaron. Wystraszona moim krzykiem upuściła garnek na podłogę. Białe śliskie sznurki makaronu plus wrzątek zaścieliły podłogę.

- Martin! Co się stało?

- A to! - huknąłem, wyciągając przed siebie garść szmatek. - Oszalałaś?

Natychmiast tego pożałowałem, kiedy zobaczyłem, jak zmieniła jej się twarz. Pożałowałem, ale, skończony dureń, wcale się nie zamknąłem.

- Fieldo, nie mamy dziecka! Może nigdy nie będziemy mieli. Czy do ciebie to nie dociera?

- Nie - powiedziała niebezpiecznie cichym głosem. - Bo ja będę miała dziecko. Ja muszę je mieć.

- Och, tylko nie dramatyzuj - powiedziałem, wykazując się na koniec wyjątkową bezmyślnością. - A ja nie mam zamiaru patrzeć spokojnie, jak wydajesz pieniądze na dziecko, które nie istnieje.

Jakbym ją uderzył. Nadal mam przed oczami jej zboląłą twarz. Do dziś, kiedy przypominę sobie tę scenę, policzki palą mnie ze wstydu.

Wyszła z kuchni, omal nie przewracając się na tym nieszczęsnym makaronie. Przez cały tydzień traktowała mnie jak powietrze. Po tygodniu zaczęła się do mnie odzywać, ale nie pozwoliła mi się dotknąć. Zamykała się w łazience na bardzo długo. Wychodziła stamtąd zaczerwieniona, z zapuchniętymi oczami. Nigdy jednak nie płakała w mojej obecności. Pewnego dnia w apteczce znalazłem tabletki na sen. Pomyślałem, że to dobrze. Może wreszcie skończy się to nieustanne spacerowanie po pokoju do bladego świtu. Tak pomyślałem, stary dureń. A tę fiolkę z tabletkami trzeba było od razu wyrzucić.

I raptem pewnego dnia wszystko wróciło do normy. Fielda znowu była tą samą uroczą, radosną Fieldą. Byłem pewien, że w końcu zaczęła myśleć racjonalnie. Myliłem się jednak. Jej misja życiowa - macierzyństwo - nic nie straciła ze swej aktualności. Dowiedziałem się o tym, kiedy zadzwoniła sekretarka z przychodni lekarskiej. Poinformowała, że są już wyniki testu i pan doktor zaprasza panią Gregory do siebie.

Było mi przykro, że Fielda za moim plecami podejmuje jakieś kroki. Przykro, ale nie miałem do niej pretensji. W końcu to ja osobiście wbijałem jej do głowy, że powinna już dać sobie spokój z nadzieją na dziecko. Przekazałem jej informację od sekretarki. Podziękowała mi, jestem pewien, że spodziewała się z mojej strony jakiejś gwałtowniejszej reakcji. Ale ja, zamiast się pieklić, zrobiłem coś innego. Tamtego październikowego popołudnia odwołałem swoje zajęcia i poszedłem razem z Fieldą do lekarza. Pamiętam, że była wtedy brzydka mżawka.

Kiedy siedzieliśmy w poczekalni, chciałem wziąć

Fieldę za rękę. Potem próbowałem ją zabawić, czytając na głos co ciekawsze kawałki ze starych czasopism wyłożonych na stoliku. Fielda nie miała zamiaru ani dać się trzymać za rękę, ani słuchać. Wstała i zaczęła chodzić po poczekalni, popatrując sobie na powywieszane na ścianach zdjęcia wymęczonych położnic z malutkim dzieckiem przy piersi. Czasami obok którejś z nich stał blady, zszokowany ojciec dziecka.

Kiedy pielęgniarka zaprosiła ją do gabinetu, nawet nie spojrzała na mnie, tylko od razu wmaszerowała do środka. Chwilę później w poczekalni ponownie pojawiła się pielęgniarka.

- Panie Gregory, zapraszam! - zawołała z uśmiechem. - Doktor Berg chciałby porozmawiać również z panem!

Uśmiech pielęgniarki napawał optymizmem. Fielda, po rozmowie z mądrym lekarzem, faktycznie zaczęła myśleć racjonalnie. Wróci do swojej poprzedniej postaci, czyli wyprostuje się, oczy znów będą iskrzące się, roześmiane.

Fielda, kompletnie ubrana, siedziała na fotelu ginekologicznym. Bardzo zdenerwowana, co widać było po jej nogach. Krzyżowała kostki, potem ustawiała stopy obok siebie, potem znów na krzyż.

Lekarz robił jak najlepsze wrażenie. Miał śniadą, pełną powagi twarz, czarne włosy, zaczesane w tył i łagodne spojrzenie.

- Witam pana, panie Gregory. Moje nazwisko Berg, jestem ginekologiem. Proszę, niech pan siada - powiedział, wskazując na małe krzeselko z plastiku.

- Dziękuję, postoję - powiedziałem, ustawiając się obok Fieldy.

- Proszę bardzo. A więc... Zaprosiłem dziś państwo oboje do siebie, ponieważ chciałbym poinformować o wynikach pierwszych testów, mających na celu wykrycie przyczyny, dlaczego pani Gregory nie może zajść w ciążę.

Kiwnąłem głową i wziąłem Fieldę za rękę. Tym razem nie broniła się.

- Mam dobrą wiadomość - mówił dalej doktor Berg. - Testy nie wykazały niczego, co wykluczałoby możliwość zajścia w ciążę. Oczywiście, pani Gregory może poddać się jeszcze dalszym testom, chciałem jednak zasugerować, że warto byłoby również szukać przyczyny gdzie indziej.

- To znaczy gdzie? - spytałem.

- Dobrze by było zbadać pańską spernę, panie Gregory.

- Och... - zaśmiałem się głupio. - Nie sądzę, żeby to było konieczne. Jestem zdania, że na wszystko przyjdzie pora. A jeśli nie... No cóż, może rodzicielstwo nie jest nam sądzone.

Dłoń Fieldy zaczęła wysuwać się z mojej. Powoli, nie było w tym nic niepokojącego. Fielda zsunęła się z fotela i bez słowa wybiegła z gabinetu. Nie pożegnała się z lekarzem, a to już niepokoiło. Fielda wobec wszystkich była zawsze bardzo uprzejma. Pożegnałem się więc z lekarzem, wyszedłem na parking. Fielda naszym samochodem wyjeżdżała już na ulicę.

Cztery kilometry, dzielące mnie od domu, pokonałem pieszo, forsując kałuże, czym moje wyjściowe półbuty doprowadziłem niemal do ruiny. Fieldy w domu nie było. Pomyślałem, że

może potrzebuje teraz chwili samotności. Ale minuty wydłużyły się w godziny, w końcu nadszedł wieczór. Zadzwoiłem do kawiarni. Fieldy tam nie było.

- Poprzykaliście się? - spytała teściowa żartobliwie. - Nie martw się. Wszystko ci wybaczy, tylko daj jej trochę czasu!

Zaśmiałem się trochę sztucznie i poprosiłem o przekazanie Fieldzie, gdyby się odezwała, że ma natychmiast do mnie zadzwonić.

Przestało padać. Zapadał zmierzch, w domu zrobiło się mroczno. I tak jakoś pusto. W końcu nie wytrzymałem. Wsiadłem do naszego drugiego samochodu, brązowej, trochę już napoczętej przez rdzę chevette, i przez następną godzinę jeździłem po mieście, szukając Fieldy. Przejechałem koło biblioteki, koło sklepu z materiałami, koło sklepu ze słodyczami. Przystanąłem na moment przed jasno oświetloną Mourning Glory Café. Ani śladu Fieldy, ani śladu naszego camry. Postanowiłem pojechać na camping, zaśmiecony kawałek ziemi, dokąd ciągną ludzie, którzy naprawdę nie wiedzą, co zrobić ze swoim wolnym czasem. Siedzą tam przy ognisku i piją piwo. Cały dzień, całą noc. Trudno mi było sobie wyobrazić, że Fielda pojechała właśnie tam, ale innego pomysłu już nie miałem.

Naszego camry zobaczyłem od razu, zaraz po wjeździe na wyłożony kostką placyk wśród gigantycznych klonów. Podjechałem, zrównałem się z camry, czując już, że wydarzyło się coś złego. Coś bardzo złego. Powoli - sam nie wiem, dlaczego właśnie tak - otworzyłem drzwi mojego samochodu, wysiadłem i głośno je zamknąłem. Moje buty kilkakrotnie uderzyły o moką kostkę. Podeszedłem z lewej strony. Przycisnąłem czoło do szyby, zrobiłem z dłoni klapki z boku oczu, żeby widzieć. Zobaczyłem. Moja Fielda siedziała na fotelu kierowcy, przechylona, głowa oparta była na zagłówku sąsiedniego fotela. Twarz zasłonięta rękami. Fielda wyglądała tak, jakby spała. Ale ona wcale nie spała, czułem to.

Szarpnąłem za klamkę. Drzwi zablokowane. Drżącymi palcami zacząłem przebierać pęk swoich kluczyków, wydawało mi się, że robię to całą wieczność. W końcu odnalazłem ten właściwy, ale nie byłem w stanie trafić do zamka. Musiałem zrobić przerwę. Głęboki wdech, jeden, drugi, ręce uspokoiły się. Otworzyłem drzwi, chwyciłem Fieldę za ramiona i przyciągnąłem do siebie. Od razu poczułem charakterystyczny kwaśny zapach. Ślady były wszędzie, na fotelach, na podłodze. Nie pamiętam, czy mówiłem coś wtedy do Fieldy. Pamiętam tylko, że w mojej głowie była jedna myśl. Błaganie. Boże, wielki Boże, nie zabieraj mi jej. Objąłem ją mocno i kołysałem, w przód i w tył, jak dziecko. Ale tylko przez moment, zdawałem sobie przecież sprawę, że liczy się teraz każda minuta. Przeniosłem Fieldę do chevette i łamiąc

wszelkie przepisy ruchu drogowego, pognąłem do Szpitala Miłosierdzia. Zrobili Fieldzie płukanie żołądka. Mnie kazali czekać. Kiedy wręczyłem siostrze z ostrego dyżuru pustą fiolkę po tabletkach, które połknęła Fielda, siostra, spojrzawszy na nalepkę, powiedziała mi, że to cud, że moja żona żyje. Spojrzenie siostry było bardzo wymowne. Należało mi się. Zawiodłem Fieldę, zasługiwałem na najcięższą karę.

Odebrano mi ją na dwa tygodnie. Wolno było ją odwiedzać, ale ona nie chciała mnie widzieć. Odwołałem wszystkie swoje wykłady i zajęcia ze studentami. O świcie pojawiałem się w szpitalu, siadałem w poczekalni i błagałem siostry, żeby pozwoliły mi choć spojrzeć na Fieldę. Posyłałem Fieldzie kwiaty, słodycze, muffinki z makiem i kawałkami pomarańczy. W końcu dopuściła mnie do siebie. Jestem pewien, że przyczyniła się do tego pani Mourning.

Wszedłem do pokoju, wcale nie był ciemny i smutny, jak się spodziewałem. Był jasny, słoneczny, pachniało różami. To ode mnie te róże. Na stoliku stał wazon z dużym bukietem róż, a wokół wazonu leżało mnóstwo kart od rodziny i przyjaciół z życzeniami jak najszybszego powrotu do zdrowia. Pielęgniarka zostawiła nas samych. Wychodząc powiedziała Fieldzie, że gdyby czegokolwiek potrzebowała, ma ją wezwać. Fielda wyraźnie unikała mojego spojrzenia. Wydawała mi się o wiele szczuplejsza, mniejsza. I bardzo, bardzo zmęczona.

Podszedłem do niej, zdjąłem marynarkę, ściągnąłem z nóg buty i położyłem się obok żony na tym małym szpitalnym łóżku. Przytuliłem ją do siebie i oboje utonęliśmy we łzach. Płakaliśmy, błagając siebie nawzajem o przebaczenie.

Minęło dziesięć lat. I teraz nasza jedyna córka nagle zaginęła podczas morderczych upałów...

Fielda naciągnęła kołdrę na głowę. Słyszę jej oddech, ciężki, miarowy. Głaszczę ją po ramieniu, na palcach wychodzę z pokoju. Zamykam za sobą drzwi i przez chwilę zastanawiam się, co dalej robić. Wiem, że nie usiedzę teraz w domu teściowej. Chcę być w pobliżu policjantów, wiedzieć na bieżąco i widzieć, co się dzieje. Trzymać rękę na pulsie. Już raz zawiodłem swoje dziecko. Dopuściłem, żeby ktoś uprowadził je z domu. Jestem pewien, że tak właśnie było. Jakiś drań w środku nocy zakradł się do mojego domu. Cicho wszedł po schodach, przemknął korytarzem jak cień i zatrzymał się w otwartych drzwiach do pokoju mojego dziecka. Stał tam, słuchał szelestu wiatraczka, i patrzył, jak klatka piersiowa Petry unosi się i opada...

Stop. Trzeba wyłączyć wyobraźnię. Nie wolno zadrećcać się przerażającą wizją tego, co mogło wydarzyć się potem. Nie wolno, nie wolno.

Ale ja wiem. Jakiś drań w środku nocy zakradł się do mojego domu...

BEN

Biegnę, biegnę, zaryczany jak mały dzieciak. Co chwilę potykam się o kamienie, o wystające korzenie. Przewracam się, uderzając o przewalony pień, rozrywam koszulę o kolczastą gałąź. Ale biegnę dalej i ryczę. Tak wkurzył mnie ten gliniarz. On myśli, że to ja ciebie skrzywdziłem, Calli, to jasne. Ja! Albo że przynajmniej wiem, kto to zrobił!

Jason Meechum to zwykły gnojek. Wtedy, na lekcji matematyki, nauczycielka wywołała mnie do tablicy i kazała rozwiązywać zadanie. Dzielenie ułamków. Nawet proste, mogłem rozwiązać je błyskawicznie, gdybym siedział sobie w domu, w kuchni przy stole. Ty obok. Ty rysujesz motyle, a ja dzielę sobie te ułamki. Niestety, stałem przy tablicy przed całą klasą. Patrzyło na mnie dwadzieścia siedem par oczu. W ręku trzymałem gruby kawałek kredy i nic. Totalna blokada. Po prostu nie mogłem myśleć. Wtedy usłyszałem ten wredny, piskliwy głos Meechuma:

- Debil...

Dzieciaki zaśmiały się, ale nikt się nie odezwał.

Nauczycielka, oczywiście, nie dosłyszała. Powiedziała mi, żebym się skupił i spróbował jednak rozwiązać to zadanie. A ja znowu usłyszałem śmiech. Spojrzałem przez ramię. Meechum robił głupie miny i dalej szeptał: - Debil, debil...

Do dziś nie mogę uwierzyć, że zrobiłem to, co zrobiłem. Naprawdę, ale Meechum czeptał się mnie od dawna. Bez przerwy robił jakieś głupie uwagi na temat mojego trunkowego ojca i głupiej siostry. A teraz to już był szczyt wszystkiego. Odwróciłem się, w ręku kawał kredy. Rzuciłem nią z całej siły i natychmiast chciałem złapać z powrotem. Oczywiście było to niemożliwe. Bałem się przede wszystkim, że dostanie ją ktoś inny, nie Meechum. Oby tylko nie nauczycielka.

Kreda trafiła do celu. Dokładnie między oczy Meechuma. Zakrył twarz rękami. W klasie zrobiła się cisza jak makiem zasiał. Panna Henwood usiadła ciężko na swoim krześle. Przede wszystkim chyba zaskoczona, bo ja nigdy dotąd nie stwarzałem żadnych problemów.

Wyszedłem z klasy i poszedłem prosto do domu. Pięć kilometrów.

Moja mama czekała już na mnie. Nie krzyczała, wcale nie była rozgniewana, tylko po prostu smutna. Ja, oczywiście, z miejsca zacząłem coś tam wykrzykiwać. Wtedy mama posadziła mnie sobie na kolanach, jakbym miał trzy lata. Od razu się rozryczałem, a mama trzymała mnie na kolanach i powtarzała, że wszystko będzie dobrze.

Ale nie było. Doszło do spotkania z samym dyrektorem. Zdecydowano, że mam przeprosić Meechuma. Zrobiłem to, choć wszystko się we mnie przewracało. Przecież on sobie na to zasłużył. Przeprosiłem, ale rodzice Meechuma dalej się żołądkowali. Mówili, że powinienem być wydalony ze szkoły. Ale tak się nie stało. Chociaż ja, w tamtej chwili, nie miałbym nic przeciwko temu.

Po tygodniu Meechum z kumplami czekali na mnie, kiedy wracałem ze szkoły. Poszturchali mnie, moją mamę nazwali dziwką, która kręci z zastępcą szeryfa. Po kilku dniach zdarzyło się, że Meechum szedł sam. Wykręciłem mu rękę do tyłu i zapowiedziałem, że jeśli jeszcze raz powie choć słowo na moją rodzinę, to go zabiję. Meechum wygadał się swojej matce, matka zaraz zadzwoniła do szkoły. Znowu spotkanie z dyrektorem. Ale ja po prostu wszystkiemu zaprzeczyłem, a nikt niczego nie mógł mi udowodnić. Matka Meechuma gadała coś potem o jabłku, co niedaleko pada od jabłoni. Jabłoń to oczywiście miał być mój tato. Wtedy nasza mama prawie dostała szału.

Jak powiedziałem, niczego mi nie udowodniono, ale od tamtej pory zaczęto traktować mnie trochę inaczej. Po prostu już nie byłem tym chłopcem, który nigdy nie stwarza żadnych problemów.

Calli, ty dobrze wiesz, że nie jestem taki jak tato, nie jestem taki. Nikomu bym nie zrobił krzywdy. A co dopiero tobie! Ciebie, Calli, to ja po prostu odnajdę. Choćbym miał cię szukać całą noc. Odnajdę i przyprowadzę z powrotem do domu.

CALLI

Calli spała niespokojnie. Budziła się kilka razy. Ziemia była twarda, komary cięły bezlitośnie w każdy nieosłonięty kawałek ciała. Między jednym obudzeniem się a drugim miała sen. O tym, że frunie. Leciąca jak ptak między gałęziami drzew. Czuła na czole chłodny powiew wiatru i takie miłe zawirowanie w żołądku, jak na karuzeli w wesołym miasteczku. W dole, pod sobą, widziała strumień. Zapraszał, żeby zanurzyć się w jego chłodnej wodzie. Niestety, Calli nie udawało się zmusić swego ciała do lotu w dół. Frunęła dalej przed siebie, nad krętym strumieniem. Nagle w dole mignęły rude włosy ojca. Podniósł głowę, zobaczyła płonący z gniewu wzrok. Przestraszyła się, ale zaraz potem zobaczyła coś bardzo miłego. Sarenkę z długimi uszami, jak u zająca. Stała na brzegu strumienia i piła wodę. Też podniosła głowę i spojrzała na Calli swoimi pięknymi łagodnymi oczami. Calli sfrunęła niżej, zatrzymała się w powietrzu nad ślicznym zwierzątkiem i pogłaskała je po lśniącej grzbiecie. Ale spłoszona sarenka uciekła

między drzewa. Calli pofrunęła za nią, a dokładniej - za białym ogonkiem, postawionym ostrzegawczo.

Sarenka kluczyła między jodłami i kasztanowcami, Calli starała się nie stracić jej z oczu. Nagle poczuła, że ktoś szarpie ją za brzeg koszulki. Chce ją złapać i przytrzymać. Spojrzała w dół. To Petra, macha ręką, uśmiecha się. Calli też się uśmiechnęła i pofrunęła dalej. Ktoś dotknął jej ramienia. Mama, też uśmiechnięta. Uśmiech zgasł, oczy mamy posmutniały, kiedy Calli oddalała się od niej.

Nagle cały las wypełnił się ludźmi. Wszyscy dobrze znani. Pani White, szkolna pielęgniarka, obok stoją nauczycielka Calli z zerówki i pani Vega, nauczycielka z pierwszej klasy, ukochana nauczycielka Calli. Jest też pan Wilson, doradca szkolny. W ręku trzyma otwarty dziennik w czarnej okładce, pokazuje w nim coś, czego Calli nie może dojrzeć. Co to może być? Calli znów stara się zmusić swoje ciało, żeby pofrunęło w dół, w stronę pana Wilsona. Ale ono wcale nie słuchało. Dalej leciało do przodu, nad głowami innych znajomych osób. Była tam pani Norland, sąsiadka, i zastępca szeryfa Louis. Państwo Gregory, dzieci ze szkoły Calli, Jake Moon i Lena Hill. Pani bibliotekarka. Wszyscy wyciągali do Calli ręce. A Calli chciała przede wszystkim zobaczyć teraz Bena.

Nie było go. Byli natomiast jacyś inni, nieznanymi jej ludziami. Też wyciągali do niej ręce. Przestraszyła się. Zaczęła szybko poruszać nogami i rękoma, jak przy pływaniu, wzbijała się trochę wyżej i pofrunęła tam, dokąd pobiegła sarenka. Odnalazła ją na polance, ukrytej wśród drzew. Na środku polanki było małe jezioro. Sarenka zatrzymała się tam, żeby napić się wody. Calli też bardzo chciało się pić, ale jej ciało absolutnie odmówiło posłuszeństwa i nie mogło wylądować na brzegu jeziora.

Nagle, nie wiadomo, jak i skąd, pojawił się Ben. Starszy brat. Duży, silny, zawsze taki dobry dla Calli. Zawołał coś do niej. Ona chciała krzyknąć, że bardzo chce jej się pić. Niestety słowa, jak zawsze, nie chciały przejść przez gardło. Ale Ben zawsze wiedział, czego Calli chce. Nabrał wody w dłoń i wyrzucił ręce w górę. Z rąk trysnęła woda, jedna chłodna kropla spadła na język Calli.

Wyciągnęła rękę do brata, on do niej. Ale było tak, jakby ktoś wypełnił ją helem. Unosiła się coraz wyżej i wyżej, ponad korony drzew. Ben był coraz dalej, coraz niżej, już go nie widać, tylko jego rude włosy, jak mały czerwony proporczyk, znaczą zieleń lasu.

Calli unosi się coraz wyżej, coraz wyżej. Leci ku słońcu...

Obudziła się nagle. Było okropnie gorąco. Język opuchnięty, sztywny i suchy, nie było czym zwilżyć spękanych warg. Niezwykły sen natychmiast umknął jej z pamięci, pozostało jednak poczucie, że Ben jest gdzieś tu w pobliżu. A to dodawało otuchy. Wstała z wielkim trudem. Bolały ją wszystkie mięśnie. Najbardziej stopy, ale wiedziała, że musi iść. W dół, do strumienia.

Zaczęła powoli schodzić stromą ścieżką, przestępując przez gałęzie i ostre kamienie. Kiedy tak szła, w pamięci odżył sen. Przypomniała sobie pana Wilsona, szkolnego doradcę, który w tym śnie trzymał otwarty dziennik i coś w nim pokazywał.

Podczas pierwszego spotkania pan Wilson, wysoki, szczupły pan z włosami białymi jak mleko i długim nosem, poprosił Calli, żeby usiadła obok niego przy okrągłym stole i położył przed nią na stole zeszyt. Duży, bardzo gruby, w czarnej sztywnej okładce, zszytej na grzbiecie białą jedwabną wstążeczką. Kartki w tym zeszycie też były niezwykle, z szarego szorstkiego papieru, z którego wystawały niteczki. Obok tego zeszytu pan Wilson położył pudełko z nowiutką kolorową kredą, ale nie taką, tylko w czterech kolorach, którą rysuje się po chodnikach. W tym pudełku były wąziutkie pałeczki kredy we wszystkich kolorach tęczy. Jak dla prawdziwej malarki.

Pan Wilson ułożył to wszystko przed Calli i powiedział:

- Czy wiesz, Calli, że ludziom czasami najlepiej rozmawia się bez słów?

Powiedział i zamilkł, jakby czekał na odpowiedź. Calli natychmiast zrobiła się czujna. Zanim w szkole Calli pojawił się pan Wilson, doradcą szkolnym była pani Hereau, podobna do myszy, zawsze w luźnym szarobrązowym ubraniu. Ona zawsze czekała na odpowiedź Calli. Calli nigdy jej żadnej odpowiedzi nie udzieliła.

- Calli, ja do niczego nie będę cię zmuszać - powiedział pan Wilson, jakby czytając w jej myślach. Potarł swój długi nos palcem i spojrzał Calli prosto w oczy. Calli speszyła się jeszcze bardziej. Pani Hereau nigdy tak na nią nie patrzyła. Zawsze miała głowę pochyloną nad swoimi notatkami.

- Bardzo chciałbym poznać cię bliżej, Calli. Moja praca zresztą polega na tym, że staram się poznać uczniów jak najlepiej, żeby móc im pomóc, najlepiej jak potrafię. Och, Calli... - Pan Wilson zaśmiał się. - Nie patrz na mnie tak podejrzliwie! Powiedziałem to szczerze. Czasami najlepiej się rozmawia, nie wypowiadając słów na głos. Moim zdaniem ludzie często przesadzają z mówieniem. Gadają i gadają, usta im się nie zamykają. Słucham ich przez cały dzień, wracam do domu, a tam moja żona też mówi bez przerwy, i dzieci, i mój pies...

Pies. Calli uśmiechnęła się, wyobrażając sobie, jak to chudy pan Wilson siada przy stole, na sąsiednie krzesło pakuje się labrador albo owczarek alzacki i opowiada panu Wilsonowi, jak spędził dzień.

- No dobrze. Powiem prawdę. Pies nie mówi - przyznał z uśmiechem pan Wilson - ale cała reszta gada jak najęta. Dlatego trochę ciszy dobrze mi teraz zrobi. Ten gruby zeszyt, Calli, to taki nasz dziennik. Będziemy w nim pisać do siebie. Rozumiesz, tak jak byśmy ze sobą korespondowali, tyle że bez kopert i znaczków. Zastanów się chwilę, czy ten pomysł ci się podoba. Jeśli masz ochotę, porysuj sobie w tym dzienniku. Albo napisz coś, co tam chcesz. A ja przez ten czas popracuję przy biurku.

Pan Wilson uśmiechnął się zachęcająco, wstał i poszedł do starego dębowego biurka, ustawionego w rogu pokoju. Usadził swoją długą, chudą postać w krześle i pochylił się nad otwartą teczką z papierami.

Calli uwielbiała rysować i pisać. Bajki, o koniach, wrózkach i miastach w głębinach oceanu. Ale nigdy jeszcze z nikim nie korespondowała. Nigdy nie pisała do taty, kiedy był na Alasce. Po prostu nie przyszło jej to do głowy. Była pewna, że to, co napisze, nikogo nie zainteresuje. Przecież wszyscy chcą ją tylko usłyszeć. Jakby słowa, które miałyby wypowiedzieć, były jakimiś bezcennymi klejnotami.

Wyjęła z pudełka kredkę purpurową, jak ważki fruujące nad strumieniem Willow Creek. Ułożyła przed sobą dziennik i powoli, z wielkim przejęciem zaczęła pisać w dolnym prawym rogu czarnej okładki. Napisała swoje imię. Calli. Skończyła i zerknęła na pana Wilsona. Był nadal pochylony nad swoimi papierami. Ostrożnie włożyła purpurową kredkę z powrotem do pudełka, otarła purpurowe palce o dżinsy, zostawiając na nich purpurowe smugi. Wstała, wzięła dziennik i podeszła do pana Wilsona.

- Zostaw go tam, na stole - powiedział pan Wilson. - Spotkamy się w czwartek. Do zobaczenia!

To wszystko? Żadnego: musisz zacząć mówić, Calli. Twoja mama jest bardzo zmartwiona. A twoje, milczenie jest bez sensu, Calli. Przecież jesteś zdrowa!

Nie. Tylko - do zobaczenia.

Calli, wydawszy z siebie ciche westchnienie ulgi, położyła dziennik na stole i poszła do drzwi.

Na spotkania z panem Wilsonem Calli chodziła dwa razy w tygodniu. Na pół godziny. Pisała i rysowała w swoim dzienniku. Pan Wilson często też coś rysował albo pisał do niej, ale

tylko wtedy, kiedy Calli dała mu do zrozumienia, że tego chce. A Calli przede wszystkim chciała, żeby pan Wilson rysował swego psa o imieniu Bart i pisał o nim. Bart podobno potrafił otworzyć sobie łapą drzwi i zebrał przy stole, domagając się w swoim psim języku hamburgerów.

Calli bardzo lubiła spotkania z panem Wilsonem.

Doskonale czuła się w jego gabinecie, z pastelami, ołówkiem i dziennikiem w czarnej okładce. Pan Wilson powiedział, że ten dziennik przechowa przez lato. Będzie czekał na Calli. Na jednym z ostatnich przed wakacjami spotkań Calli, oczywiście pisząc w dzienniku, zapytała pana Wilsona, co będzie, kiedy w tym dzienniku zabraknie pustych kartek. Pan Wilson odpowiedział:

- Dostaniesz nowy!

Na co ucieszona Calli odpowiedziała promiennym uśmiechem.

Ciekawe, co pan Wilson, ten, który był w jej śnie, pokazywał w dzienniku. O którą stronę mu chodziło? Tyle oboje powypisywali w tym dzienniku, ale w gruncie rzeczy nic takiego specjalnego. Dla dorosłych na pewno nie było to interesujące. Chyba tylko dla pana Wilsona. Dla niego wszystko, co napisał lub zrobił, jest bardzo ważne.

Schodziła dalej wąską ścieżką, cały czas nadstawiając uszu. Niestety, wciąż słychać było cykadę, a nie cichy szmer strumienia z cudownie zimną wodą i srebrzystymi rybami. Była jednak przekonana, że tam dojdzie. Napije się wody, to przede wszystkim, a poza tym może zobaczy żabkę albo skrzące się purpurowe ważki, przemykające nad wodą.

Trzeba iść w dół.

ZASTĘPCA SZERYFA LOUIS

Nasze drogi z Fitzgeraldem na jakiś czas się rozeszły. Fitzgerald miał zająć się ściąganiem do Willow Creek psów policyjnych, a za pomocą GPS w swojej komórce miał postarać się ustalić, gdzie może przebywać teraz Griff Clark. Ja natomiast pojechałem na spotkanie wszystkich zastępców szeryfa w celu wymiany bieżących informacji dotyczących śledztwa w sprawie zaginięcia Petry i Calli.

Nasz szeryf, Harold Motts, posunął się już w latach. Szczerze mówiąc, jego obecny stosunek do pracy można określić jako umywanie rąk. Większość swoich obowiązków scedował na mnie. Zanosilo się na to, że po następnych wyborach kolejnym szeryfem zostanę ja. Przy aprobacie większości kolegów. Zdecydowanej większości, bo oponent był tylko jeden. Zastęp-

ca szeryfa Logan Roper, kumpel Griffa Clarka, czyli jego niechęć do mnie jest w jakiś sposób uzasadniona. Trochę napsuł mi krwi, ale to przeszłość. W robocie dogadujemy się, a o to przecież chodzi.

Griff i Logan są rówieśnikami, starsi od Toni i ode mnie o pięć lat. W szkole średniej prawie ich nie znałem, wiedziałem tylko, że obaj są trochę postrzeleni i zdarza im się zachować naprawdę paskudnie. Nie wiem, gdzie Toni poznała Griffa. Podejrzewam, że w sklepie na stacji benzynowej przy szosie numer dziesięć. Toni pracowała tam jako sprzedawczyni, w weekendy i w dni powszednie po szkole. Ta jej praca wcale mi się nie podobała. Na odludziu, do późnego wieczora, po prostu niebezpiecznie. Powiedziałem jej to kiedyś, a ona śmiała się i zaczęła mnie przezywać „gliniarz, gliniarz”.

W ostatniej klasie w szkole średniej, gdzieś tak od kwietnia, Toni nie rozmawiała już ze mną. Umawiała się z Griffem, prawdopodobnie była już w nim beznadziejnie zakochana. Może też chciała wzbudzić we mnie zazdrość, co naturalnie jej się udało, chociaż nie dawałem tego poznać po sobie. Do głowy by mi jednak nie przyszło, że rok później Toni będzie żoną Griffa.

Żoną Griffa... a przecież ja też rozmawiałem z nią o wspólnej przyszłości. W ostatniej klasie, w listopadzie. Pewnego bardzo chłodnego poranka chodziliśmy sobie po lesie. Toni miała na sobie wielką brązową kurtkę, prawdopodobnie spadek po którymś z braci. Na głowie czapkę z różnokolorowej włóczki, którą zrobiła jej na drutach matka. Matka Toni zmarła na początku jesieni. Toni bardzo to przeżyła. Zmizerniała, włosy ścięła na krótko, wcale nie wyglądała na swoje siedemnaście lat. A ja byłem podekscytowany perspektywą moich studiów. Toni wiedziała, że chcę się dalej uczyć. Mówiła, że to świetnie, nie wiem jednak, czy szczerze. Czesne w College'u Świętego Gilianusa było dla mnie za wysokie. Miałem tylko jedną opcję. Uniwersytet Iowa w Iowa City, prawie dwieście kilometrów od Willow Creek. Wysłałem już podanie i zostałem przyjęty. Miałem wyjechać w sierpniu. Powiedziałem o tym Toni. Nawet na mnie nie spojrzała. Siedziała na końcu pnia drzewa przewalonego przez strumień, czyli na Moście Samotnego Drzewa, i z kamienną twarzą słuchała, kiedy opowiadałem jej, że z Iowa City do Willow Creek wcale nie jest tak daleko. Będę przyjeżdżał do niej w weekendy, podczas wakacji, podczas każdej przerwy w zajęciach. A najlepiej, gdyby pojechała tam ze mną. Mogłaby pochodzić na jakieś wykłady albo znaleźć sobie pracę. Bylibyśmy razem.

A Toni wsadziła ręce do kieszeni i szepnęła. Tak przed siebie.

- Wszyscy mnie opuszczają.

Niestety, miała rację. Co do innych osób. Matka zmarła, bracia wyjechali, ojciec myślał na serio o wyjeździe na stałe do Phoenix, gdzie zamieszkał jego pierworodny, Tim.

Ale ja?

- Przecież ja ciebie nie opuszczam, Toni.

- Opuszczasz. Ty już tu nie wrócisz, Lou. Poznasz ważnych ludzi, ważne sprawy, inny świat. Przerośniesz Willow Creek.

- Nieprawda!

- Prawda, Lou. A ja zawsze marzyłam o tym, żeby mieszkać w żółtym domu - powiedziała cicho i odeszła, zostawiając mnie samego wśród bezlistnych drzew. Długo jeszcze, kiedy znikła mi z oczu, słyszałem szelest uschniętych liści pod jej stopami.

Potem staraliśmy się zachowywać tak, jakby nic się nie stało. Ale stało się i teraz było już inaczej. Kiedy dotknąłem Toni, odsuwała się, jakby ją zabolalo.

O tym, żebyśmy się kochali, nie było mowy. Kiedy wspomniałem o studiach, milkła. Czyli, choć jeszcze nie wyjechałem, byliśmy już od siebie daleko.

Oficjalnie zerwała ze mną na początku grudnia i od tej chwili przestałem dla niej istnieć. Nie odbierała telefonu, kiedy zaszedłem do niej, do domu, nie otwierała drzwi, w szkole traktowała mnie jak powietrze. W końcu udało mi się ją dorwać w lesie. Szła sobie ścieżką, powoli, oczy wbite w ziemię. Padał śnieg, piękne duże płatki. Byłem na nią tak wkurzony, że miałem ochotę ulepić kulę i walnąć ją w plecy. Naturalnie nie zrobiłem tego, tylko zawołałem do niej. Cicho, żeby jej nie przestraszyć. Ale i tak się przestraszyła. Odwróciła się momentalnie, odruchowo przyciskając rękę do serca.

- Cześć, Toni. Możemy pogadać?

- Nie ma o czym - powiedziała głosem o tej samej temperaturze, co otaczające nas powietrze.

- Jest o czym. Dlaczego nie chcesz być ze mną?

- Bo ty nie chcesz być ze mną! Wyjeżdżasz! Wszyscy ode mnie odchodzą. Mama umarła, tata zapowiedział, że wyjeżdża w dniu, w którym ja ukończę szkołę. Wyjeżdża na zawsze, nie wyobraża sobie życia w Willow Creek bez mamy. Ty też wyjeżdżasz, jestem przekonana, że też na zawsze. Nigdy tu nie wrócisz, a ja nie mam zamiaru reszty mojego życia spędzić na czekaniu na ciebie. Dlatego daj mi święty spokój!

Odwróciła się i poszła dalej przez las. Wiem, że nie powinienem był tego robić, ale tak jakoś wyszło. Ugmiotłem białą kulę ze śniegu i rzuciłem, wcale nie z całej siły. Niestety Toni

odwróciła się w ostatniej sekundzie, prawdopodobnie chciała mi jeszcze coś powiedzieć. Dostała prosto w twarz.

Na moment zamarła. Potem odwróciła się i zaczęła uciekać, a ja natychmiast zaczęłem ją gonić. Chciałem ją przeprosić. Ale Toni zna las jak mało kto i zawsze była ode mnie szybsza. Nie dogoniłem jej, nie przeprosiłem. Nigdy też nie dowiedziałem się, co chciała mi powiedzieć, zanim dostała śnieżką w twarz.

Potem było fatalnie. Całe Willow Creek wiedziało, że nadal Kocham Antonię, a ona unika mnie jak ognia. Minął rok. Ja studiowałem, Toni wyszła za Griffa, wkrótce potem urodził się Ben. Dowiedziałem się o tym od osób trzecich.

Po czterech latach poznałem Christine. Christine została moją żoną. Jest całkiem inna niż Toni. Dobrze czy źle? Sam nie wiem. Zamieszkaliśmy w Willow Creek - a jednak! Christine nie podoba się tutaj. No cóż, nie każdy musi być fanem Willow Creek, którego mieszkańcy tworzą bardzo zwartą społeczność. Christine nie wrosła w nowe środowisko. Sama tego nie chciała. A może ja nie chciałem? Tego też nie wiem...

Kiedy pojawiają się na posterunku, dopada do mnie Tucci i przekazuje najświeższe informacje.

- Sprawdziliśmy tych ludzi. W sumie niewiele można o nich powiedzieć. Zaczęć od studentów. Mariah Burton, ta, która sporadycznie opiekowała się Petrą, jest absolutnie czysta. Chad Wagner był raz zatrzymany za picie alkoholu, kiedy był jeszcze w szkole średniej. Skontaktowałem się z nim. Jest teraz u rodziców, w Winner. Lucky Thompson, tak jak Mariah, nigdy nie miał żadnej kolizji z prawem, ale nie możemy go namierzyć. W domu go nie ma, komórki nie odbiera. Sprawdziliśmy facetów ze sklepu meblowego, także nauczycieli ze szkoły, do której chodzą Calli i Petra. Calli chodzi na spotkania z doradcą szkolnym, Charlsem Wilsonem. Jeszcze nie udało nam się z nim skontaktować. A temu gościowi warto chyba przyjrzeć się bliżej. Aha, jeszcze jedna sprawa, ważna. Jakies dwadzieścia minut temu dzwoniła Antonia Clark. Podobno natrafiła w ogrodzie na ślady dziecka i duże ślady mężczyzny. Była bardzo zdenerwowana, płakała. W sumie nic dziwnego. Chciała koniecznie rozmawiać z tobą.

- Kto jest teraz tam u nich?

- Logan Roper.

- No to pięknie - mruknąłem.

- Po prostu był wolny, więc tam pojechał.

- Nie ma co gadać. Jeśli już tam jest, to niech będzie. Ja zresztą zaraz jadę do domu Clarków. Masz coś jeszcze dla mnie, Tucci?

- Tak. Na Kanale Czwartym cały ranek mówią o zaginięciu dziewczynek. Chcą, żeby policja złożyła oświadczenie. Dzwoniła też pani McIntire. Dwa razy. Prosiła, żebyś do niej zadzwonił. Chce wiedzieć, czy nie mogłaby w jakiś sposób pomóc rodzinom zaginionych dziewczynek. Mówiła, że przyjedzie do nas.

- O Jezu, tylko nie to... A co do tego oświadczenia, to faktycznie, trzeba coś im dać. Kiedy pani McIntire dzwoniła po raz drugi?

- Niecałą godzinę temu. Powinna być tu lada chwila.

Idę do swojego biurka. Do Toni zadzwonię później, teraz najważniejsze oświadczenie. Szybko gryzmołę kilka zdań, z nadzieją, że usatysfakcjonują prasę. Ledwo skończyłem pisać, odzywa się komórka. Dzwoni Fitzgerald.

- Louis, słyszałem o tych śladach koło domu

Clarków. Technicy z laboratorium już tam jadą. A kto jest tam na miejscu?

- Roper. Logan Roper. Wszystko w porządku, chociaż...

- Chociaż co?

- Roper to dobry policjant, ale od wielu lat kumpluje się z Griffem Clarkiem. Może wystąpić coś w rodzaju sprzeczności interesów, rozumiesz. Pamiętasz, co mówiłem ci o Griffie.

Nie wierzyłem Griffowi. Jego kumplom też nie. Trudno.

- Pamiętam - mówi Fitzgerald. - To podeślij tam zaraz jeszcze kogoś, do kogo masz bezwzględne zaufanie...

W tym momencie słyszę dyskretne chrząknięcie. Z drugiej strony biurka ukazuje się smutna, wymizerowana twarz pani McIntire.

- Przepraszam, zadzwonię później - mówię szybko do Fitzgeralda. Rozłączam się i spoglądam na panią McIntire. Na kobietę, której, szczerze mówiąc, wcale nie miałem ochoty oglądać, dopóki nie schwytamy pewnego człowieka, który zniszczył jej życie, życie całej tej rodziny. Dziesięcioletnią córkę pani McIntire, brutalnie pobitą i zgwałconą, znaleziono w lesie. Martwą. Piętnaście kilometrów od domu, na drugim krańcu hrabstwa.

To ja pomagałem pani McIntire wstać z podłogi w kostnicy. Po tym, jak zidentyfikowała ciało swojej Jenny. To mnie przeklęła pani McIntire, kiedy rozmawiałem z nią po raz ostatni. Przeklęła za to, że musiała pochować swoje dziecko, nie wiedząc, kto jest sprawcą.

Teraz mówi cicho:

- Chcę pomóc.

MARTIN

Nie potrafię tak siedzieć z założonymi rękami. Mówię teściowej, że jadę dowiedzieć się, jak przebiega śledztwo. Już w pobliżu mojego domu mijają mnie kilka radiowozów. Podjeżdżają pod dom Clarków. Moje serce zaczyna bić jak szalone, boję się, że dostałem ataku. Ale poza tym głuchym waleniem nic się nie dzieje, nie padam, nie tracę przytomności. Czyli to nie atak, w sumie może szkoda. Przestałbym wtedy myśleć jasno, co teraz bardzo by się przydało. Teraz, kiedy jestem pełen najgorszych przeczuć.

Parkuję samochód przy drodze. Słońce pali niemiłosiernie. Idę do domu Clarków, naszych najbliższych sąsiadów. Najbliższych, ale dzieli nas od nich około stu metrów. Z tego to między innymi powodu zdecydowaliśmy się z Fieldą zamieszkać na wzgórzu Timber Ridge na obrzeżach Willow Creek. Bliskość lasu i niekrepujący sąsiedzi. Na lewo od nas Clarkowie, w sumie tylko cztery osoby, a za nimi pani Norland, mocno już starsza pani. Z prawej też dwa domy, Olsonów i Connollych. Jeden dom od drugiego dzieli około stu metrów, dzięki temu każdy ma zagwarantowaną prywatność, jednocześnie, gdyby coś się działo, jeden drugiego usłyszy.

Nasza Petra bywa u Clarków bardzo często, przyjaźnią się przecież z Calli. Nigdy jednak nie pozwalamy jej tam chodzić, kiedy w domu jest Griff, który, o ile się orientuję, pracuje przy rurociągu na Alasce. Oczywiście Petrze mówimy, że nie wypada teraz tam iść, niech Calli nacieszy się tatą, którego widuje rzadko. Petra nie protestuje. Wydaje mi się, że ona nie wie o nalogu Griffa. Od Calli na pewno nie.

Nasz dom stoi tuż przy lesie, od frontu też rosną drzewa, wysadzone ludzką ręką. Rosną na zboczu odgradzającym nas od reszty Willow Creek. W oddali widać drugie, podobne do naszego skupisko domów, też pobudowanych na skraju lasu.

Żółta, spalona słońcem trawa cichutko chrzęści pod moimi stopami. Widzę z daleka Antonię. Stoi przed domem i rozmawia z kilkoma policjantami. Twarzy Antonii nie widzę, widzę rozgestykulowane, niespokojne ręce. Na drodze dojazdowej pojawia się duży van. Wóz telewizyjny. Van podjeżdża pod dom Clarków, Antonia szybko wchodzi do domu. Do wozu telewizyjnego podchodzą policjanci, machają rękoma, każą mu się zatrzymać.

Ja też, jak Antonia, mam zamiar uniknąć dziennikarzy i kamer. Przynajmniej chwilowo. Dlatego robię krótki sprint na ukos, do drzwi na tyłach domu. Przy drzwiach stoi na straży policjant.

- Nie wolno wchodzić, proszę pana. To miejsce przestępstwa.

- Ale ja jestem Martin Gregory - mówię, ciężko dysząc. Pojawia się następny policjant z żółtą taśmą. Zaczepia ją o betonowy basenik dla ptaków, ustawiony w ogrodzie Antonii i zaczyna rozwijać.

- Co się dzieje? - pytam policjanta przy drzwiach. - Na litość boską, jestem ojcem Petry Gregory!

- Rozumiem. Proszę wejść do domu od frontu.

- Ale co się dzieje? Znaleźliście coś?

- Powinien pan porozmawiać z agentem Fitzgeraldem. Pójdę po niego. Proszę tu zaczekać.

Wchodzi do domu. Nie słucham go i idę za nim.

- Antonio! - wołam. Wcale nie muszę, bo Antonia jest bardzo niedaleko. Siedzi na kanapie, pochylona, twarz ukryta w dłoniach.

- Antonio! Co się dzieje? Coś się wydarzyło? - pytam. Mój głos drży.

- Ślady stóp - odpowiada Antonia słabym głosem. Antonia drży na całym ciele. - Podejrzewamy, że to ślady Calli i jakiegoś mężczyzny.

- A... czy są tam może też ślady Petry?

- Panie Gregory?

Odwracam się. Nie zauważyłem, że w rogu pokoju stoi agent Fitzgerald. Obok jakiś mężczyzna w cywilnym ubraniu, może też tajniak.

- Cieszę się, że pana widzę, panie Gregory - mówi agent, wyciągając do mnie rękę. Ocieram o spodnie spoconą rękę i ściskam małą dłoń agenta.

- Proszę, niech pan usiądzie - zaprasza Fitzgerald, jakby to był jego salon.

Siadam.

- Panie Gregory, pani Clark znalazła ślady stóp dziecka, obok duże ślady męskich butów. Nie muszą być to świeże ślady, od dawna przecież nie padało. Nie muszą, ale mogą. Ślady te będą dokładnie zbadane przez techników kryminalistycznych z Des Moines. Wkrótce tu będą. Pierwsze wnioski można już wyciągnąć. Są to ślady jednego dziecka. Między dorosłym a dzieckiem doszło do szarpaniny. Panie Gregory, technicy, po zakończeniu pracy w domu pań-

stwa Clarków, będą chcieli też dokładniej obejrzeć pański dom. Poza tym, może pan sam już zauważył, pojawiły się media. Z logistycznego punktu widzenia wprowadzają tylko zamęt, ale państwu, rodzicom zaginionych dziewczynek, media mogą się bardzo przydać.

- Co mam powiedzieć żonie?

- Prawdę. Niczego nie wolno przed nią ukrywać. Oboje państwo musicie być teraz silni i wspierać się nawzajem. Nadal nalegam, żebyście państwo na czas śledztwa opuścili swój dom. Pani Clark... - Agent odwraca się do Toni. - Pani również to dotyczy. Czy ma pani gdzie się zatrzymać?

- Ja... ja... - mamrocze Toni. Wyraźnie ma trudności z zebraniem myśli. - Może u pani Norland, naszej sąsiadki...

- Bardzo dobrze. A jeśli chodzi o dziennikarzy, proszę im powiedzieć, że porozmawiacie państwo z nimi... - Fitzgerald spogląda na zegarek - powiedzmy, za godzinę. Wystarczy? Zdążą się państwo przygotować do tej rozmowy? A pan, panie Gregory, zdąży porozmawiać z żoną?

Kiwam potakująco głową, choć nie mam pojęcia, czy godzina rzeczywiście wystarczy.

- Państwo będziecie mówić pierwsi - ciągnie agent.

- Potem ja poinformuję krótko o prowadzonym śledztwie i odpowiem na pytania. Czy tak będzie dobrze? Ponownie kiwam głową.

- W takim razie jadę do żony - oznajmiam.

Z dworu dobiegają jakieś krzyki, odgłosy przepychanki. Agent Fitzgerald podchodzi do drzwi.

- Ci cholerni dziennikarze - mamrocze pod nosem. Do mnie głośniej i uprzejmie: - Panie Gregory, proszę, pan pozwoli tutaj.

Staję w progu. Ku memu wielkiemu zaskoczeniu widzę Fieldę. Fielda wysiada z samochodu teściowej i rusza w kierunku domu. Wokół niej tańczy już jeden z reporterów w towarzystwie kamerzysty. Fielda, spłoszona, rozgląda się nerwowo na boki, wyraźnie szukając pomocy.

Podbiegam do żony, biorę ją za rękę.

- Czy państwo są krewnymi którejś z zaginionych dziewczynek? - pyta reporter. - Co państwo wiedzą na temat dowodów znalezionych na podwórzu za domem?

Fielda spogląda na mnie z rozpaczą. Moja żona wygląda żałośnie. Letnia sukienka w kwiaty wymięta, włosy z jednej strony spłaszczone, z drugiej rozczochrane. Tusz do rzęs rozmazany, a na lewym policzku odcisnięty ślad poduszki.

Dziennikarka w czerwonym kostiumie podsuwa Fieldzie pod nos mikrofon z napisem Kanał Czwarty.

- Wiemy, że do Willow Creek przyjechała matka Jenny McIntire. Czy państwo spotkali się już z nią? Czy poradziła państwu, jak zachować się w takiej sytuacji?

Czuję, jak Fielda sztywnieje. Wlepia we mnie przerażone oczy. Boję się, że zemdleje. Biorę ją mocno pod ramię i prowadzę na bok, byle dalej od domu Clarków.

Antonia, która właśnie wyszła z domu, idzie za nami. Przed dziennikarzami staje agent Fitzgerald. Przedstawia się.

Fielda robi kilka głębokich wdechów.

- Już dobrze, Martinie. Mów, co się dzieje. Zniosę wszystko.

BEN

Calli, pamiętasz, jak spałem na drzewie? Na tym wielkim drzewie, tuż koło siedmiu wierzb, tym drzewie, na które wchodzi się tak fajnie? Miałem chyba dziewięć lat, ty cztery. Nie mówiłaś już ani słowa.

Mamę przestało cokolwiek obchodzić. Myślała tylko o jednym. Żebyś coś powiedziała. Sadzała cię przy stole kuchennym i pytała:

- Calli, skarbie, masz ochotę na lody?

Oczywiście, kiwałaś głową. Które dziecko nie chce lodów we wtorek rano, o wpół do dziewiątej?

- No to powiedz „proszę”, Calli - mówiła mama - a dostaniesz lody mniem mniem.

Mówiła takim cienkim, wkurzającym głosem, jakim się mówi do niemowlaka, kiedy wpycha się w niego jakąś papkę.

Oczywiście, ty milczałaś jak zaklęta. Ale mama nie rezygnowała. Lody się rozpuszczały, robiła się z nich słodka zupa, a mama dalej siedziała z tobą przy stole, choć ty miałaś już te lody w nosie i najchętniej poszłabyś oglądać „Ulicę Sezamkową”.

Finał do przewidzenia. Nie mówiłaś ani słowa. Mama dawała ci nową porcję świeżych lodów. Zajadałaś się nimi, wgapiona w ekran telewizora.

Powtarzało się to wielokrotnie, w końcu miałem dość oglądania, jak mama po prostu wygłupia się, kiedy próbuje przekupić cię lodami, a ty i tak nie mówisz ani słowa.

Następnym razem mama, po wyjęciu lodów z zamrażarki, wyjęła z szafki wafelki do lodów.

Oho, pomyślałem. Dziś to naprawdę porządna łąpówka.

Wszystko zaczęło się według schematu.

- Calli, skarbie, masz ochotę na lody? - zagruchała mama, otwierając zamrażarkę. - Spójrzmy, jakie dziś tu mamy. Zaraz zaraz, czy to nie są lodziki z cynowym daszkiem? Z orzeszkami? No proszę! Twoje ulubione, Calli!

Lodziki z cynowym daszkiem! No, nie. Moja cierpliwość wyczerpała się ostatecznie.

- A skąd wiesz? - spytałem. - Skąd wiesz, że to ulubione lody Calli? Ten cały cynowy daszek i te orzeszki?

Mama spojrzała na mnie trochę zmieszana.

- Po prostu wiem! - powiedziała. Zanurzyła łyżkę w lodach, sięgnęła po wafelka. - Calli, Calli, zobacz! Wafelki!

Ale ja nie dawałem mamie spokoju.

- Ona wcale nie lubi orzeszków w lodach, mamó! Zjada lody, orzeszki zostawia!

- Ben, idź na dwór się bawić!

- Ale to jest głupie!

- Ben, proszę na dwór.

- Nie pójdę. Po co się tak wygłupiasz? Jeśli Calli nie może mówić, to nie może! Choćbyś jej dała całą górę lodów, ona i tak nie powie ani słowa! Bo nie może!

Krzyczałem. Mama mówiła głosem jedwabnym.

- Uspokój się, Ben.

- Nie! - wrzasnąłem. Wyrwałem jej z ręki tę nieszczęsną łyżkę, podszedłem do drzwi, otworzyłem i wyrzuciłem łyżkę na podwórze. Nie wiem, dlaczego to zrobiłem, ale wtedy po prostu musiałem.

Ty, Calli, wpatrywałaś się we mnie przestraszonym wzrokiem, a kiedy zacząłem się drzeć, zasłoniłaś rękami uszy i zamknęłaś oczy.

Byłem pewien, że mama mnie uderzy. Miała w oczach to samo, co tato.

Dalej się darłem.

- No już, uderz mnie! Bardzo proszę! Robisz się taka sama jak tato! Wszyscy mają zawsze robić tylko to, co on chce!

Potem, oczywiście, wyleciałem z domu, jakby się paliło. Biegłem przed siebie i biegłem. Do Zakątka Siedmiu Wierzb. Wlazłem sobie na to stare drzewo. Nie minęło wiele czasu, kiedy na dole pojawiła się mama i ty, Calli. Siedziałem cicho, jak mysz pod miotłą, pewien, że mnie

nie widzicie. To znaczy mama, bo ty spojrziałś w górę i pomachałaś mi. Oczywiście, tak, żeby mama tego nie zauważyła. Ja też pomachałem do ciebie. Ale mama też musiała mnie zobaczyć wśród gałęzi, bo za jakiś czas przyszłyście ponownie. Mama położyła koło pnia papierową torbę, w której, jak się potem okazało, były kanapki, obok postawiła butelkę z napojem.

- Zostawię to tutaj, Calli - powiedziała. - Może Ben ją znajdzie, będzie miał coś do jedzenia.

Na tym drzewie siedziałem do wieczora, potem całą noc. Schodziłem na dół tylko po to, żeby się odsikać. I po torbę z żarciem, oczywiście. Przychodziłyście tam jeszcze kilka razy. Byłem pewien, że mama zacznie mnie namawiać, żebym zszedł. Ale nie. Po prostu położyła pod drzewem starą poduszkę i koc.

Spałem na drzewie. Następnego ranka, cały sztywny i obolały, zlazłem na dół i wróciłem do domu. Mama wcale nie była wściekła. Cały ten epizod pominęła milczeniem, ale przestała przekupywać cię lodami. Oczywiście, nadal je sobie jedliśmy od czasu do czasu, ale nigdy już nie było lodzików z cynowym daszkiem ani żadnego: powiedz „proszę”, Calli.

Calli, dziś, kiedy wrócimy - bo przecież ciebie znajdę, innej opcji nie ma - polecę do sklepu i kupię ci wielką porcję lodów, oczywiście bez orzeszków. Za wszystkie pieniądze, jakie mam z roznoszenia gazet.

CALLI

Calli szła powoli ścieżką. Po jednej stronie ścieżki las, po drugiej złocista łąka z kołyszącymi się na długich, cienutkich łodyżkach baldaszkami dzikiej marchewki. Calli nigdy dotąd nie odeszła od domu tak daleko. Kochała las, teraz jednak zaczynał napawać ją lękiem. Wydawało jej się, że za drzewami czają się jakieś złowrogie postacie. Tu, pod otwartym niebem nad łąką, poczuła się o wiele pewniej.

Po obu stronach ścieżki rosły pomarańczowe lilie tygrysie, także purpurowe rudbekie, które Petra nazywała purpurowymi stokrotkami. Rosły też niedaleko jej domu. Zrywała jedną, wsuwała sobie za ucho, potem zbierała całe naręcze kwiatków, na przykład w ramach przygotowań do długiej, skomplikowanej ceremonii ślubnej, w której uczestniczyły wszystkie lalki i pluszaki.

Kiedyś, to było latem, jeden ze studentów ojca Petry, ten o imieniu Lucky, przyszedł do domu państwa Gregorych razem ze swoim psem Sierżantem. Wtedy Calli i Petra na poczekaniu ułożyły zaproszenie. Każdy dostał karteczkę z napisanym w pośpiechu tekstem:

„Mamy zaszczyt zaprosić na błyskawiczny ślub Gee Wilikersa Gregory'ego z Sierżantem Thompsonem. Ślub odbędzie się dziś po południu na podwórzu za domem”.

Gee Wilikers był to pluszowy yorkshire terrier Calli. Calli nawtykała pomarańczowe rudbekie za czerwoną obrózkę pieska, a z białych stokrotek uplotła trzy wianki. Dla siebie i Petry, trzeci założyła pieskowi na szyję. Petra była mistrzem ceremonii, Calli sypała kwiatki. Martin, Fielda, Antonia i Lucky byli gośćmi zaproszonymi na ślub. Siedzieli w ogrodowych fotelach. Ben z tym całym cyrkiem nie chciał mieć nic wspólnego.

Kiedy Calli prowadziła po starym koronkowym bieżniku parę młodych, Gee Wilikersa i Sierżanta, Petra nuciła marsz weselny. Lucky udawał, że płacze ze szczęścia. Tulił do siebie Petrę i zachwycał się - och! Co to był za ślub! Antonia zrobiła parę zdjęć, a mama Petry podała lody z cytrynowym sorbetem i jakiś pyszny napój. Calli pamiętała, że potem razem z Luckym i Petrą wdrapali się na stary dąb na podwórzu Petry. Lucky podsadził je, potem sam wszedł na drzewo. Rzucali w dół żołędzie, Sierżant uganiał się za nimi. To był bardzo miły dzień. Calli pamiętała też, jak objęła Sierżanta za miękką rudą szyję, nagrzaną słońcem. Trochę rudych włosków przylepiło się wtedy do palców Calli i twarzy, lepkich od jedzonych przedtem lodów.

Teraz, siedząc wśród wysokiej trawy, Calli uplotła wianek z purpurowych rudbekii. Nałożyła sobie na głowę i zaczęła pleść drugi, dla Petry.

Petra. Jaka szkoda, że jej tutaj nie ma. Najlepszej przyjaciółki Calli. W szkole Petra jest oficjalną rzeczniką Calli. Jej głosem. Za pośrednictwem Petry Calli komunikuje się z otoczeniem. Pani Vega, nauczycielka z pierwszej klasy, zaakceptowała to od razu. Czasami obie dziewczynki traktowała jako jedną całość. Jedną osobę. Kiedyś podczas wycieczki do zoo w Madison, kiedy autobus szkolny zatrzymał się przy barku z fast foodem, pani Vega, spoglądając na Petrę, spytała:

- Calli, na co masz ochotę?

Petra, po chwili namysłu, złożyła w imieniu Calli zamówienie:

- Hamburger, koniecznie z musztardą, frytki i sprite.

Pewnego razu, kiedy Calli przyszła do szkoły, pani Vegi nie było. Zastępowała ją inna nauczycielka, pani Hample, kobieta imponujących rozmiarów, o siwych kręconych włosach i pomarszczonej, surowej twarzy. Pani Hample w niczym nie przypominała pani Vegi, przede wszystkim brakowało jej pogody i cierpliwości. W pewnej chwili, podczas lekcji, zaczęła pytać dzieci, jak mają na imię. Calli, kiedy przyszła na nią kolej, oczywiście nie odezwała się ani słowem. Odpowiedziała za nią Petra.

- Nazywa się Calli.

Pani Hample spojrzała na Petrę karcąco, a kiedy Petra po raz trzeci odezwała się w imieniu Calli, zareagowała.

- Petro, ciebie nie pytam! Proszę nie odpowiadać za Calli!

- Ale Calli... - zaczęła Petra, pani Hample nie dała jej jednak dokończyć.

- Nie słuchasz mnie! Powtarzam, nie odzywaj się, kiedy pytam Calli! Niech Calli sama mówi za siebie!

Tuż przed przerwą Calli podeszła do pani Hample i pokazała jej w języku migowym wyraz „toaleta”. Kciuk wetknięty między palec wskazujący i środkowy, czyli litera „T”.

- Jesteś głuchoniema? - spytała pani Hample. Calli pokręciła przecząco głową.

- W takim razie, o co chodzi? - pytała dalej zdezorientowana pani Hample.

- Ona jest nieśmiała, proszę pani. Musi chodzić do... - próbowała wyjaśnić Petra, pani Hample jednak znów nie dała jej dokończyć.

- A co to za zachowanie, Petro! - powiedziała ostrym głosem. - Za karę przez całą przerwę będziesz stała pod ścianą! A ty, Calli, wracaj do swojej ławki. Masz tam siedzieć, dopóki nie zdecydujesz się otworzyć ust. Reszta na przerwę, proszę!

Calli usiadła w ławce, z całej siły ściskając nogi. A Petra, gdy dzieci parami wychodziły na przerwę, stanęła na samym końcu. Nie wyszła ze wszystkimi na dwór. Przed drzwiami zrobiła w tył zwrot i pobiegła do pokoju pana Wilsona, doradcy szkolnego. Pan Wilson siedział za swoim biurkiem i rozmawiał przez telefon. Na widok zdesperowanej Petry natychmiast zakończył rozmowę.

- Dzień dobry, Petro! Co się stało?

- Coś okropnego... - szepnęła Petra, cichutko, jakby obawiając się, że pani Hample jednak ją usłyszy. - Ta pani, co dziś do nas przyszła, jest taka niedobra...

Pan Wilson zaśmiał się.

- Może po prostu trochę inna niż pani Vega. Co wcale nie znaczy, że nie macie się jej słuchać.

- Ale ta pani nie pozwala Calli iść do łazienki!

- Niemożliwe.

- Tak! Ja, jak zawsze, chciałam powiedzieć, czego Calli chce. A pani Hample nie dała mi dokończyć! Wtedy Calli pokazała jej na migi, że chce iść do łazienki, a pani Hample na nią na-

krzyczała i powiedziała, że Calli ma siedzieć w ławce, dopóki nie powie jej normalnie, o co chodzi!

- Rozumiem. W takim razie pójdziemy razem do pani Hample i wyjaśnimy całą sytuację.

- Och, nie! - zaprotestowała dziewczynka. - Ja powinnam być teraz na dworze, z innymi dziećmi. Za karę mam stać pod ścianą przez całą przerwę! Jak pani Hample się dowie, że byłam u pana, nakrzyczy na mnie!

- W porządku. W takim razie idź i stań pod tą ścianą, a ja sam pójde do pani Hample. Petra, moje uznanie. Jesteś naprawdę bardzo dobrą przyjaciółką!

Petra za słowa uznania podziękowała szczerbatym uśmiechem i pobiegła na dziedziniec, a pan Wilson podszedł do drzwi klasy pierwszej i spojrział przez szybę. W klasie była nauczycielka i jedno dziecko. Calli w swojej ławce. Głowa pochylona, długie włosy zasłaniały twarz.

Pan Wilson wszedł do środka, podszedł do Calli. Po policzkach dziewczynki spływały łzy wielkie jak groch, czego efektem końcowym była powiększająca się mokra plama na dużej szarej kartce, rozłożonej przed Calli.

- Dzień dobry, Calli! - odezwał się pan Wilson ciepłutko. - Zapomniałaś, że dziś mamy się spotkać?

Calli spojrzała na niego ze zdumieniem. Tego dnia był piątek, ona chodziła do pana Wilsona we wtorki i czwartki, po lekcjach.

- Przepraszam, trochę się spóźniłem - mówił dalej pan Wilson, spoglądając na zegarek. - Poprzednie spotkanie przeciągnęło się. Biegnij Calli do mojego gabinetu.

Calli natychmiast wstała i spojrzała niepewnie na panią Hample.

- Idź, dziecko - powiedział pan Wilson i zwrócił się do nauczycielki. - Przyślę ją z powrotem za jakieś dwadzieścia minut.

- Ona powinna uczyć się w klasie specjalnej. Przecież nie mówi, sam pan wie - powiedziała pani Hample, jakby Calli nie mogła jej usłyszeć. - Nie mówi, bo się uparła!

- W naszej szkole wszystkie klasy są specjalne, pani Hample! - powiedział bardzo oschłym tonem pan Wilson. - Bo wszystkie dzieci tutaj są dla nas czymś specjalnym. Nie będziemy już pani potrzebować, pani Hample. Dziękujemy za pomoc, proszę podpisać się na liście w pokoju nauczycielskim. Żegnam!

Calli oczywiście najpierw pogalopowała do łazienki. Potem do pana Wilsona, pan Wilson powiedział, żeby wyszła na przerwę i pobawiła się z koleżankami. Po przerwie dalsze lekcje poprowadził pan Wilson. A po lekcjach Calli, wracając ze szkoły do domu, niosła w plecaku

ku liścik od pana Wilsona do jej mamy. Mama czytała ten liścik, mieniąc się na twarzy. Potem wzięła Calli na kolana, przytuliła do siebie i szepnęła.

- Petra jest kochaną dziewczynką.

Calli, skubiąc kołnierzyk mamy, skwapliwie pokiwała głową.

- Musimy koniecznie zrobić jej jakąś przyjemność - powiedziała mama. Calli ponownie pokiwała głową, jeszcze bardziej energicznie.

- Może... ciasteczka czekoladowe? - zaproponowała mama. Calli natychmiast zsunęła jej się z kolan i pomaszerowała do lodówki. Wyjęła jajka i masło. A mama powiedziała jeszcze coś.

- Pamiętaj, Calli. Petra okazała się naprawdę bardzo dobrą przyjaciółką. Kiedyś, być może, Petra będzie potrzebowała ciebie. Wtedy ty też bądź dobrą przyjaciółką.

Ciasteczka, jeszcze ciepłe, Calli i Antonia dostarczyły do domu państwa Gregorych wieczorem. Rodzice Petry wcale nie kryli dumy, kiedy słuchali o poczynaniach swojej córki. A Calli i Petra pobiegły na werandę, tam rozsiadły się i objadały ciasteczkami z czekoladą.

Na wspomnienie tych pysznych ciasteczek Calli zaburczało w brzuchu. Było okropnie gorąco. Calli czuła, że nos ma spalony od ostrego słońca. Ale skończyła pleść wianek dla swojej najlepszej przyjaciółki, dopiero wtedy wstała z trawy i weszła z powrotem w cień i chłód lasu.

ANTONIA

Martin, Fielda i ja siedzimy na kanapie u pani Norland i zastanawiamy się nad rozmową z dziennikarzami. Musimy to zrobić, nie mamy jednak pojęcia, jak. Co się dokładnie mówi, od czego zaczyna, kiedy człowiek staje przed kamerami i ogłasza całemu światu, że jego dziecko zaginęło. Błaga o pomoc.

Trzymam w ręku zdjęcia Calli. Zdjęcie z pierwszej klasy. Calli patrzy prosto w obiektyw i uśmiecha się nieśmiało. Dwóch zębów z przodu brak. Wyszczotkowane włoski wiją się wokół pucołowatej buzi. Drugie zdjęcie to Calli w żółtym kostiumie kąpielowym, ramionka pokryte pierwszą opalenizną. Włosy splecione w warkoczyki. Na zdjęciu trzecim, z zeszłego tygodnia, Calli i Petra siedzą przy stole w kuchni. Przysunęły się do siebie, przytuliły główki, jedna drugą obejmuje ramieniem.

Wstaję z kanapy.

- Idziemy.

Martin i Fielda, zaskoczeni, podrywają głowy.

- Jakoś to zrobimy - mówię. - Chodźmy. Podchodzimy do drzwi. Ramię w ramię. Fielda w środku, Martin i ja po bokach. Trzymamy się za ręce. Wychodzimy z domu i dalej trzymając się za ręce, idziemy dróżką do miejsca, gdzie czekają dziennikarze. Mrużę oczy przed słońcem. Widzę wiele twarzy, wszyscy patrzą na nas wyczekująco.

Wita nas cisza. Dopiero po dłuższej chwili odzywa się pani w czerwonym kostiumie.

- Bardzo państwu współczujemy z powodu tego, co wydarzyło się z córkami państwa - mówi, podsuwając w naszą stronę mikrofon. - Nazywam się Katie Glass, pracuję dla Kanału Czwartego. Bylibyśmy bardzo wdzięczni, gdyby państwo zechcieli odpowiedzieć nam na kilka pytań.

- Jestem Antonia Clark - zaczynam. - A to Martin i Fielda Gregory. Nasze córki, Calli i Petra... zaginęły. One... wyglądają tak.

Podnoszę wysoko drżącą rękę ze zdjęciem dziewczynek przy kuchennym stole. Fielda lekko ściska moją dłoń. Teraz ona mówi. Bardzo cicho:

- Bardzo prosimy o pomoc w odnalezieniu naszych córek. Obie mają po siedem lat. Są najlepszymi przyjaciółkami. Takie dobre, kochane dziewczynki. Proszę, jeśli ktokolwiek wie, gdzie one są, proszę, proszę nam o tym powiedzieć...

Spoglądam na Martina. Ma zamknięte oczy. Głowa opuszczona, broda wciśnięta w pierś.

- O której godzinie zgłosiliście państwo zaginięcie córek? - pyta dziennikarka.

Od tej chwili, na szczęście, wyręcza nas agent Fitzgerald. Wysuwa się do przodu o krok i to on odpowiada teraz na pytania.

- Zaginięcie Petry Gregory zgłoszono dziś rano, około wpół do piątej. Wkrótce potem zgłoszono zaginięcie Calli Clark. Obie dziewczynki mają po siedem lat. Petra Gregory, kiedy widziano ją po raz ostatni przed zaginięciem, miała na sobie niebieską krótką piżamę. Calli Clark różową koszulkę nocną. Po raz ostatni widziano dziewczynki w domu, we własnym łóżku.

- Czy macie już jakichś podejrzanych?

- Nie, nie ma żadnych podejrzanych. W chwili obecnej próbujemy skontaktować się z ojcem Calli, Griffem Clarkiem i jego przyjacielem, Rogerem Hoganem. Dziś o świcie pojechali na ryby, a ojciec powinien dowiedzieć się, co się stało. Ktokolwiek wie, gdzie w chwili obecnej przebywają obie wymienione osoby, proszony jest o poinformowanie ich, żeby skontaktowali się z szeryfem hrabstwa Jefferson.

- Czy obaj mężczyźni są podejrzani? - pyta Katie Glass.

Nie mogę powstrzymać cichego okrzyku. Martin i Fielda, zaskoczeni, patrzą na mnie.

- Griff Clark i Roger Hogan nie są podejrzani - mówi agent Fitzgerald. - Ale pan Clark, jak powiedziałem, powinien jak najszybciej dowiedzieć się, co przydarzyło się jego córce.

- Dokąd pojechali na ryby?

- Nad Missisipi, koło Julien.

- Czy ma pan zdjęcia obu tych mężczyzn?

- Nie mam, bo nie są podejrzani. Powtarzam. Nie są podejrzani, ale powinni jak najszybciej wrócić do Willow Creek.

- Czy są jakieś podobieństwa między zaginięciem tych dziewczynek a sprawą Jenny McIntire?

Nie. W tym momencie nie krzyczę, ale czuję, jak serce podchodzi mi do gardła.

- Bez komentarza - mówi sucho agent Fitzgerald.

- A czy to prawda, że Mary Ellen McIntire, matka Jenny, jest tutaj, w Willow Creek i chce pomóc rodzicom zaginionych?

- Nic mi nie wiadomo na temat przyjazdu pani McIntire. Na razie to już wszystko. Kiedy będziemy mieli więcej informacji, natychmiast prześlemy je państwu. Państwo Clark, państwo Gregory oraz departament policji hrabstwa Jefferson będą bardzo wdzięczni za każdą informację dotyczącą miejsca pobytu Petry Gregory i Calli Clark. W tej sprawie proszę kontaktować się z miejscowymi władzami.

Agent Fitzgerald odsuwa się od mikrofonu, odwraca i rusza z powrotem do domu pani Norland. Idziemy za nim. Fielda nadal trzyma Martina za rękę, ale mnie już nie. Puściła ją, kiedy wspomniano o Griffie.

A potem, zaraz po wejściu do zacisznego domu pani Norland, zaczyna bombardować mnie pytaniami.

- Dlaczego twój mąż tak wcześnie wyjechał z domu? Może on wie coś o Petrze i Calli! Dlaczego go tutaj nie ma? Dlaczego...

- Chwileczkę! - Podnoszę rękę, żeby powstrzymać potok słów. - Griff o niczym nie wie. On i Roger wyjechali o świcie. Ten wyjazd zaplanowali wiele tygodni temu!

Oczywiście, że jestem już podminowana. Staram się opanować, ale kompletnie mi się to nie udaje.

- On pije - mówi Martin.

- Co? - pytam.

- Twój mąż pije. Dziś rano w waszym domu wszędzie były puszki po piwie.

Wzruszam ramionami.

- I co z tego? Każdemu wolno wypić kilka piw.

Kątem oka widzę, że agent Fitzgerald obserwuje nas z wielką uwagą.

- Widziałem go już kiedyś pijanego - mówi Martin. - Wcale nie był sympatyczny.

- Nie twoja sprawa! - mówię, ale już bardzo głośno.

Fielda krzyczy histerycznie.

- Co?! Nie nasza sprawa?! Moja córka zaginęła! Ty uważasz, że pijaństwo twojego męża nie ma nic do rzeczy! Skąd wiesz? Może ma! A skoro już tak mówimy o twojej rodzinie, to może powiesz łaskawie, jak to jest z tym twoim synem? Gdzie on teraz jest? Twój syn mnóstwo czasu spędza z dziewczynkami. Dziwne! Chłopak ma dwanaście lat, a bardzo lubi towarzystwo dziewczynek z pierwszej klasy!

Ja też zaczynam się wydierać.

- Jak śmiesz! Ben nigdy by nie skrzywdził żadnej dziewczynki! Nigdy! Przestać czepiać się innych, bo ja też powiem! Nic nie wiadomo, może to właśnie ty i twój mąż maczaliście w tym palce!

- My? My? - Z gardła Fieldy wydobywa się jakiś przedziwny pisk. - Matko święta! I ty to mówisz? Ty, która masz męża pijaka i córkę, która nie mówi! A dlaczego właściwie Calli nie mówi? W waszym domu rzeczywiście muszą dziać się dziwne rzeczy, skoro zdrowa dziewczynka nagle przestaje mówić!

No tak, wspięliśmy się już na sam szczyt.

- Wiesz co? - Mój głos jest teraz bardzo cichy, bardzo łagodny. - Wyjdź stąd. Oboje. Idźcie sobie.

Agent Fitzgerald staje między nami.

- Proszę państwa, proszę o spokój. Nad wszystkim trzeba się zastanowić, wszystko wyjaśnić. Nie ma powodu, żebyście państwo teraz nawzajem stawiali sobie zarzuty. Proszę się opanować. Przecież wszyscy tutaj, wszyscy bez wyjątku, robimy wszystko, żeby dziewczynki się odnalazły.

- Przepraszam... - Odwracam się do Fieldy i po chwili milczenia dodaję słabym głosem: - Przecież wiem, że ani ty, ani twój mąż nie zrobilibyście dziewczynkom żadnej krzywdy. Przepraszam, ale ja... ja po prostu jestem roztrzęsiona...

- Ja też - mówi zdławionym głosem Fielda. - Nie gniewaj się. Wiem, że Ben nigdy by niczego nie zrobił dziewczynkom. Przepraszam. Wkrótce się zobaczymy.

Głaszcze mnie po ramieniu, ona i Martin wychodzą. Wtedy uświadamiam sobie, że wspomniała tylko o Benie. O Griffie nie.

Griff był kiedyś inny. Zawsze dużo pił, wiedziałam o tym, kiedy zaczęłam się z nim umawiać. Myślałam, że to kwestia wieku, rozgrzeszałam go. Tym bardziej że był taki sympatyczny, wesoły, a ja zachwycona, że zainteresował się siedemnastolatką. Poza tym on naprawdę chciał być ze mną, a ja czułam się wtedy bardzo samotna. Mama umarła, bracia powyjeżdżali. Tato snuł się po domu, chory z tęsknoty za mamą. I za synami.

Byłam w ostatniej klasie szkoły średniej, jednocześnie pracowałam w sklepie Go&Go, na stacji benzynowej. Pewnego zimowego dnia zjawił się tam Griff. Uśmiechnął się do mnie, wziął zgrzewkę piwa i chipsy, Fritos i Ding Dong. Postawił to wszystko na ladzie, znów szczerząc do mnie zęby.

- Będzie dobra kolacyjka.

- Przede wszystkim dużo płynów - rzuciłam dowcipnie, również uśmiechając się szeroko.

- Poproszę o jakiś dokument ze zdjęciem. Chodzi o piwo, oczywiście.

- A co, nie wyglądam na dwadzieścia jeden lat?

- Tego nie powiedziałam. Ale mamy obowiązek sprawdzać wszystkich, nawet jeśli wyglądają na osiemdziesiąt lat.

- Czyli co? Wyglądam na osiemdziesiąt?

- Niestety. Efekt diety piwno-chipsowej - powiedziałam i zachichotałam. Och, Boże, jaka ja byłam głupia.

- A ty ile masz lat? - spytał Griff. - Dwanaście?

- Rzeczywiście, bardzo zabawne! - Od razu, oczywiście, wyprostowałam się, żeby wydawać się wyższa i starsza. - Mam już prawie osiemnaście.

- Ciekawe... - Griff nachylił się i zajrzał mi prosto w twarz. - Ja bym ci dał nie więcej niż trzynaście. No, w ostateczności czternaście, ale tylko wtedy, gdybym był w naprawdę dobrym nastroju!

- Ha! Ha!

Oczywiście, czułam, że robię się czerwona jak piwonia.

- A tak przy okazji... Jestem Griff Clark.

Wyjął z portfela prawo jazdy i położył przede mną na ladzie.

- Miło mi. Antonia Stradensky.

Specjalnie przedstawiłam się pełnym imieniem, z nadzieją, że przynajmniej to imię zabrzmiałoby tak... trochę starzej.

Spojrzenie Griffa przemknęło po identyfikatorze, przypiętym do bluzki.

- Chwileczkę. W takim razie, kim jest Toni? Gdzie ona jest? Co z nią zrobiłaś?

- To ja jestem Toni - powiedziałam. - Nie udawaj, że nie wiesz. Toni to skrót od Antonii.

Położyłam na wyciągniętej dłoni resztę.

- Dzięki, Antonio! Do zobaczenia! - Griff na pożegnanie zaserwował wyjątkowo szeroki uśmiech. - A tę biedną Toni, zanim pójdziesz do domu, wypuść jednak z lodówki!

- Dobrze. Niech zna moje dobre serce!

I tak to się zaczęło. Od tej chwili, kiedy byłam w pracy, Griff zawsze wpadał do sklepu. W rezultacie, kiedy nie przychodził, wpadałam w rozpacz i zastanawiałam się, czy naprawdę mu się podobam, czy nie. Potem w drzwiach pojawiała się płomienista czupryna i mnie już do końca tego dnia na duszy było wyjątkowo lekko.

Pewnego wieczoru, w kwietniu, spytał, czy nie mam ochoty z nim się przejść. Właśnie zamykałam sklep. Była północ, ciepła noc. Piękna, wiosenna noc.

Griff czekał na mnie na małym parkingu.

- Taka młoda dziewczyna nie powinna pracować tu do późnej nocy. To niebezpieczne, Toni.

- Dziś nie, bo ty tu jesteś! - powiedziałam z uśmiechem.

- Zgadza się. To co? Idziemy na mały spacer?

Poszliśmy. Spacer trwał ponad dwie godziny. Obeszliśmy całe miasto co najmniej trzy razy, rozprawiając na różne tematy. W pewnej chwili zapytałam go:

- Czym się zajmujesz, Griff?

Griff zaśmiał się.

- Wieloma rzeczami! Jem, śpię, trochę spaceruję sobie...

- Ale tak naprawdę. Pracujesz gdzieś?

- Teraz w Lynndale, na farmie mojego wuja. Ale staram się o pracę na Alasce, przy rurociągu.

- Och... - Czułam, jak wszystko się we mnie obrywa. - Czyli ty... ty też stąd wyjeżdżasz?

- Kto wie. Nic mnie tu nie trzyma. Chociaż... chociaż teraz, kiedy poznałem pewnego dzieciaka, co nazywa się Toni...

- Dzieciak? Nie jestem żadnym dzieciakiem!

- Nie? To udowodnij to.

Udowodniłam. Potem Griff przez dłuższą chwilę milczał. Po raz pierwszy wtedy byłam świadkiem jego cichej wściekłości.

W końcu odezwał się.

- Kto to był?

- Co? Kto? - spytałam, kompletnie zdezorientowana.

- Z kim się przedtem umawiałaś? Z kim?!

- Och, był taki jeden... Ale to już przeszłość.

Wsunął palce w moje włosy, chwycił mocno, ale nie pociągnął. Wtedy jeszcze nie.

- Masz trzymać się od niego z daleka, słyszysz?! Nie wolno ci zamienić z nim już ani słowa!

- Nie zamienię. Bo my nie rozmawiamy już ze sobą.

- W porządku.

Uśmiechnął się. Wyraźnie mu ulżyło. Odprowadził mnie do mojego samochodu, pocałował na pożegnanie. Zaczęliśmy się spotykać codziennie, po roku byliśmy już małżeństwem.

Nie żałuję. Niezależnie od wszystkiego mam dwójkę wspaniałych dzieci. Czasami tak sobie rozmyślam, jakby to było, gdybym wyszła za kogoś innego, na przykład za Louisa? Czy nadal mieszkałabym w Willow Creek? A może... może w żółtym domu nad oceanem?

ZASTĘPCA SZERYFA LOUIS

Nigdy w życiu nie widziałem kobiety bardziej smutnej niż Mary Ellen McIntire. Smutek wyłobził w policzkach głębokie bruzdy, oczy wpadnięte, całkowicie pozbawione blasku. Bardzo trudno spojrzeć w te oczy. Ból pani McIntire przenika człowieka jak mróz, do szpiku kości.

Zapraszam ją do swojego niewielkiego pokoju, żałując, że nie ma teraz ze mną agenta Fitzgeralda. Sprawa Jenny McIntire była to po prostu wielka tragedia. Pod każdym względem. Dziesięcioletnia dziewczynka, bardzo ładna, znika nagle ze swego domu. W środku nocy. Nikt nie wie dlaczego. Nigdy przedtem coś takiego się nie wydarzyło. Widziałem jej pokój. Jenna uwielbiała lalki, miała całą kolekcję lalek z serii Amerykańska Dziewczynka. Nigdzie nie było śladów włamania, śladów walki. Po prostu dziewczynka znikła. Ojciec zaklinał się, że drzwi na tyłach domu zamknął wieczorem porządnie na klucz. Rano drzwi były otwarte.

Zawsze pierwszymi podejrzanymi są rodzice, nawet jeśli wszystko wskazuje na to, że tak nie jest. Jest to dla nich bardzo upokarzające. Brani są pod uwagę jako domniemani sprawcy, gdy tymczasem oni gotowi są nie tylko oddać życie, ale umierać w najgorszych męczarniach, byleby tylko ich dziecko całe i zdrowe powróciło do domu. Niestety, podejrzewa się ich, bo znakomita większość zaginionych dzieci uprowadzana jest przez członków rodziny albo kogoś, kto dziecko znał.

Jenna McIntire została odnaleziona po sześciu dniach. Kilkanaście kilometrów od swojego domu. W zadrzewionej okolicy. Zebrano mnóstwo dowodów. Udokumentowano każdy przerażający akt przemocy wobec dziewczynki. Ale sprawcy nie schwytano do dziś. Nie wiadomo, kto to zrobił i dlaczego. Jakiś porąbany sukinsyn. Psychopata. Nie - chyba sam diabeł. To najlepsze określenie.

Przede mną siedzi teraz matka Jenny, Mary Ellen McIntire. Jeśli wierzyć plotkom, ona i mąż są teraz w separacji. Mają jeszcze syna, chyba czternastoletniego.

- Co u Jacoba? - pytam.

- Dziękuję, wszystko w porządku - odpowiada pani McIntire. - Jak każdy chłopak w jego wieku ciągle dokądś pędzi, coś musi zrobić. Czuję ulgę, kiedy zaczyna się szkoła. Wtedy przynajmniej wiem, gdzie jest.

Słyszę jakieś głosy. Coś się dzieje koło drzwi wejściowych. Wyciągam szyję, spoglądam w okno. Dwóch policjantów wprowadza do budynku jakiegoś wyraźnie kompletnie oszołomionego mężczyznę z potarganymi włosami.

- Przepraszam, pani McIntire - mówię. Wstaję, żeby zobaczyć jeszcze dokładniej. Mężczyzna jest uderzająco wysoki, przewyższa wzrostem obu policjantów, ale jednocześnie jest bardzo chudy. Nie wygląda na mocarza. Włosy białe jak mleko, wyraz twarzy taki, jakby miał zaraz się rozpłakać. Kto to może być?

Kątem oka widzę, że Mary Ellen McIntire wpatruje się we mnie zniecierpliwionym wzrokiem. No cóż... po takiej tragedii trudno być oazą spokoju.

Siadam.

- Bardzo panią przepraszam, pani McIntire. Czy mogę wiedzieć, co sprowadza panią do Willow Creek?

- Słyszałam, że zaginęły dwie dziewczynki. Pomyślałam sobie, że mogłabym pomóc.

- Chce pani włączyć się w tę... sytuację? Uważa pani, że to dobry pomysł?

- Tak. Uważam, że teraz powinnam być właśnie tutaj. Dobrze wiem, co człowiek czuje w takiej właśnie sytuacji. Wiem, przez co oni teraz przechodzą.

- Czy pani sądzi, że zaginięcie Petry i Calli ma coś wspólnego ze sprawą Jenny?

- Panie Louis, nie przyjechałam tu, żeby rozmawiać o sprawie mojej Jenny. Mogę to robić przez telefon. Jak pan dobrze wie, robię to. I nadal będę robić. Teraz pomyślałam sobie o tych biednych matkach, które nie wiedzą, gdzie są ich córki. To okropne, przerażające uczucie...

- To stało się dopiero dziś, pani McIntire. Nic jeszcze nie wiadomo, dopiero rozpoczęliśmy śledztwo. Dziewczynki w każdej chwili mogą wrócić do domu.

- Wiem. Ja proszę tylko, niech pan powie tym paniom, że jestem do ich dyspozycji. Mogę rozwieszać ogłoszenia o zaginięciu, dzwonić do ludzi, robić cokolwiek. Powie im pan?

- Powiem. Na pewno, pani McIntire. Może napije się pani czegoś? Kawa?

- Nie, dziękuję. Czy ma pan nadal numer mojej komórki?

- Mam, oczywiście. Będę do pani dzwonił.

Pani McIntire wstaje i wyciąga do mnie rękę. Kiedy zajmowaliśmy się tą paskudną sprawą małej Jenny, nigdy nie podała mi ręki. Robi to po raz pierwszy. Ściskam jej dłoń, jednocześnie modląc się w duchu, nie po raz pierwszy, żeby sprawa córki tej kobiety i sprawa zaginięcia Petry i Calli nie miały ze sobą nic wspólnego.

CALLI

Calli wspinała się po wąskiej, stromej ścieżce usłanej kamieniami. Poranione stopy Calli zdrętwiały już z bólu. Najchętniej zeszłaby z tego szlaku, poszła w las, na miękkie mech. Wiedziała jednak, że nie wolno tego robić. W leśnej gęstwinie bardzo łatwo zablądzić, trzeba trzymać się szlaku. Dlatego idzie tą kamienistą ścieżką. W górę zbocza. Nie jak przedtem, kiedy szła w dół i nogi same niosły. Poszła w górę, bo coś usłyszała. Jakiś szelest, wyczuła ruch. Zatrzymała się wtedy, rozejrzała, wśród otaczającej ją zieleni coś mignęło. Coś zbyt dużego, jak na zwierzę. Na człowieka chyba też, ale może jej się tylko tak wydawało. Nie miała jednak najmniejszego zamiaru przekonywać się, kto to jest naprawdę. Wystraszyła się i zaczęła iść z powrotem w górę, jak najszybciej. Jednak nie tą samą krętą ścieżką, lecz inną, prowadzącą w lewo. Szła najszybciej jak mogła, nie oglądając się za siebie. Łapała się kamieni przed sobą i podciągała. Odpychała od siebie nisko zwisające gałęzie, które biły ją po twarzy, zostawiające cienkie pręgi.

Nadchodził zmierzch, ze zmierzchem strach, że będzie musiała nocować w lesie. Więc szła, choć pot zalewał jej oczy. Nie słyszała nic, tylko własny świszczący oddech.

Wreszcie koniec. Koniec ścieżki, koniec wspinaczki. Calli zatrzymała się. Zgięta w pół, oparła ręce na kolanach, łapiąc trochę chłodniejsze już powietrze. Po chwili oddech się uspokoił, do uszu zaczęły docierać leśne odgłosy. Brzęczenie owadów, nawoływanie ptaków. Wieńcówki ziemne też rozmawiały ze sobą za pomocą tego swojego „czok, czok”.

Spojrzała przed siebie, na ziemię. Parę metrów dalej, wśród pocętkowanych na czarno brunatnych liści coś błyszczało. Intrygująco, bo ten błysk absolutnie nie pasował do tego miejsca. Calli, nadal zgięta w pół, podsunęła się do przodu i odgarnęła na bok butwiejące liście. Pod liśćmi leżał cienki srebrny łańcuszek. Wzięła go ostrożnie w dwa palce, podniosła. Z końca łańcuszka zsunęło się coś maleńkiego, opadło bezszelestnie na ziemię. Między liście. Zaczęła je rozgarniać, szukać. I znalazła. Malusieńką nutkę ze srebra.

Srebrna nutka. Calli ostrożnie zdmuchnęła z niej grudeczki ziemi i nasunęła nutkę na przerwany srebrny łańcuszek.

A potem... potem wszystko, co zobaczyła, co usłyszała, co się wydarzyło, wzbudziło w niej największe przerażenie. Taki strach, który owija się żelazną obręczą wokół piersi i nie pozwala oddychać.

Petra, Petra, Petra...

Wczołgała się między zarośla, tam gdzie rosły najgęściej. Przykucnęła. Zamknęła oczy, zasłoniła rękoma uszy i pojękując cicho, zaczęła się kołysać. W przód i w tył, w przód i w tył, za wszelką cenę starając się pomyśleć o czymś innym. O sarencie, którą spotkała tego samego dnia, a wydawało się, że bardzo dawno temu. Ślicznej sarencie o błyszczących czarnych oczach i zabawnych długich uszach. Swej partnerce w tamtym dziwnym tańcu, bez muzyki, bez słów...

MARTIN

Po wyjściu z domu pani Norland Fielda i ja stoimy jeszcze przez chwilę koło naszych samochodów. Jestem porażony tupetem pani Clark. Śmiała oskarżać mnie. Mnie! Kiedy, na domiar wszystkiego, w naszym małym gronie jedyną osobą stwarzającą problemy jest jej mąż.

Jestem wściekły, ale milczę. Fielda nie. Pełna goryczy, wyżyła się przed młodym policjantem, zastępcą szeryfa, który odprowadził nas do samochodów.

- Dlaczego nie szukacie Griffa Clarka? Dlaczego nie sprawdzicie go?

- Sprawdzane są wszystkie osoby związane z tą sprawą, pani Clark.

- Tak, tak. Ale czy naprawdę tak trudno odnaleźć Griffa? Przecież wiadomo, dokąd pojechał i z kim! O ile on faktycznie pojechał na te ryby!

- Przykro mi, proszę pani, ale nie wolno mi rozmawiać z nikim o szczegółach śledztwa.

- Nawet ze mną?! - krzyczy oburzona Fielda. - Przecież jestem matką, jej matką, na litość boską!

Kładę rękę na ramieniu Fieldy, ale zirytowana, strząsa moją rękę.

- A gdzie jest zastępca szeryfa Louis? - pyta podniesionym głosem. - On przynajmniej informował nas o wszystkim na bieżąco!

Fakt, ja też bardzo chciałbym wiedzieć, gdzie jest Louis.

- Ma chyba teraz jakieś spotkanie - mówi policjant i otwiera Fieldzie drzwi samochodu.

Wsiadamy, każde do swojego samochodu i jedziemy do teściowej. Teściowa stoi przed drzwiami, na schodkach, i rozmawia z jakimś obcym mężczyzną.

- Martwiłam się o was! - mówi do nas z wyrzutem. - Fieldo, dlaczego nie powiedziałaś mi, że wychodzicie? To jest pan Ellerbach z telewizji, z Kanału Dwunastego.

- Dzień dobry, pani Gregory! - Dziennikarz ściska dłoń Fieldy. - Czy znalazłaby pani dla mnie chwilę czasu? Chciałem zaprosić panią do nas, do telewizji.

Widzę, że Fielda się waha, dlatego przejmuję inicjatywę.

- Żona nigdzie teraz nie pojedzie. Ale odpowiemy panu na wszystkie pytania. Tutaj. Proszę, niech pan pyta.

- Dziękuję. Czy policja może odnalazła już córkę państwa?

Ku mojemu zaskoczeniu, odpowiada Fielda. Co więcej, twardym głosem, jak osoba silna i zdeterminowana.

- Nie, jeszcze nie.

- Czy śledztwo posuwa się do przodu? Czy są jacyś podejrzani?

- Nikt z nami na ten temat nie rozmawiał.

- Czy państwo byli przesłuchiwani?

- Oczywiście. Jesteśmy przecież rodzicami Petry!

- Wystarczy tych pytań - rzucam niecierpliwie.

- Proszę, niech pan już idzie. Żona i ja całą uwagę chcemy teraz skupić na odnalezieniu naszej córki.

Siwowłosy dziennikarz nie oponuje. Zabiera się do odejścia.

- Chwileczkę! - woła za nim Fielda. - Niech pan zaczeka! Mam do pana wielką prośbę. Do wszystkich. Proszę, pokazujcie jej zdjęcie w telewizji jak najczęściej. Proszę. I mówcie o niej. A ja przywiozę wam więcej zdjęć, jutro...

W głosie Fieldy słychać błaganie. Dziennikarz patrzy na nią ze współczuciem. Podchodzi i wsuwa jej coś do ręki.

- Jeśli zdecyduje się pani wystąpić, proszę do mnie zadzwonić. Zdjęcia dziewczynek oczywiście będą pojawiać się na wizji.

Odszedł.

- Co on ci dał, Fieldo? - pytam.

Fielda wręcza mi zwyczajną, skromną wizytówkę z logo Kanału Dwunastego. Lawrence Ellerbach, numer telefonu i e-mail.

- Co o tym sądzisz, Martin?

- Myślę, że zanim zgodzimy się porozmawiać z panem Ellerbachem czy pokazać się na wizji, powinniśmy powiedzieć o tym Louisowi albo agentowi Fitzgeraldowi.

- Może i tak. Ale nie powinniśmy ignorować mediów. Pamiętasz, agent Fitzgerald mówił, że koniecznie trzeba je wykorzystać. To logiczne. Im więcej ludzi dowie się o Petrze...

- I o Calli, Fieldo.

Po twarzy Fieldy przemyka cień.

- Oczywiście, że Calli też! Tylko że ja swego zdania nie zmieniam. Nadal uważam, że Griff Clark ma z tym coś wspólnego. Ledwo przyjechał do domu z Alaski, a już wyjeżdża na ryby. A dwie dziewczynki znikają! Och, Martin, niedobrze, że nie zgodziliśmy się na ten wywiad! Trzeba to zrobić jak najprędzej. Mam w nosie, co myśli o tym policja! Mądrzą się i mądrzą, a nasze dziecko nie wróciło jeszcze do domu!

- Fieldo, jeśli tak uważasz, to oczywiście. Trzeba to zrobić jak najprędzej!

Przytulam ją do siebie. Moja koszula mokra jest od potu, ale Fieldzie to nie przeszkadza. Wtula się we mnie i całuje mnie w policzek.

- Pojedziesz ze mną?

- Nie, Fieldo. Ja idę szukać Petry i Calli. Nie wolno z tym dłużej zwlekać. Idę do lasu. Zadzwonię do Louisa i Antonii, może pójdą razem ze mną.

Bo ja też swoje wiem, też mam poważne zastrzeżenia co do Griffa Clarka. Na tej planecie żyję nie od dziś, poza tym znam się trochę na teorii prawdopodobieństwa. W tym przypadku bardziej prawdopodobne jest to, że dziewczynki uprowadził ktoś, kto je zna, nie ktoś obcy. A

Griff Clark potrafi być nieobliczalny. Przekonałem się o tym w marcu, kiedy w szkole podstawowej zorganizowano spotkanie nauczycieli z rodzicami i dziećmi. W sumie byłem z tego bardzo zadowolony. Pochodziłem sobie po szkole, w której uczy się moja córka, obejrzałem rysunki dzieci, porozwieszane na ścianach. Poza tym miałem okazję poobserwować, jak inni ojcowie odnoszą się do swoich dzieci. W końcu nie jestem ojcem typowym. Jestem o wiele starszy niż ojcowie rówieśników Petry, bardziej wyglądam na jej dziadka niż na ojca. Chociaż podczas tego spotkania w szkole trochę się rozluźniłem, kiedy zobaczyłem niejedną samotną matkę ze swoją pociechą. Czyli nie ma jednego schematu.

Kiedy szliśmy korytarzem, natknęliśmy się na rodzinę Clarków. Stali w kącie, twarz Griffa była purpurowa z gniewu.

- Po cholere tu przyszedłem? Po co? Żeby znowu się dowiedzieć, że Calli nie mówi?!

Calli stała z opuszczoną głową. Antonia na próżno starała się uciszyć męża.

- Przestań mnie uciszać, Toni! - Nie podnosił głosu, ale jego pełen złości szept słychać było w całym korytarzu. - Spójrz na mnie, Calli!

Chwycił ją za ramiona. Dziewczynka podniosła na ojca spłoszony wzrok.

- Czy ty jesteś niedorozwinięta, Calli? - syczał. - Przecież potrafisz mówić. Wiem, że potrafisz. Przestań się wygłupiać i zacznij w końcu gadać! A ty, Toni, przestań w końcu wydziwiać. Och... - Szept Griffa zmienił się w szyderczy falset - och, jej nie wolno do niczego zmuszać! Nie wolno!

I znów złowrogi szept:

- A niech to szlag!

Twarz Calli była właściwie bez wyrazu. Żadnego gniewu czy protestu. Po prostu tylko całkowita rezygnacja.

Zauważyła moją Petrę. Petra uśmiechnęła się do niej, pomachała, ale jakoś tak bardzo dyskretnie, i chwyciwszy mnie i Fieldę za ręce, poprowadziła nas dalej, jak najdalej od tej przykrej sceny.

Po wywiadówce poszliśmy do kawiarni teściowej. Lucky Thompson podał nam w pułkarkach wspaniały deser lodowy z mnóstwem dodatków, zwany „żółwiem”, i żartobliwie wicherząc Petrze włosy, spytał, co to dziś za święto.

- Wracamy z wywiadówki - powiedziałem. - Chcemy uczcić osiągnięcia naukowe mojej genialnej córki.

Petra zarumieniła się z zadowolenia, Fielda poprosiła Lucky'ego, żeby usiadł z nami. Lucky trochę się wahał, miał podobno mnóstwo roboty, ale kiedy Petra obiecała, że odda mu połowę swoich lodów, stwierdził:

- Takiemu zaproszeniu trudno się oprzeć!

A mnie smutna scena na korytarzu szkolnym nie dawała spokoju.

- Petro... - spytałem po jakimś czasie. - Chodzi mi o Calli, rozumiesz. Czy tam jest tak zawsze?

Petra, oczywiście, chwyciła w lot.

- Zawsze, kiedy jej tato przyjeżdża - powiedziała, zagłębiając łyżkę w swoich lodach. - Ale jak taty nie ma, jest całkiem inaczej. Jej mama jest bardzo miła.

- Pamiętaj, Petro, nie wolno ci tam chodzić, kiedy jest ojciec Calli!

- Przecież wiem, tato. Ale czasami myślę, że właśnie jak on jest, Calli bardzo by chciała, żebym przyszła. Bo jak jej tato jest w domu, to ona jest bardzo smutna. Najsmutniejsza!

- Rozmawiacie o Griffie Clarku? - spytał Lucky. Fielda skinęła potakująco głową.

- Znasz go?

- Tylko z widzenia. Ale parę razy widziałem go w akcji. Był z kumplami. Trzeba przyznać, facet dosyć ostry.

- O Boże - jęknęła Fielda. - Petro, czy tato Calli bije ją, kiedy się rozgniewa?

- Nie wiem, mamó. Wiem tylko, że kiedy jej tato przyjeżdża do domu, ona jest bardzo smutna.

- Rozumiem - powiedziałem i uznając, że najwyższy czas zmienić temat, zrobiłem specjalnie żalospną minę i spytałem: - A kiedy ja jestem w domu, ty też jesteś smutna?

- Tato! - Petra posłała mi ten swój uroczy, szczerbaty uśmiech. - Ja uwielbiam, kiedy ty jesteś w domu!

Lucky przyglądał się nam, powiedziałbym, melancholijnie. Wiedziałem, że Lucky nie ma łatwego życia. Na pytania o rodzinę zawsze odpowiadał wymijająco. I niejeden już powiedział mi, że bardzo chciałby mieć kiedyś taką rodzinę jak moja. Wtedy wyznałem mu, że gdyby Fielda nie rzuciła we mnie mufinką, byłbym teraz samotnym, zgorzkniałym starcem. Lucky śmiał się, ale zauważyłem, że jego oczy wcale nie były wesołe.

- Mogę to zjeść? - spytała Petra, wskazując na wiśnię maraschino, którą Lucky odłożył na bok.

- Oczywiście - powiedział Lucky. Wziął wiśnię na łyżeczkę i włożył do otwartej buzi Petry. Popatrzył na nią chwilę i mruknął. - No tak... Ja bym też nie życzył sobie, żeby Petra przebywała w pobliżu Griffa Clarka.

Z czym zgadzałem się całkowicie, zwłaszcza po incydencie na szkolnym korytarzu.

A teraz osoba Griffa Clarka jest dla mnie powodem do największego niepokoju. Do czego ten człowiek jest zdolny? Co mógł zrobić mojemu dziecku? Czuję, że drzę. Dziwne, na dworze jest upał, prawie czterdzieści stopni, a ja drzę. Bo wszystko przecież jest możliwe.

Wsiadam do samochodu i jadę do domu pani Norland, zastanawiając się w duchu, jakie argumenty skłonią Antonię i Louisa do pójścia ze mną do lasu.

CALLI

- Calli...

Głos spokojny, przemawiający prawie czule, ale na widok poszarzałej, zmartwionej twarzy taty w Calli wszystko skurczyło się ze strachu.

- Calli, proszę, nie upieraj się. Chodź ze mną. Wracamy do domu. Chyba chcesz zobaczyć...

Nagle zamilkł. Kiedy ogarnął spojrzeniem wszystko. Nie tylko Calli, ale także to, co leżało przed nią. Poobijana, posiniaczona głowa Petry...

- Jezu! Jezu! Calli, co jej się stało?

Calli wstała. Pierwsza myśl - uciekać. Ale jak? Z tyłu za nią głęboki jar. Przed nią tato, tarasujący drogę.

- Calli! Co się stało? Mów!

Nachylił się, bo dojrzał coś wśród ostów. Podniósł z ziemi szmatkę. Pobrudzoną, porwaną. Białą w żółte kwiatki.

- Jezu...

Znów spojrzał na Petrę. Całą Petrę. Na pobrudzoną bluzkę od pizamy i gołe, posiniaczone nogi, poplamione krwią.

- Jezu...

Odwrócił się szybko, zacharczał, z ust wyleciało mu coś żółtawego. Chwilę głośno dyszał, znów zaczął charczeć, ale z ust nic już nie wyleciało.

- Calli, kto to zrobił? Czy wiesz, kto to zrobił?

Machinalnie wytarł ręce brudną szmatką w żółte kwiatki. Spojrzał na szmatkę, zaklął i cisnął ją na ziemię. Podszedł do Petry. Rozedrgane palce przyłożył najpierw do nadgarstka, potem do szyi. Potrząsnął głową.

- Trudno wyczuć.

Ukląkł i przyłożył ucho do piersi dziewczynki. Potem podsunął palec pod nos, starając się wyczuć strumień ciepłego oddechu.

- Calli, kto jej to zrobił?

Nagle między drzewami zaszeleściło. Usłyszeli ciężkie kroki i wołanie.

- Calli! Calli!

To Ben. Przedarł się przez zarośla i natychmiast doskoczył do siostry, zasłaniając ją własnym ciałem.

- Zostaw ją! - krzyknął do ojca. - Zostaw! Idź stąd!

- Ben! - zawołał zdumiony Griff. - Skąd ty się tu wziąłeś?

Chłopiec nie słuchał, rozglądając się gorączkowo na wszystkie strony, jakby szukał, za co mógłby teraz chwycić. Kamień albo gałąź. I krzyczał.

- Idź stąd! Idź!

- Zamknij się, Ben! - huknął Griff. - Nie wiadomo, co tu się stało, a z dziewczynką jest bardzo źle! Musimy ją stąd zabrać! Chociaż... może nie powinniśmy jej dotykać. Ale przecież nie możemy jej tak tu zostawić! Ben, zostań tu, a ja z Calli zejdziemy na dół i sprowadzimy pomoc.

- Nie! Calli nigdzie z tobą nie pójdzie.

Ben, nie spuszczać oczu z ojca, wyciągnął rękę w tył. Natrafił na rękę Calli. Chwycił ją i przyciągnął dziewczynkę do siebie.

- Ben, nie ma czasu na kłótnie. Petra chyba umiera. W takim razie ty idź po pomoc. Ja poczekam tu razem z Calli.

- Nie. Calli pójdzie po pomoc. Ty i ja zostajemy z Petrą.

- A stuknij ty się w głowę! Przecież Calli nikomu nic nie powie! Co ma zrobić, miny stroić, czy jak? Ty zostajesz. Ja i Calli idziemy.

Podszedł do Bena z boku, próbując złapać Calli za rękę. Ben natychmiast przesunął się i zasłonił siostrę.

- Nie! Calli idzie po pomoc. A ciebie nie zostawię samego z Petrą.

- No nie! - ryknął Griff. - Ty myślisz, że ja mam z tym coś wspólnego?!

Ben milczał. Patrzył czujnie na ojca, ręce rozłożone. Mur między Griffem a Calli.

- Ben... - odezwał się o wiele spokojniej Griff. - Naprawdę myślisz, że ja to zrobiłem?
Ben, jestem przecież twoim ojcem!

- To wiem. Ale skąd one tu się wzięły? Calli i Petra? Skąd ty się tu wziąłeś? Ty nigdy nie wchodzisz tak wysoko! Petra cała poobijana, nie rusza się. Calli ledwo żywa. Co ja mam o tym wszystkim myśleć?

- Wiesz co, Ben? Ty lepiej nie myśl, bo jeszcze głowa cię rozboli. I zejźdź mi z drogi! Ale już! Calli, idziemy!

Griff wyciągnął rękę, chwycił Calli mocno za ramię i zaczął ciągnąć w stronę ścieżki.

- Nie! - krzyknął Ben. - Puść ją!

Rzucił się na ojca, pchnął go. Griff, zaskoczony nagłym atakiem, puścił dziewczynkę. Zachwiał się i upadł na ziemię.

A Ben doskoczył do Calli.

- Biegnij, Calli, biegnij po pomoc! Tamtą ścieżką, dojdiesz nią do Szlaku Żbika. Ja przypilnuję Petry. Biegnij najszybciej, jak potrafisz. Powiedz im, gdzie jestem, słyszysz? Powiedz im!

Calli odwróciła się i pobiegła do ścieżki.

BEN

Tato, wiadomo, jest wściekły.

- Ben, ty durniu! - drze się, zbierając się z ziemi. - Co ty narobiłeś?! Ona poszła! Jak tylko się stąd wydostaniemy, stłukę cię na kwaśne jabłko!

- Wszystko mi jedno - mówię. - Ty zostajesz tutaj i czekasz na policję.

- Nie, Ben. Ty zostajesz. Chociaż ten sukinsyn, co ją tak urządził, może gdzieś tu jeszcze jest. Ale zostań. Ja idę po pomoc.

- Nigdzie nie idziesz - mówię twardo.

- A weź się...

Tato podbiega do mnie i wali ramieniem w pierś.

I przeżywa mały szok, bo ja wcale nie upadam i nie zwijam się w bezbronny kłębek. Te-go lata urosłem i rozrosłem się. Jestem o wiele silniejszy. Tato wali mnie po raz drugi, ja stoję jak głaz. W rezultacie tato odbija się ode mnie i pada na ziemię.

- Gówniarz... - szepcze, podnosząc się z ziemi.

Po raz pierwszy w życiu dociera do mnie, że mój ojciec wygląda staro. Nie chodzi o to, że wygląda na faceta po osiemdziesiątce. Nie. Wygląda na kogoś, kto jest już cholernie zmęczony życiem. Facet w średnim wieku, który za dużo czasu spędził przy piwie i robieniu ludziom źle. To wszystko siadło mu na twarzy, przykryło ją, jak maska na Halloween.

Znów idzie na mnie. Tym razem lepiej przygotowany. Robi zamach prawą ręką, jakby chciał walnąć mnie w głowę, ale w ostatniej sekundzie obniża rękę i wali mnie w żołądek. Padam, on natychmiast wali się na mnie. Nie mogę oddychać. Walę go po plecach, ciągnę za włosy, byle ze mnie zlazł, żebym znów mógł oddychać. Tato próbuje przygwoździć moje ręce do ziemi, ale młóć nimi powietrze jak wariat.

- Ben, do cholery, przestań! Uspokój się!

Wcale się nie uspokajam. Młóć dalej, ale po kilku sekundach dociera do mnie, że już mogę oddychać. Tato chce wstać, ale ja mu to uniemożliwiam, bo przykleiłem się do jego nogi. Tato w końcu wstaje. Idzie, wlokąc mnie za sobą, przyklejonego do tej nogi. Robi zaledwie kilka kroków, nie jestem już przecież chudym chłopczykiem. Pada na tyłek i kopie mnie. Prosto w nos.

Nie widzę gwiazd, takich gwiazd, jakie pokazują w kreskówkach w niedzielę rano. Widzę coś podobnego do robaczków świętojańskich. Kilka takich robaczków. Z nosa leci krew, mam wrażenie, jakby ktoś wyrwał mi go szczypcami.

- Do cholery, Ben - mówi tato. - I na co ci to było?

Oczywiście, uważa, że to moja wina. Ja sam złamałem sobie nos. Nigdy dotąd nie miałem ochoty kogoś zabić. Nawet Meechuma. Teraz mam. Rodzonego ojca, w lesie. Dlatego walę go zakrwawioną pięścią w głowę.

Nie trafiam. Tato robi unik.

- Ben, spokojnie. Myślisz, że mam z tym coś wspólnego. Ale ja naprawdę tego nie zrobiłem!

- Nie wierzę ci! - krzyczę histerycznie. - Powiem wszystkim, powiem, co zrobiłeś Petrze i Calli!

Moje ręce są śliskie, mokre od krwi. Ojciec odczołguje się kawałek dalej. Nie idę za nim. Wstaję i ocieram ręce o szorty, nadające się teraz już tylko do wyrzucenia.

- Ben! - woła ojciec. - Chcesz, żebym poszedł do więzienia? Za coś, czego nie zrobiłem? Będę siedział do końca życia! Jezu! Ben! Przecież ona umiera! Musimy jej pomóc!

- Calli sprowadzi pomoc. Prawdopodobnie jest już na dole.

- Przecież ona od czterech lat nie powiedziała ani słowa! Myślisz, że teraz coś powie?

Nie odpowiadam. Jestem zupełnie wykończony. Boli mnie nos. Mój tato...

Kiedy miałem pięć lat, uważałem go za największego, najsilniejszego faceta na świecie. Chodziłem za nim krok w krok, wciskałem się obok niego na fotel. Obserwowałem każdy jego ruch. Jak wkłada ręce za pasek dżinsów, kiedy gada z kumplami. Jak trzyma puszkę z piwem w prawym ręku, lewą otwiera. Zamyka oczy i wypija pierwszy łyk. To znaczy nabiera piwa do ust, trzyma tam chwilę, jakby płukał sobie usta, dopiero potem przełyka. A na twarzy pojawia się zachwyty.

Po dwóch, trzech piwach tato jest bardzo fajny. Wesóły. Nas, dzieciaki, kiedy byliśmy mniejsi, laskotał, mamę sadzał sobie na kolanach i ścisnął ją. Po czwartym piwie mówił mamie, że jest głupia. Nie potrafi nawet powiesić porządnie jego koszul ani zamieść podłogi w kuchni. Darł się na nią, że wydaje za dużo pieniędzy na jedzenie, a i tak nie umie niczego porządnie ugotować. Po siódmym piwie robił się niecierpliwy. Niedotykaliski. Kiedy próbowałem usiąść obok niego w fotelu, odepchnął mnie. Nie brutalnie, ale stanowczo. Jak ktoś, kto chce zostać sam.

Mama wtedy zabierała mnie i Calli na górę. Czytała nam bajki. A ja nakładałem jedną ze swoich ulubionych pizam. Ta była biała w takie śmieszne roześmiane kłowny, które trzymały baloniki. Oczywiście, kumple o niej nie wiedzieli. A ja bardzo ją lubiłem. Fajnie jest po kąpieli nałożyć na siebie coś wesołego. Niestety, kiedyś tato po siódmym piwie zobaczył mnie w tej pizamie i powiedział, że wyglądam jak jakiś mięczak i powinienem ją spalić. Oczywiście, nigdy już jej więcej nie nałożyłem. Od tej chwili spałem w starym T-shircie taty. Ale pizam nie spaliłem, leżą pod kalesonami, w dolnej szufladzie. Wcale nie uważam, że to pizamy dla mięczaków. Po prostu, jak się ma pięć lat, wolno mieć takie wesołe pizamy.

Po piwie dwunastym wychodziliśmy. Jeśli był dzień i nie padało, mama wsadzała Calli do nosidełek i szliśmy do lasu. Pokazywała mi wszystkie miejsca nad strumieniem, gdzie bawiła się w dzieciństwie. Oczywiście Zakątek Siedmiu Wierzb, Most Samotnego Drzewa, także miejsce, gdzie strumień jest bardzo szeroki i leżą w nim duże kamienie. Za pierwszym razem, kiedy tam poszliśmy, rozłożyła koc w zacięnym miejscu, wyjęła Calli z nosidełek, położyła ją na kocu, a potem pokazała mi, jak przejść po tych kamieniach na drugi brzeg w dwadzieścia pięć sekund. Kiedy była młodsza, podobno przechodziła w piętnaście sekund. O trzy sekundy szybciej niż jej kolega. Ten kolega to, wiadomo, zastępca szeryfa Louis.

Kiedyś po dwunastym piwie, zanim wyszliśmy z domu, mama powiedziała coś o Louisie. O tym, jak ona i on mieli po dziewięć lat. Tato się wściekł. Zaczął wydzierać się na mamę i rzucił w nią puszką piwa. Dlatego mama przy tacie nigdy nie opowiada, jak to było, kiedy była mała.

Po kilku godzinach chodzenia po lesie, kiedy istniała już szansa, że tato wypił piwo nie wiadomo już które, mama zabierała nas do domu. Po piwie nie wiadomo którym ojciec zasypiał. Na długo. Mogliśmy wtedy hałasować, ile dusza zapragnie. Ojca nic nie było w stanie obudzić. Ale my i tak nie hałasowaliśmy. Nawet nie włączaliśmy telewizora. Tak jest do dziś. Boję się, że będę oglądał sobie jakiś stary film, a tato obudzi się, podejdzie cichcem i trzepnie mnie z tyłu w głowę. Kiedy ja będę kompletnie na to nieprzygotowany.

Kiedy miałem pięć lat i ojciec był moim idolem, próbowałem chodzić sobie w kółko, trzymając puszkę z napojem tak samo, jak robił to tato z puszką piwa. Też trzymałem ją w prawym ręku, otwierałem lewą, choć jestem praworęczny. Ćwiczyłem przykładanie puszki do ust, nabierałem napój do ust, międliłem go tam przez chwilę, potem przelykałem. A potem rzucałem puszkę na podłogę.

Mama kiedyś przyłapała mnie na tych ćwiczeniach. Myślałem, że dostanie szału. Choć na tatę nigdy się za to nie wściekała. Kiedy już minęła jej złość, popatrzyła na mnie tak jakoś bardzo smutno i powiedziała:

- Benny, następnym razem dam ci do napoju kilka kostek lodu i będziesz pił przez słomkę. Wtedy będzie bardziej smakowało.

Od tej chwili za każdym razem napój z puszki wlewany był do szklanki, mama dodawała lód i piłem przez słomkę. Faktycznie, smakował o wiele bardziej.

Czasami, po tym piwie nie wiadomo którym i długiej drzemce, tato budził się i dalej był bardzo zdenerwowany. Wtedy szedł do bieliźniarki, szperał tam przez chwilę i wyciągał butelkę z ciemnego szkła. Wtedy mama natychmiast zabierała nas z domu. Wsiadaliśmy do samochodu i jeśli był to już wieczór, jechaliśmy do Winner, miasta o wiele większego niż Willow Creek. Do restauracji Culvera. Jedliśmy hamburgery, frytki i krążki cebuli w cieście. Calli siedziała na wysokim dzieciennym krześle. Mama drobiła jej jedzenie i kładła przed nią na tacce. Przed wyjściem z restauracji mama kupowała mi duże oreo shake, tylko dla mnie. W samochodzie siadałem sobie z tyłu, mama zapinała mi pasy i ruszaliśmy w długą drogę do domu. Winner wcale nie jest tak daleko od Willow Creek, ale mama, jak to mówiła, wybierała trasę widokową. Sącyłem swoje oreo, i jechaliśmy, jechaliśmy, jechaliśmy...

Pewnego razu, podczas tej długiej drogi do domu, mama wjechała w jakiś dół i samochodem zarzuciło. Mama zatrzymała się na poboczu. Spojrzała na śpiącą Calli, spojrzała na mnie.

- Ben, nic ci się nie stało?

- Nic. Tylko wylało mi się oreo.

Podawała mi serwetkę. Zacząłem wycierać spodnie, a mama nagle oparła głowę o kierownicę.

- Przepraszam - powiedziała. - Przepraszam, jestem po prostu tak już tym zmęczona...

Włączyła silnik i pojechaliśmy już prosto do domu. Tato spał w fotelu. Wszędzie leżały puszki. Było ich ponad dwadzieścia plus ciemnobrązowa butelka, ustawiona na końcu stołu. Mama tego wieczoru nie zebrała puszek. Mruknęła tylko pod nosem, że każdy powinien sprzątać po sobie i poszliśmy na górę. Mama z Calli i ja.

Od tej chwili, kiedy tato zaczął szukać w bielizniarce, nie znajdował nic. Robił się wtedy wściekły, ale potem szedł na chwiejnych nogach do lodówki i znajdował tam jeszcze jedno piwo. Z tym piwem wracał na swój fotel. Poza tym od tej chwili w drodze powrotnej z Winner mama zjeżdżała na parking i zamykała na chwilę oczy. Trochę odpoczną, mówiła. A kiedyś w zimie, kiedy naprawdę było bardzo zimno, zatrzymaliśmy się w motelu w Winner. Nie było tam basenu ani niczego w tym stylu, ale mieli kablówkę. Mama pozwoliła mi zmieniać kanały, jak chcę. Siedziała na łóżku obok mnie, trzymała na ręku Calli i starała się nie płakać.

Teraz tato i ja, obaj we krwi, siedzimy i czekamy. Mam nadzieję, że nie zrobiłem źle, wysyłając Calli po pomoc. Mam nadzieję, że Petra nie umrze.

Mam nadzieję, że ona jeszcze żyje.

ANTONIA

Ben jeszcze nie wrócił. Martwię się o niego. Do tego dochodzi złość na Fieldę i Martina. Jak oni mogli coś takiego powiedzieć! Znam swojego syna, wiem, że nigdy w życiu nie zrobiłby dziewczynkom nic złego. Znam też Griffa. Dzieci nie interesują go do takiego stopnia, żeby na nich wyladowywać złość. Poza tym liczba puszek, rozrzuconych wokół domu tego ranka była zdecydowanie niniejsza niż liczba piw, po której dostawał szau.

Dzwoniłam do Louisa, on nie oddzwania. Wiem, że jest bardzo zajęty sprawą dziewczynek, ale ma też inne obowiązki. Tym niemniej jestem zaskoczona, że Louisa przy mnie nie ma.

Zawsze był, kiedy go potrzebowałam. Oczywiście nie wtedy, kiedy uczył się w college'u. Pamiętam, jak prosiłam, żeby nie wyjeżdżał. Teraz wiem, że żądałam od niego zbyt wiele.

Louis był przy mnie, kiedy miałam dziewięć lat i zaczął mnie terroryzować chłopak z piątej klasy, kiedy w dziesiątej klasie wpadłam w panikę przed wygłoszeniem referatu z literatury. Był przy mnie, kiedy umierała moja matka. Moja matka i ja różniłyśmy się bardzo od siebie, ale Louis doskonale wyczuwał, że to, co wtedy przeżywałam, było w moim życiu pierwszą wielką tragedią. Wiedział, że te godziny, które mój ojciec i ja spędzamy przy łóżku zżeranej rakiem piersi mamy pozostawią we mnie głęboki ślad.

Louis jeździł do biblioteki po książki, o które prosiła mama. Czytałam je potem mamie, kiedy kolejna porcja morfiny trochę uśmierzyła jej ból. Moja matka była prawdziwym molem książkowym. Ja nie. Owszem, lubiłam książki, ale na czytanie miałam niewiele czasu. Szkoła, praca w sklepie, dużo czasu spędzałam z Louisem. Ale mama konsekwentnie kładła na moim stoliku nocnym książkę, z nadzieją, że przeczytam, a potem razem z mamą będziemy na jej temat dyskutować. Niestety, nigdy to się nie zdarzyło. Dopóki mama nie zachorowała. Wtedy, czując wyrzuty sumienia, zaczęłam jej czytać na głos.

Pewnego dnia, na krótko przed śmiercią, mama poprosiła, żebym odszukała wśród jej książek „Moją Antonię” Willi Cather. Tę książkę mama wielokrotnie kładła na stoliku przy moim łóżku, a ja nigdy nie miałam czasu jej przeczytać. Choć wiedziałam, że to ukochana książka mojej mamy, dzięki temu zresztą mam na imię Antonia.

Zaczęłam czytać mamie „Antonię”. Początkowo bez większego entuzjazmu przenosiłam się do Nebraski z przełomu wieków, potem tę książkę pokochałam. Louis często siedział przy mnie, słuchał, jak czytam mamie. Chyba mu się moje głośne czytanie podobało. Mojej biednej mamie na pewno. Na jej wymizerowanej twarzy często pojawiał się wtedy nikły uśmiech.

Pewnego popołudnia, jakieś trzy tygodnie przed jej śmiercią, mama poprosiła, żebym usiadła blisko niej, na łóżku, bo chce ze mną porozmawiać. Usiadłam tam, bardzo ostrożnie, żeby nie dotknąć tych rurek, powsadzanych w jej rękę. Moja piękna mama, zawsze pachnąca chanelem, pachniała teraz starością i chorobą. Włosy, kiedyś piękny, złocisty blond, były szare, matowe. Twarz blada, ściągnięta z bólu.

- Antonia, moja Antonia - szepnęła mama. - Chciałam ci coś jeszcze powiedzieć, zanim... zanim umrę.

- Mamo, nie mów tak - pisnęłam, czując, że łzy już napływają mi do oczu.

- Ja umrę, Antonio, już niebawem. A my tak mało czasu spędzałyśmy ze sobą. Chłopcy dadzą sobie radę, ale ty... O ciebie martwię się, córeczko.

- Nie trzeba, mammo, naprawdę.

Pociągnęłam nosem i odwróciłam twarz. Nie chciałam, żeby mama widziała, jak płaczę. A mama schowała obie moje dłonie w swoich dłoniach i zaczęła bawić się swoją obrączką. Zawsze tak robiła, kiedy byłam malutka i siedziałyśmy w kościele. Teraz obrączka bez trudu obracała się na jej rozpaczliwie cienkim palcu.

- Louis jest bardzo sympatycznym chłopcem - powiedziała.

- O, tak - przytaknęłam.

- Antonio, mnie nie będzie na twoim ślubie...

- Mammo, proszę, błagam.....

- Nie będę na twoim ślubie, dlatego teraz chciałabym ci coś przekazać. Jak to jest być żoną i matką. Ludzie mówią, że najważniejsze zadanie kobiety to macierzyństwo. Oczywiście, że niezmiernie ważne. Ale wydaje mi się, że równie ważne, a może nawet jeszcze bardziej, jest bycie żoną. Dobrą żoną. Dlatego decyzja, z kim spędzisz resztę życia, będzie twoją najważniejszą życiową decyzją. Będziesz miała dzieci, będziesz je kochała, bo to twoje dzieci i będą cudowne. Takie jak ty... - Mama spojrzała na mnie, zmarszczyła zabawnie nos i uśmiechnęła się. - Jeśli chodzi o dzieci, dzieje się to w sposób naturalny. Co innego mąż. Małżeństwo to wybór. Mężczyzna, którego wybierzesz, powinien cię uszczęśliwiać, zachęcać, żebyś spełniała swoje marzenia, i te małe, i te dalekosiężne.

- Taki jest tato?

- Tak. Twój tato taki właśnie jest. A moje marzenia były bardzo zwyczajne. Chciałam być żoną i matką, to wszystko. Mam wszystko, czego chciałam. Najukochańszego męża, najukochańsze dzieci. Żałuję tylko, że nie spędzałam z tobą więcej czasu...

Mama zaczęła cicho płakać, a ja myślałam, że mi serce pęknie.

- Mammo, proszę, tylko nie płacz. Będę pamiętać, co mi powiedziałaś. Obiecuję. Tylko nie płacz, proszę.

Mama pokiwała głową. Starła się uśmiechnąć, niestety, jej twarz wykrzywiła się z bólu. Wzięłam do ręki książkę.

- To co, mammo? Wracamy, do małej Carson McCullers? - spytałam.

- Wracamy.

Zaczęłam czytać. Po kilku minutach mama zasnęła. Wtedy nachyliłam się nad nią i pocałowałam w policzek. Skóra na policzku była sucha, cieniutka jak papier, ale przez zapach choroby przebił się znajomy zapach mamy. Zamknęłam oczy, przyrzekając sobie w duchu, że zapamiętam słowa matki. Nigdy ich nie zapomnę. Oczywiście, ledwo wyszłam z pokoju, już zapomniałam.

Miałam akurat lekcję historii powszechnej. Do klasy wszedł dyrektor szkoły. Nauczyciel przerwał pisanie na tablicy, podszedł do dyrektora. Zaczęli coś szeptać, spoglądając w moją stronę. Do dziś pamiętam tę straszną rozpacz, pamiętam myśli. Och, mamó, jak żałuję, że byliśmy ze sobą tak krótko...

Wstałam, wyszłam z ławki. Nie myślałam o zbieraniu książek, zeszytów, swoich rzeczy. Pamiętam, że Louis szedł za mną. Trzymał mnie mocno za łokieć. Zaprowadził mnie do swojego samochodu i zawiózł do domu. Tej pierwszej, strasznej nocy bez mamy został ze mną bardzo długo. Była to noc milczenia. Nie rozmawialiśmy, nie było takiej potrzeby. Louis po prostu był przy mnie. Teraz myślę, że z Louisem łączyła mnie taka sama przyjaźń, jaka teraz łączy Calli i Petrę.

Po śmierci mamy dalej czytałam. Codziennie wieczorem przed snem czytałam sobie głośno parę stron. Dlatego czytanie jednej książki trwało o wiele dłużej, niż czytanie po cichu. Ale ja czytałam na głos. Kiedy nosiłam Bena pod sercem, czytałam mu na głos dziecinne książki, które wyszperałam na wyprzedaży. Griff wyśmiewał mnie, dlatego robiłam to wtedy, kiedy go nie było przy mnie. Uwielbiałam jedną ręką objąć swój wielki brzuch, w drugiej trzymać książkę i czytać głośno nienarodzonemu jeszcze synkowi. Wierzyłam święcie, że Ben, tam w środku, słucha mnie, może nawet z przejęciem ssie malutki paluszek.

Kiedy moje dzieci były już na świecie, głośne czytanie nie wzbudzało sensacji. Jeszcze teraz co wieczór czytam Calli, Ben też, co prawda już rzadko, prosi, żeby przeczytać mu na głos fragment z książki, którą właśnie czyta. Kiedy Griff wyjeżdża, kładę się do łóżka razem z książką i czytam, czytam, póki nie zasnę. Z książką w ręku.

Po śmierci mamy Louis kilkakrotnie prosił mnie, żebym poczytała mu na głos, ale ja nie chciałam. Po prostu się wstydziłam. Przestał prosić, kiedy któregoś dnia bardzo ostro odmówiłam.

Louis czasami mi się śni. W tych snach oboje mamy po szesnaście lat. Najczęściej trzymając się za ręce, idziemy przez las. Czuję na swojej dłoni ciepłe palce Louisa. Czuję to nawet teraz, kiedy pomyślę o tych snach. W moich snach Louis mnie całuje. A ja, choć śpię, karczę

siebie. Co ty wyrabiasz, Antonio? Masz przecież męża! Karzę skutecznie, bo odsuwam się od Louisa, uciekam z jego objęć. I budzę się, cała rozpalona. Czasami obok Griffa, czasami sama, kiedy Griff jest tysiące kilometrów stąd, na Alasce.

Potrafię przez wiele dni, nawet tygodni, ani razu nie pomyśleć o Louisie. A potem nagle widzę na mieście jego radiowóz, albo w supermarkecie widzę jego bardzo ładną żonę, ich mały synek, usadzony w wózku, macha tłustymi nóżkami. Wtedy myślę - popatrz. Takie mogło być twoje życie. Wściekam się potem na samą siebie i na jakiś czas ten zakamarek mojego mózgu zamykam na cztery spusty.

Griff przecież nie zawsze był taki niedobry. Zaczął pić na umór dopiero po narodzinach Bena. Po raz pierwszy mnie uderzył, kiedy Ben miał trzy latka. Nie pamiętam już, co go tak rozgniewało, ale pobił mnie tak mocno, że przez cały miesiąc nie ruszałam się z domu bez okularów przeciwsłonecznych. Nie tknął mnie przez rok, potem znów się zaczęło. Tylko robi to już inteligentniej. Nigdy nie bije w takie miejsca, gdzie ślady są widoczne.

Bije mnie, a jednocześnie potrafi być świetnym facetem. Jest taki wesoły. Kiedy opowiada, jakie historie dzieją się na tym rurociągu, rozśmiesza mnie do łez. Nawet Lou nie potrafił mnie tak rozbawić. Gdyby Griff przestał pić, byłoby całkiem inaczej. Ja wiem, że on mnie kocha. I jest moim mężem. Jego sobie wybrałam, jak to się mówi, na dobre i na złe. Nawet na fatalne.

Muszę iść poszukać Bena. Z Lousem albo bez niego. Griffa nie ma, ale ja do jego nieobecności jestem przyzwyczajona. Od początku wiedziałam, że to człowiek, na którym nie można polegać. W każdym razie ja idę do lasu i bez Bena stamtąd nie wychodzę. Nie jestem tak do końca przekonana, że Calli jest w lesie. Ale niewykluczone, że tam jest. Znajdę ją i przyprowadzę do domu.

Pani Norland stara mi się to wyperswadować, w końcu jednak sama wkłada mi do plecaka kilka butelek z wodą i ściska na pożegnanie. W chwili, gdy zarzucam plecak na plecy, widzę przez okno Martina Gregory'ego. Podchodzi pod dom pani Norland.

Po co przyszedł? - dziwię się w duchu, ale oczywiście biegnę do drzwi.

ZASTĘPCA SZERYFA LOUIS

Odprowadzam Mary Ellen McIntire do wyjścia, otwieram przed nią drzwi. Żegnając się z nią, zapewniam solennie, że odezwę się natychmiast, kiedy rodzice zaginionych dziewczynek będą potrzebowali jej pomocy. Potem patrzę, jak pani McIntire idzie do swojego samochodu. Wygląda jak kupka nieszczęścia. Przygarbiona, załamana. Patrzę i zastanawiam się, czy ten dzień nigdy się nie skończy.

Zamykam drzwi, odgradzając się od okropnego upału i podchodzę do Tucciego.

- Powiedz, co to za gościa przywieziono tu przed chwilą? - pytam.

- Ten wysoki? Siwy? Charles Wilson. Doradca szkolny z podstawówki. Domyślasz się, gdzie go zgarnęli? W lesie. Zauważył go strażnik leśny i zadzwonił do nas. Wysłaliśmy tam Bendera Washburna. Wilson co prawda kręcił się po lesie dość daleko od domu zaginionych dziewczynek, ale jest coś niejasnego. Mówi, że wyszedł na spacer z psem. A psa wcale z nim nie było!

Było natomiast oczywiste, że Tucci już uważa Wilsona za sprawcę.

- Myślisz, że ze mną pogada? - pytam.

- Nie sądzę. Kiedy usłyszał o zaginięciu dziewczynek, powiedział, żeby ściągnąć jego prawniczkę i nabrał wody w usta. Teraz siedzi w sali konferencyjnej i czeka na nią. A ona za jakąś godzinę na pewno go stąd wyciągnie.

Dzwoni moja komórka. Siadam na krześle i wyjmuję telefon. Dzwoni Martin.

- Louis, ja i Antonia chcielibyśmy wiedzieć, czy przyjedziesz do domu pani Norland?

Natychmiast prostuję się w swoim krześle.

- Coś się stało?

- Nic, o czym byś nie wiedział. Tak sądzę. Znalaziono ślady na podwórzu Antonii, to wiesz. A my chcemy pogadać z tobą o poszukiwaniu dziewczynek.

- Martin! Kilku policjantów przeczesало już las w pobliżu waszych domów. Nie znaleźli niczego. Wkrótce rozpoczniemy poszukiwania z helikopterem i psami.

- Louis, ja doskonale wiem, że bardzo się staracie, ale zrozum, czas mija bardzo szybko. Proszę, przyjedź do pani Norland.

- Dobrze. Już do was jadę. A wy nie ruszajcie się z domu, zgoda?

- Będziemy czekać. Proszę, pospiesz się.

Rozłączam się, zaniepokojony nie na żarty, dlaczego nie zadzwoniła do mnie Toni. Czyżby straciła wiarę we mnie? W moje policyjne umiejętności? Mam nadzieję, że nie. Nie siedzimy przecież z założonymi rękami. Może sprawcą faktycznie jest ten doradca szkolny.

Chociaż ja nie jestem o tym przekonany. Nadal staramy się ustalić, gdzie przebywa teraz Lucky Thompson, ten student, który pracuje w Mourning Glory Café. Nie przyszedł na popołudniową zmianę...

Zastanawiam się, czy nie zadzwonić do żony. Powinienem dać znak życia.

Nie, później. Kiedy odjeżdżam spod posterunku, nastawiam radio na F2, żeby słyszała mnie tylko Meg, nasza dyspozytorka.

- Meg, ta informacja jest tylko dla ciebie.

- Rozumiem.

- Jadę do lasu szukać dziewczynek wzdłuż Szlaku Żbika.

ANTONIA

Louis jest już w drodze. Teraz wszystko wydaje się takie proste. Idziemy do lasu. Będziemy szukać aż do skutku. Nie zamierzam wracać do domu bez Bena, Calli i Petry.

- Wokół domu ciągle kręcą się dziennikarze, o policjantach nie wspominając. Masz jakiś pomysł, jak się stąd wymknąć? - pyta Martin.

- Nie mam - mówię szczerze. Ta sprawa też mnie dręczy. Dobrze, że tak dużo ludzi angażuje się w szukanie mojego dziecka. Ale nie wyobrażam sobie, żebym miała szukać dziecka, mając jednocześnie na karku kamerzystę. Martwi mnie też, jak zareaguje Calli, kiedy zacznie ją szukać mnóstwo obcych ludzi. Może się przestraszyć, gdzieś ukryć i w rezultacie odnalezienie jej będzie jeszcze trudniejsze.

Dzień się kończy. Powinniśmy wyruszyć do lasu kilka godzin wcześniej. Czuję żal do Louisa i agenta Fitzgeralda, że zmarnowali tyle cennego czasu.

- Już jest - mówi Martin, spoglądając przez szparę między zasłonami.

Podbiegam do drzwi. Otwieram, zanim Louis zdąży zapukać.

- Cześć! Dzięki, że przyjechałeś.

- Nie było innej opcji. Martin dał do zrozumienia, że to ważne.

Louis podaje rękę Martinowi.

- Idziemy szukać dzieci - informuje go Martin. - Wiem, że jest to sprzeczne z planem opracowanym przez agenta Fitzgeralda, ale my czujemy taką potrzebę.

Ze strony Louisa żadnej reakcji. Tylko słucha.

- Za kilka godzin będzie ciemno - mówię. - Nie wyobrażam sobie, że będę siedziała tu z założonymi rękami, świadoma, że jest noc, a dziewczynki są w lesie same. Idę ich szukać.

- Rozumiem - mówi w końcu Louis. - Wcale nie twierdzę, że nie macie racji. Myślę jednak, że jutro, kiedy będziemy mieli helikopter i psy, będzie można przeszukać o wiele większy teren.

- Przecież jedno nie przeczy drugiemu! - mówi wyraźnie zniecierpliwiony Martin. - Jeśli dziś się nie uda, jutro będzie szukał helikopter i będą szukały psy! A teraz Antonia i ja idziemy, niezależnie od tego, czy pójdziesz z nami, czy nie. Chociaż mamy nadzieję, że z nami pójdziesz, a przynajmniej pomożesz nam wymknąć się stąd niepostrzeżenie. Chodzi oczywiście o dziennikarzy.

Martin i ja z niepokojem czekamy na decyzję Louisa. A Louis ma taką samą niewyraźną minę, jak dawno temu, w dzieciństwie, kiedy prosiłam, żeby zrobił coś, co na pewno ściągnie na niego duże kłopoty. Ale Lou w końcu i tak się godził.

Teraz też.

- Dobrze - mówi. - Gdzie zaczynamy? Martin patrzy na mnie.

- Nie znam dobrze lasu. Co proponujesz, Toni?

- Ben powiedział, że przeszukał już Zakątek Siedmiu Wierzb i skraj lasu. Idźmy po prostu dalej, w głąb lasu. Najpierw Ścieżką do Starej Szkoły, potem Szlakiem Żbika. Może dziewczynki postanowiły dojść do tej szkoły, ale zabłądziły.

Ścieżka do Starej Szkoły to kręta, prawie już zarośnięta dróżka, znana tylko tym, którzy w lesie czują się jak w domu. Szlak ten, o długości prawie pięciu kilometrów, prowadzi w głąb lasu, do małego budynku szkolnego z jedną tylko klasą. Nikt nie wie, dlaczego zbudowano szkołę w tak odludnym miejscu. Może kiedyś nie było tak odludne, gdzieś tu w pobliżu stały domy osadników. Potem osadnicy przenieśli się bliżej miasta, po ich domach nie pozostał żaden ślad. Przetrwał tylko budynek szkolny, bardzo solidny, z wapienia i dębu. Teraz mieszkują w nim leśne zwierzęta.

- A co z dziennikarzami? - pyta Martin. - Może powiedziec, że w biurze szeryfa odbędzie się konferencja prasowa? Polecą tam wszyscy!

- I przekonają się, że to bujda - mówi Louis. - A dziennikarzy lepiej do siebie nie zrażać. Mogą się jeszcze na coś przydać.

- W takim razie mam pewien pomysł - oznajmia Martin. - Toni, czy mogę skorzystać z telefonu pani Norland?

- Oczywiście. Do kogo chcesz zadzwonić?

- Do Fieldy. Ona i tak zamierzała udzielić wywiadu dziennikarzowi z Kanału Dwunastego. Sądzę, że kilku dziennikarzy więcej nie zrobi różnicy.

- A ja mam też pewien pomysł - mówi Louis. - Jak wywabić stąd dziennikarzy na trochę dłużej. Oczywiście, jeśli Fielda nie będzie miała nic przeciwko temu. Znam kogoś, kto zadeklarował pomoc i jest w naszym mieście. Mary Ellen McIntire.

Jestem przerażona.

- Matka tej zamordowanej dziewczynki? - pytam załamującym się głosem. - O, Boże! Chyba nie myślisz, że ten sam człowiek, który zamordował tamtą dziewczynkę, uprowadził Calli i Petrę!

- Nie wiem, Toni. Mam nadzieję, że nie. Istnieją pewne różnice między obu sprawami, ale Jenna McIntire została wywabiona ze swojego domu i uprowadzona do lasu. Dziennikarzy na pewno bardzo to zainteresuje.

Martin i ja spoglądamy po sobie.

- Dzwonię do Fieldy - mówi Martin. - Louis, dzwoń do pani McIntire, powiedz jej, żeby podjechała pod dom mojej teściowej. Antonio, wyjdź przed dom i powiedz, że za piętnaście minut w domu pani Mourning odbędzie się konferencja prasowa.

BEN

Jestem wykończony, głowę mi po prostu rozsadza. Siedzę oparty o drzewo. Kiwam się sennie, zapuchnięte oczy same się zamykają. Tato chyba śpi, więc postanawiam też sobie trochę kimnąć. Zamykam oczy, w ostatniej jednak chwili, już tylko przez szparki między powiekami widzę, że Petra poruszyła się. Leciutko, ale na pewno. Żyje. Chwała Bogu.

Wstaję, trzymając się pnia i na chwiejnych nogach podchodzę do Petry. Leży zwinięta w kłębek, rękoma osłania głowę, dlatego twarzy nie widzę. Może to i lepiej. Mój żołądek też jest wykończony, nie wiem, jakby zareagował, gdybym spojrział z bliska na twarz zbitą na miazgę. Ale ja muszę pogadać z Petrą, koniecznie. Musi mi powiedzieć, co się stało, póki tato śpi.

- Petro... - szepczę cicho.

Kłękam i kładę rękę na jej ramieniu. Petra zwija się w jeszcze mniejszy kłębek.

- Petro, to ja, Ben. Proszę, odezwij się.

Z ust Petry wydobywa się tylko cichy jęk. Jakby samo słuchanie mojego głosu sprawiało jej ból.

- W porządku, Petro. Jak nie chcesz, to nie mów. Nic ci już nie grozi. Jestem przy tobie, nie pozwolę, żeby ktoś cię dotknął.

Spoglądam na tatę. Dalej śpi. Petra znów jęczy cicho. Głaszczę ją po ramieniu.

- Mama... - jęczy cicho Petra. - Chcę do mamy...

- Niedługo wrócisz do mamy, Petro, na pewno. Petro, powiedz, czy to mój tato? Czy to on ci to zrobił?

Cisza.

- Petro, powiedz. Czy to mój tato? Czy to on? Kto cię tutaj przyprowadził?

Dalej cisza. Wzdycham i siadam ciężko na ziemi. Dobrze, że Petra w ogóle się odezwała. Nie umrze. Przynajmniej nie teraz. Petra ma siedem lat i jest naprawdę super. Jest taka dobra dla Calli. A na pewno nie jest łatwo kumpłować się z kimś, kto nie mówi. Mało tego, ona mówi za Calli.

Kiedyś, na przykład, spytała mnie:

- Ben! Calli i ja zastanawiamy się właśnie, czy pożyczysz nam swoje rękawiczki do bejsbola i kij?

Albo:

- Calli nie czuje się dobrze. Gdzie jest wasza mama?

Jak się człowiek nad tym zastanowi, to rzeczywiście jest to niebywałe.

Kiedy Petra była z Calli, byłem o siostrę spokojny. Często szły obie, wpatrzone w siebie. Głowy lekko pochylone, jakby faktycznie ze sobą rozmawiały. W pewnym momencie zacząłem podejrzewać, że Calli z Petrą rozmawia naprawdę, a przy nas udaje.

Zapytałem się zresztą Petry wprost:

- Powiedz mi szczerze, czy Calli przy tobie mówi?

- Gadamy bez przerwy - odparła Petra. - Ale tak... bez głosu. Po prostu wiem, co ona myśli, a ona wie, co ja myślę.

- Dziwne - powiedziałem, ale ponieważ nie chciałem urazić Petry, dodałem szybko: - Dziwne, ale bardzo pozytywne.

- Oczywiście! - zawołała Petra i pobiegła do Calli. A dla mnie to po prostu zagadka, do dziś. Głaszczę Petrę po ramieniu. Petra wzdrygnęła się.

Znów zaczyna cicho płakać i pojękiwać.

Spoglądam tam, gdzie leży tato. Nie ma go. Wstaję, jak na moją obecną kondycję wyjątkowo szybko i rozglądam się dookoła. Nikogo, czyli tato poszedł sobie. Czyli jestem palantem. Dałem mu odejść. Czy Calli zdążyła zejść już na dół? Nie mam pojęcia, ile czasu minęło. Calli jest szybka, szybsza ode mnie, ale czy da radę sprowadzić pomoc, zanim tato ją dogoni? Nie wiadomo. A może tato jest gdzieś tutaj, czai się gdzieś wśród drzew i czeka na dogodny moment, żeby rzucić się na mnie. Wykończyć mnie i Petrę.

Trochę mi wstyd, że mam takie myśli o własnym ojcu. Ale to on złamał mi nos, a Petra leży tu ledwo żywa. Wcale już nie czuję się duży i silny. Prawie słyszę szyderczy śmiech taty:

- No co ci jest, Ben? Ale z ciebie wielki bohater! Ryczysz jak baba!

Bo, faktycznie, ryczę. Policzki mam mokrzusieńkie. Co będzie, jeśli tato dogonił Calli? A przecież to ja, osobiście, kazałem jej biec na dół. I co mam teraz zrobić? Pilnować Petry czy zostawić ją i samemu lecieć po pomoc? Co mam zrobić?! Mam dopiero dwanaście lat, nie potrafię podejmować takich trudnych decyzji.

Co zrobiłaby teraz mama? Siadam na ziemi obok Petry, opieram się plecami o duży kamień i zastanawiam się. Co zrobiłaby teraz mama, ale nie taka mama, jak wtedy, kiedy tato jest w domu. Taka mama, jak taty nie ma. Taka, która kiedyś własnoręcznie ogłuszyła parasolką nietoperza, co wlaźł przez komin, potem wyniosła go do lasu. A kiedy spadłem z drzewa i rąbałem głową o kamień, dlatego zakładali mi pięć szwów, wcale nie płakała, nie była blada jak ściana. Po prostu siedziała, trzymając mnie za rękę. Kazała mi na siebie patrzeć i mówiła, że wszystko będzie w porządku.

Co by zrobiła teraz mama? Myślałem i myślałem, w końcu doszedłem do wniosku, że mama zostałaby tu z Petrą i czekała na pomoc. Petry nie wolno zostawić tu samej. Dlatego nie ruszam się stąd. Będę siedział i miał nadzieję, że Calli pokonała już zbrocze.

Co zrobi potem? Jak przekaże, gdzie jest Petra? Nie mam pojęcia. Po prostu trzeba wierzyć w Calli. Już ona znajdzie jakiś sposób.

ZASTĘPCA SZERYFA LOUIS

Stoimy na polanie. Antonia ponownie wylicza mi ulubione miejsca zabaw Calli w lasach Willow Creek, ja zapisuję to w swoim notesie, choć nie muszę. Znam te miejsca, oboje przecież, Antonia i ja, wychowaliśmy się w tych stronach, od dziecka ganialiśmy po tych lasach.

Komórka brzęczy. Kto dzwoni? Moja żona.

- Loras, co ty wyrabiasz?

- Pracuję - mówię, odchodząc na bok, dalej od Martina i Toni.

- Przecież dziś miałeś mieć wolne!

Nie odpowiadam. Wiem przecież, że Christine ma jeszcze niejedno do powiedzenia.

- Lou? - Toni podchodzi do mnie i kładzie mi rękę na ramieniu. - Jakież wiadomości?

- Kto tam jest z tobą? - pyta Christine. - Toni Clark? Mów!

- Powiedziałem ci, że teraz pracuję.

- A ja ci mówię, że masz natychmiast wracać do domu - mówi Christine niebezpiecznie cichym głosem.

- Tanner czeka na ciebie. Swojego syna nie widziałeś od wielu dni.

- Teraz to niemożliwe - mówię chłodno, jakbym rozmawiał z dyspozytorką. Sam się temu dziwię. Zachowuję się tak, jakbym chciał ukryć przed Toni, że rozmawiam ze swoją żoną.

- Loras... - Christine jest wyraźnie bliska łez.

- Rozmawiasz z żoną, a nie z kolegą z pracy. Chcę wiedzieć, co się z tobą dzieje!

- Nie teraz. Zadzwoń później. Christine wybucha.

- Loras! Do cholery! Czy ty nie zdajesz sobie sprawy, że niszczysz nasze małżeństwo?

Wrzeszczy. Wiem, że Martin i Toni słyszą ją doskonale. Oboje, skrepowani tą sytuacją, wpatrują się w ziemię.

- Niszczysz nasze małżeństwo z powodu tej żalostnej kobiety, która nie potrafi powstrzymać męża od picia i przypilnować własnego dziecka!

Znów czuję na ramieniu dłoń Toni. Odwracam się do niej, prawie pewien, że Toni będzie próbowała wyrwać mi z ręki komórkę i powiedzieć Christine parę słów. Ale Toni bez słowa wskazuje na coś palcem. Podążam wzrokiem za tym palcem. Patrzę, jednocześnie rozłączając się, bez słowa pożegnania.

Z lasu wychodzi Calli. Widzę, jak z twarzy Antonii natychmiast znika cały smutek. Widzę twarz kobiety szczęśliwej. Czuję ogromną ulgę. Nie wytrzymałem już tego patrzenia na udrękę Antonii. Dzieci, Calli i Ben, są przecież dla niej całym życiem. Mąż ma inne priorytety. Butelkę piwa i miejsce, gdzie po pijaństwie można się położyć.

Calli wychodzi z lasu. Widzę, jak pełne nadziei spojrzenie Martina omija Calli, gorączkowo szuka jeszcze kogoś wśród drzew głogu, rosnących przy Szlaku Żbika. Nikt jednak nie idzie za Calli. Jest sama. Kiedy zatrzymuje się przede mną, na pierwszy rzut oka wygląda jak zwyczajna siedmioletnia dziewczynka, biegająca sobie po lesie. W rękę trzyma srebrny łańcuszek z wisiorkiem, małą srebrną nutką. Wiem, że to wisiorzek Petry, jej matka opisała mi go

szczegółowo, kiedy dzwoniła do mnie dziś rano, pięć po wpół do piątej i zgłosiła zaginięcie córki.

Martin widzi łańcuszek w ręku Calli. Chwieje się, pada na kolana, natychmiast jednak wstaje i podchodzi bliżej. Szybkim, zdecydowanym krokiem. A wyraz twarzy... Znam ten wyraz. Twarz, na której wypisane jest jedno pragnienie. Dowiedzieć się prawdy. Tak wyglądają twarze zdesperowanych rodziców. Tak wyglądały twarze rodziców dziesięcioletniej Jenny McIntire.

Calli łapie mnie za rękaw. Nachylam się, nasze twarze są na tej samej wysokości. Nie spodziewam się słów, Calli nie mówi od lat. Ale może przecież zaprowadzić nas do Petry i miejmy nadzieję, że nastąpi szczęśliwy finał. Calli jednak wcale nie ciągnie mnie za rękę do lasu. Calli mówi. Jeden wyraz. Antonia tuli do siebie córkę, Antonia szczęśliwa, ale też i wyraźnie zdezorientowana. Martin płacze. Łka.

A ja widzę jeszcze coś, czego oni, Toni i Martin nie widzą. W drugim ręku Calli trzyma kawałek materiału, zbity w kłębek. Białe figi w żółte kwiatuszki.

MARTIN

Widzę Calli, przyjaciółkę mojej Petry. Biegnie ścieżką, jest coraz bliżej. Z palców dziewczynki zwisa coś błyszczącego. Poznaje od razu. To łańcuszek Petry, łańcuszek, którego Petra nigdy nie zdejmowała. Nogi uginają się pod mną. Osuwam się na kolana. Patrzę na twarz Calli. Nie jest wylęknięta, tylko pełna determinacji. Dla mnie to już iskierka nadziei. Patrzę znów w las. Ale mojej Petry nie ma.

Dziewczynka zatrzymuje się przed matką i zastępcą szeryfa. Ciężko dyszy. Biedne stworzenie, które nigdy nie mówi. Czuję, że ogarnia mnie rozpacz. Przecież ja muszę odnaleźć moją Petrę! Biegnę do dziewczynki, gotowy chwycić ją za chude ramiona, potrząsać nią i krzyknąć jej prosto w twarz:

- Powiedz! Powiedz!

Zatrzymuję się kilka kroków przed nimi. Dziewczynka ciągnie zastępcę szeryfa za rękaw. Louis nachyla się, jego ucho jest przy ustach dziecka. Dziecko mówi. Wypowiada jedno słowo. To słowo uderza we mnie. Płaczę.

ANTONIA

Louis i ja dostrzegamy cię prawie jednocześnie. Wśród ewodii. Ciężki, duszący zapach tych drzew, bardzo słodki, zawsze będzie przypominał mi ten dzień. Widzę, jak coś różowego przemyka przez zieleń. Twoja koszulka nocna, cienka letnia koszulka, którą nałożyłaś wczoraj wieczorem. Kamień spada mi z serca, cała drzę. Twoich podrapanych nóg prawie nie dostrzegam, ani kolan w błocie, ani łańcuszka w zaciśniętych palcach. Wyciągam ręce, szczęśliwa, że znów będę mogła przytulić cię do serca. Objąć z całej siły, oprzeć policzek na twoich przepoconych włoskach.

Postanawiam, że już nigdy więcej nie będę modlić się w kółko tylko o jedno: „Proszę, żeby Calli mówiła”. Koniec z tym bezgłośnym błaganiem, tym jęczeniem w duchu - proszę, choć jedno słowo.

Teraz będę tylko dziękować, że Calli jest.

Jesteś.

Jesteś, ale mijasz mnie i stajesz przed Louistem. Mądre dziecko, myślę. Widzi mundur, dlatego podchodzi do niego. Louis nachyla się nad tobą, ja zachłannie wpatruję się w twoją twarz. W twoje wargi, które zaczynają się poruszać, wyraźnie składają się do wypowiedzenia słów. Słowo zostaje wyartykułowane. Ulatuje z ust bez żadnego wysiłku. W głosie, tak długo nie używanym, nie ma śladu niepewności. Jest jasny, dźwięczny, kiedy ty po długich trzech latach wypowiadasz swoje pierwsze słowo...

Potem trafiasz wreszcie w moje ramiona. Płacę, dając ujście najrozmaitszym emocjom. Przede wszystkim ulga, niewyobrażalna, i tak samo wielka wdzięczność, że los zechciał mi ciebie oddać. Radość jednak miesza się ze smutkiem, gdy widzę poszarzałą twarz ojca Petry.

Nie rozumiem, dlaczego wybrałaś akurat to słowo. Ale to nie ma żadnego znaczenia. Najważniejsze, że w końcu przemówiłaś.

CALLI

Calli biegła. Nie miała już nóg, były to tylko dwa ciężary, przyłączone do talii. Ale trzeba biec, tak kazał Ben. Ben, który zawsze nadstawiał za nią głowę, brał na siebie gniewne słowa i ciosy, przeznaczone tak naprawdę dla niej, dla Calli.

Więc biegła, ściskając mocno w rękach dwa przedmioty. Łańcuszek Petry i jej figi. Dlaczego Petra nie miała ich na sobie? Dla Calli było to kompletnie niezrozumiałe, czuła jednak,

że są one teraz czymś bardzo istotnym. Petra jest tak strasznie pobita. On powiedział, że Petra może umrzeć. Och, Boże! Czy byłaby to też jej wina?

Wśród pocętkowanych na brązowo paproci zauważyła nagle jakąś kulę, jasnorudą, prawie w kolorze słomy. Zatrzymała się. Pies. Pies, którego widziała nieraz, radośnie biegającego po lesie. Leżał martwy. Długi różowy język wystawał spośród ostrych zębów. Niewidzące oczy otwarte szeroko. Obrozę ktoś zdjął.

Znów to okropne uczucie, że ktoś ją obserwuje. Odwróciła się szybko od psa i pobiegła w dół, po zboczu, nie zważając na kamienie i wystające korzenie. Ben kazał sprowadzić pomoc. Ona to robi. A ten człowiek... Ten straszny człowiek, co był tam, na górze... To jego pies. Tak. To był jego pies. A tato... tato był na nią taki zły. Wyładuje się na Benie, na pewno. A może i na Petrze. Ben, tato, Petra, ten człowiek. Ben, tato, Petra, ten człowiek. Ben, tato, Petra, ten człowiek... Te słowa wirowały w jej głowie. Ben, tato, Petra, ten człowiek...

Wybiegła na polanę. A tam... och, przecież to mama! Mama! I zastępca szeryfa Louis, i tato Petry! Wreszcie można przestać biec. Zrobiła to, co kazał Ben. Sprowadzić pomoc. Ben, tato, Petra, ten człowiek. Ben, tato, Petra, ten człowiek. Ben, tato...

Do kogo podejść? Oczywiście, do zastępcy szeryfa Louisa. On sprowadzi pomoc. Zabierze tamtego człowieka. Zabierze tatę.

Mama wyciąga po nią rękę. Ale ona staje przed Louisem. Ben, tato, Petra, ten człowiek. Ben, tato, Petra, ten człowiek. Ben, tato, Petra, ten człowiek...

- Ben!

To słowo samo wyskoczyło jej z ust, nie, nie dokładnie z ust, bo było głębiej, bardzo głęboko, gdzieś pod mostkiem. Nie poznała swojego własnego głosu. Wydał jej się taki mocny, taki jasny. Miała ochotę powiedzieć więcej... Ben, tato, Petra, ten człowiek. Ben, tato...

Ale ramiona mamy objęły ją już z całej siły. Kołysały, a ona była taka zmęczona, tak bardzo chciało jej się pić...

MARTIN

Calli, teraz w objęciach matki, nie wypuszcza łańcuszka z ręki. Podchodzę, chcę wziąć ten łańcuszek. Prawie nie widzę przez łzy. To Ben? Ben to zrobił? Nie mogłem uwierzyć, choć kilka godzin temu, kiedy rozgniewana Fielda wystąpiła z taką właśnie sugestią, przez moment wcale nie uznałem tego za niemożliwe.

Wyciągam rękę, żeby wyjąć łańcuszek z palców Calli. Ale przed Calli staje Louis.

- Martin, poczekaj - mówi półgłosem. - Daj jej teraz spokój.

- Ale... ale gdzie ona jest? Petra?

- Znajdziemy ją, Martin. Właśnie dzwonię po wsparcie.

Widzę, jak Louis wyjmuje coś z ręki Calli. Z drugiej ręki, nie tej, w której Calli trzyma łańcuszek. Co to może być? Wyciągam szyję, ale nie widzę. Louis, trzymając to w garści, idzie szybko do samochodu, żeby wezwać pomoc.

- Calli, proszę, powiedz, co z Petrą? - pytam. Jak najłagodniej. - Została tam, tak? Proszę, powiedz. Czy Ben jest też tam na górze? Czy to Ben ją skrzywdził?

Antonia patrzy na mnie ze złością i zasłania sobą Calli. Jakbym to ja był dla tego dziecka największym zagrożeniem.

- Posłuchaj, Martin - odzywa się podniesionym głosem. - Nie wiem, co ty tak naprawdę myślisz, ale jeśli chodzi o Bena, to zaryczam. On nie ma z tym nic wspólnego! On...

Urywa w pół słowa, bo zjawia się przy nas Louis.

- Wezwałem kilku policjantów, pomogą szukać Petry i Bena - mówi i spogląda na Calli. - Wezwałem też ambulans. Ratownicy medyczni powinni od razu sprawdzić jej stan. Poza tym muszą być tutaj, na miejscu. Petra albo Ben mogą potrzebować pomocy medycznej. Calli... - Louis nachyla się nad dziewczynką. - Calli, jak jest z Petrą? Czy z Petrą wszystko w porządku?

Czeka na odpowiedź, ale Calli nic nie mówi. Tylko powoli kręci głową.

Przecząco. Ja wydaję z siebie jęk i odchodzę. Ruszam na szlak.

- Martin, zaczekaj! - woła za mną Louis. - Zanim pójdziemy w górę, musimy się dowiedzieć, którym szlakiem! Tam są trzy szlaki!

Zatrzymuję się i odwracam do nich. Nie panuję już nad sobą.

- No to spytaj ją! Do cholery, niechże ja też się w końcu dowiem, gdzie jest moje dziecko! Spytaj ją! Przecież mówi! Powiedziała: Ben!

Wypluwam z siebie słowa, zmieszane ze śliną. Calli i Antonia, wystraszone moim wybuchem, tulą się do siebie. Louis wydaje mi rozkaz.

- Martin, stań koło drogi i czatuj na ambulans. Nie wiedzą przecież dokładnie, gdzie jesteśmy. A ja porozmawiam z Calli. Dowiem się od niej, którądy dokładnie mamy iść. - Kończy zdecydowanie łagodniejszym głosem. - Zrób to, Martin. Zyskamy na czasie.

Robię, co każe, chociaż bardzo niechętnie. Louis podchodzi do Antonii i Calli, wtulonych w siebie. A mnie aż kłuje w sercu. Jakie to niesprawiedliwe. Ja też powinienem tulić do siebie swoją córkę, pocieszać ją, a nie dalej się zastanawiać, gdzie ona jest. Żywa czy martwa.

Staję na poboczu drogi. Ambulansu nie widać. Opieram się o maskę policyjnego samochodu. Po morderczym upale metal po prostu parzy. Odskakuję od maski.

- Martin! - woła do mnie Antonia. - Mógłbyś przynieść tu wodę dla małej? Leży na tylnym siedzeniu!

- Nie! - krzyczy Louis i biegnie do samochodu. Ale ja już zdążyłem otworzyć drzwi. Biorę trzy butelki, dwie dla Calli, jedna dla mnie, zabiorę ją ze sobą, kiedy wreszcie pójde szukać mojej córki. W tym momencie było mi wszystko jedno, kto to zrobił. Ben, nie Ben. Byle się odnalazła...

Prostuję się, mam zamiar odejść od samochodu i nagle widzę je. Brudne, poplamione, ale poznaję od razu. Wczoraj składałem je po wyjęciu z suszarki. Białe w żółte kwiatuszki. To one, leżą tu w plastikowej torebce. Chwytam za torebkę, przyglądam im się dokładnie.

Louis stoi już obok mnie.

- Martin...

Rzucam mu torebkę prosto w pierś, niezdolny dłużej przyglądać się jej zawartości.

- Idę szukać mojej córki.

Odwracam się i biegnę. Pod górę. Biegnie moje pięćdziesiąt kilka lat i mój strach.

ZASTĘPCA SZERYFA LOUIS

Klnę. Cicho. Martin gna tym szlakiem, a Bóg jeden wie, co zastanie tam, na górze.

- Toni - mówię twardym głosem - czekaj tu na ambulans i policjantów. Idę za Martinem. Powiedz policjantom, że idziemy do Kotliny Włóczykija. Na rozstaju trzeba skręcić w lewo. Nie zapomnisz?

- Nie - mówi Toni. Minę ma znów niewesołą. Wiadomo, martwi się o Bena. Dlatego dodaję.

- Głowa do góry, Toni. Dostaniesz swego syna z powrotem, całego i zdrowego.

Ściskam jej rękę i biegnę za Martinem. Wkrótce go doganiam. Stoi na skraju ścieżki, ciężko dysząc i ogląda coś, co leży na ziemi. Psa.

- Nie żyje - stwierdza.

Pochyliam się i dotykam boku zwierzęcia.

- Jeszcze ciepły - mówię. - Nie leży tu długo.

- Jak myślisz, co mu się stało? - pyta Martin. W jego głosie słychać strach.

- Nie wiem. Martin, może jednak wrócisz na dół. Pójde sam...

- Nie ma mowy.

- Skoro się uparłeś... Ale pamiętaj, idziemy wolniej. Wcale się nie przysłużymy twojej córce, jeśli będziemy lecieć jak wariaci i któryś z nas po drodze padnie.

- Jasne. Rozumiem - mówi Martin, nie odrywając oczu od martwego psa. - Ale musimy się pospieszyć. Proszę.

Ruszamy. Zmierzchać zacznie się dopiero za jakąś godzinę, dla mnie jednak jest to już powód do niepokoju. Akcja ratownicza na skalistym zboczu wcale nie jest łatwym zadaniem za dnia, a co dopiero o zmierzchu czy w nocy. Dlatego poprosiłem o kilka quadów. Dyspozytorka miała też przekazać, żeby helikopter z Iowa City był w pogotowiu. Na wypadek, gdyby u poszkodowanych doszło do ciężkich obrażeń.

- Martin, Petra na pewno żyje.

- Calli ci powiedziała?

- Tak. Nie słowami, niestety, znów nie mówi. Ale przekazała, że Petra jest na szczycie urwiska nad Kotliną Włóczykija. Jest ranna.

- Powiedziała, kto to zrobił? - pyta Martin przez zaciśnięte zęby i ciężko dysząc, przyspiesza krok.

- Nie, tego nie zdążyłem się dowiedzieć, bo ty wtedy znalazłeś... Martin, może usiądziesz na chwilę i odpoczniesz?

- Nie ma takiej potrzeby.

W milczeniu podążamy dalej.

- Jestem gotów zabić tego, kto to zrobił - mówi po chwili Martin. - Tak. Mógłbym to zrobić.

- Dobrze wiesz, że niczego by to nie rozwiązało. Tylko pogorszyło sytuację.

- Sam masz dziecko, Louis.

- Tak, syna. Nazywa się Tanner. Ma cztery lata.

- Jesteś gotów zrobić dla niego wszystko?

- Oczywiście!

- Czyli też, gdyby ktoś go skrzywdził, byłbyś gotów zabić.

Spoglądam spod oka na Martina. Niedobrze. Twarz woskowo blada, czoło zroszone potem.

- Na pewno bym o tym myślał - mówię. - Ale to nie znaczy, że bym to zrobił. Na pewno nie, gdyby do akcji wkroczyła już policja

Martin wyjmując z kieszeni chusteczkę i ociera pot z czoła. Ja przez walkie-talkie przekazuję kolegom, gdzie się obecnie znajduję. Dowiaduję się też, że ambulans już przyjechał. Dwa. Jeden wiezie Toni z Calli do szpitala, drugi czeka. Niebawem dołączy do nas grupa kilkunastu policjantów, w tym dwóch na quadach i kilku konnych. Przypominam kolegom, że wszyscy mają być w pełni świadomi, że nie mamy jeszcze żadnych podejrzanych. Teraz szukamy Petry i Bena. Większość policjantów zna ich z widzenia, ale i tak puszczono w obieg ich zdjęcia.

Zbliżamy się do rozstaju.

- Idziemy w lewo - mówię. - Martin, pamiętaj, bez względu na to, co tam zastaniemy, ja podchodzę pierwszy, jasne? Rozumiem, że ty jak najszybciej będziesz chciał znaleźć się przy swoim dziecku. Ale powstrzymaj się. Powtarzam. Ja podchodzę pierwszy, nie ty...

Wysuwam się do przodu, staję przed Martinem, zmuszając go, żeby się zatrzymał.

- Rozumiesz, Martin? Tam, na górze, może być groźnie. Teraz zresztą w każdej chwili może nas spotkać jakaś przykra niespodzianka. Dlatego zdaj się na mnie.

Ja decyduję, co robimy. Prawdę mówiąc, nie powinniśmy iść sami. Powinniśmy czekać na wsparcie.

- I tak byś mnie nie powstrzymał!

- Wiem. Dlatego jestem teraz tu z tobą. Nie chcę, żeby stała ci się krzywda albo żebyś ty skrzywdził kogoś. Dlatego jeszcze raz powtarzam, jak dojdziemy na górę, masz czekać. Czekać, dopóki ci nie powiem, co masz robić. Cały czas stoisz za mną. Za mną! Jasne?

Martin wyraźnie ma ochotę na dalszą dyskusję. Ale powstrzymuje się, zaciska usta, kiwa głową i rusza dalej zdecydowanym krokiem.

CALLI

Mamie wystarczyło jedno spojrzenie na pokiereszowane stopy. Natychmiast wzięła Calli na rękę, jak niemowlę, i przytuliła do piersi. Calli oparła brodę o jej ramię. Tato Petry bardzo ją wystraszył. Miał taką groźną minę. Ale i tak wyglądał inaczej niż tato Calli. Tata Petry był zły, bo tak bardzo martwi się o Petrę. Dlatego pobiegł tak szybko na szlak. Zastępca szeryfa Louis pobiegł za nim. To dobrze. Idą przecież po Bena i Petrę. To oni są tą pomocą, o której mówił Ben. Calli sprowadziła pomoc, tak jak kazał Ben. A teraz była taka śpiąca, taka zmęczona. Nareszcie mogła się napić. Mama przysunęła jej butelkę do ust, Calli piła i piła, i piła. Teraz jej było trochę od wody niedobrze, przelewała się i gulgotała w pustym żołądku.

Przedtem powiedziała jedno słowo. Ben. Imię swojego brata. Tylko, a chyba powinna była powiedzieć zastępcy szeryfa Louisowi więcej.

Usta Calli poruszyły się bezgłośnie. Ben, tato, Petra, ten człowiek. Ben, tato, Petra, ten człowiek. Ben, tato, Petra, ten człowiek... Powiedziała tylko - Ben. Wtedy tato Petry pobiegł, zastępca szeryfa Louis pobiegł za nim. Na pomoc. Ben, tato, Petra, ten człowiek. Ben, tato, Petra, ten człowiek. Ben, tato, Petra, ten człowiek...

Usta Calli znieruchomiały. Była tak okropnie zmęczona. Zamknęła oczy. Sygnał ambulansu, który słyhać było od jakiegoś czasu, nagle ucichł. Calli czuła, że mama ją kładzie. Zaczęła się opierać, próbowała chwycić się bluzki mamy, ale palce były takie słabe, jakby pozbawione kości. Materiał bluzki tylko przesunął się między nimi.

Słyszała głos mamy, czuła jej ciepłe palce na policzku.

- Nie bój się, Calli. Jestem przy tobie. Będę cały czas, pośpij sobie. Śpij, kochanie, śpij.

BEN

Słyszę cichy odgłos łamanych gałązek. Coraz bliżej. Jezu! Tato wraca. Tym razem na pewno mnie zabije. Zrywam się na równe nogi, przechylam głowę, nasłuchuję. Z patrzeniem mam pewien problem. Przejeżdżam ręką po twarzy. Cała opuchnięta, obolała. Schylam się, podnoszę z ziemi gałąź. Niedużą, ale jest rozwidlona, na końcach ostra. Tą gałęzią będę mógł zatrzymać tatę, wycelować nią w oczy.

Szum, trzaski słyhać coraz bliżej. Za głośnie, żeby to był jeden człowiek, tylko na dwóch nogach. Jakies zwierzę? Może kojot? Sam nie wiem dlaczego, ale wzbudza to we mnie większy strach niż perspektywa spotkania z tatą. Może dlatego, że tatę znam, wiem, czego się można po nim spodziewać. A kojot to całkiem inna historia. Rozglądam się za większym kijem. Patrę na Petrę. Mała, bezbronna dziewczynka, stary silny kojot może ją zaciągnąć w chaszczę. Zje ją. Wystarczy, że trzy razy kłapnie zębami i już po Petrze.

Biegnę do Petry. Ustawiam się przy niej, przyjmując pozycję obronną. Ręce rozłożone szeroko, w jednym ręku kij. Czekam.

Spośród drzew nie wybiega rozzłoszczony tato. Ani stary kojot. Tylko tato Petry i zastępca szeryfa Louis. Tato Petry wygląda bardzo groźnie. Widzę, jak patrzy na Petrę, leżącą na ziemi, potem na mnie, jak stoję tak, z kijem w ręku. Domyślam się, co teraz przychodzi mu do głowy. Jest pewien, że to ja urządziłem tak jego córkę. Nie daje mi szansy na żadne wyjaśnienia, od razu rzuca się na mnie. Ten starszy, zawsze bardzo uprzejmy pan. Po raz drugi tego dnia

zostaję znokautowany. I muszę wam powiedzieć, że kiedy dostajesz po raz drugi, a przedtem wiesz, że to nastąpi, boli o wiele bardziej.

Pan Gregory siedzi na mnie, coś krzyczy przeraźliwie. Nie rozumiem, poza tym nie mogę oddychać, w związku z czym nadal nie jestem w stanie czegokolwiek wyjaśnić. Przede wszystkim powiedzieć, żeby szli szukać mojego taty.

- Martin! Martin!

Zastępca szeryfa Louis krzyczy jeszcze głośniej. Ściąga ze mnie pana Gregory'ego. Pan Gregory szarpie się, wrywa, chce mnie dalej bić. Cały czas wykrzykując coś o perwersji, o tym, że mnie zabije.

- Martin! - krzyczy Louis. - Popatrz na niego!

Pan Gregory w końcu opuszcza ręce. Patrzy na mnie, tak naprawdę, dokładnie. Potem doskakuje do Petry. Nachyla się nad nią, sprawdza, czy Petra oddycha. A potem zaczyna płakać. Nigdy dotąd nie widziałem płaczącego mężczyzny.

Wstaję, wyciągam szyję, żeby lepiej widzieć Petrę.

Umarła? Jezu, przeze mnie! Powinienem był udzielić jej pierwszej pomocy jak najszybciej, a nie bić się z tatą, a potem siedzieć tu...

Jezu! Ja też zaczynam płakać.

Potem słyszę szept.

- Chwała Bogu, chwała Bogu...

Szept pana Gregory'ego. Staram się zdusić w sobie płacz, żeby słyszeć lepiej.

- Chwała Bogu! - mówi pan Gregory trochę głośniej.

- Ona... z nią w porządku? - pytam, starając się powiedzieć to względnie normalnie. Ale i tak piszczę jak wystraszony dzieciak.

- Ben, co tu się stało? - pyta mnie zastępca szeryfa Louis. - Kto cię tak pobił?

A ja już wiem, że przynajmniej zastępca szeryfa wcale nie uważa, że to ja skrzywdziłem Petrę.

- Mój tato... tato...

Znów ryczę. Zastępca szeryfa obejmuje mnie ramieniem, mówi, że wszystko będzie dobrze. Jakby to w ogóle było możliwe...

- Lekarza! - mówi pan Gregory. - Tutaj! Natychmiast!

Zastępca szeryfa Louis bierze swoje walkie-talkie i mówi kilka liczb. Wiadomo, to taki ich szyfr, policjantów. Siadam na ziemi. Teraz czuję, jaki jestem wykończony. Totalnie. Nie

jestem w stanie ruszyć ani ręką, ani nogą. Nogi mam jak z gumy, twarz boli, chyba pan Gregory też mi coś złamał.

- Helikopter z Iowa City już startuje - mówi Louis. - Musimy jednak przetransportować Petrę do najbliższej polany. A najbliższa polana jest u podnóża zbocza, dokładnie tam, skąd przyszliśmy.

- Ale jak? Jak to zrobimy? - pyta zdenerwowanym głosem pan Gregory. - Będziemy ją nieść? Przecież nie wiemy, czy wolno ją ruszać!

- Spokojnie, Martin. Ratownicy medyczni i policjanci już tu idą. Ratownicy obejrzą dziecko i zadecydują, co dalej robić... - Louis spogląda w niebo. - Niedobrze. Słońce zaraz zacznie zachodzić. Trzeba się spieszyć.

Ja też spoglądam w niebo. Różowo-pomarańczowe, czyli niebo tuż przed zachodem słońca.

Las znów ożył. Słysząc warkot silników. Pierwsze pojawiają się quady, dwa. Przyjechał jakiś facet i kobieta. Na pewno ratownicy medyczni. Od razu podbiegają do Petry. Ja odsuwam się na bok, starając się nikomu nie wchodzić w drogę. Zastępca szeryfa Louis rozmawia z grupką policjantów, którzy teraz się pojawili. Przyjechał też strażnik leśny Phelps, na koniu.

Siedzę i patrzę na wszystko. Próbuje nie zamykać oczu. Ale powieki i tak mi opadają. Chwilę drzemię. Otwieram oczy jak najszerzej, kiedy słyszę inny warkot. Nadlatuje helikopter. Jest już noc. Widzę gwiazdy, widzę światła śmigłowca, z daleka malutkie. Jest mi zimno, choć wszyscy inni są chyba spoceni. Wszyscy zajmują się Petrą, o mnie chyba całkiem zapomnieli. Oczywiście, że nie mam co równać się z Petrą, ale trochę mi tak jakoś nijako, kiedy wszyscy skaczą tylko wokół Petry, a ja tak siedzę tu sam.

Zastanawiam się, co z Calli. Na pewno udało jej się zejść na dół. To ona sprowadziła pomoc. Gdzie Calli jest teraz? Rozglądam się, szukając wzrokiem kogoś, kto nie jest tak strasznie zajęty i będę mógł zapytać. Ale wszyscy bez wyjątku są zajęci. Teraz przywiązują Petrę do noszy. Noszy uciepionych pod brzuchem helikoptera. Kołyszą się na wszystkie strony, kiedy helikopter leci w dół, do podnóża zbocza. Nigdy dotąd nie widziałem czegoś tak przerażającego. Helikopter wygląda jak wielki stary ptak, który trzyma coś w szponach. Dla mnie straszne. Na szczęście, Petra będzie wisiała tak tylko przez chwilę. Na dole, na polanie, będą mogli wsadzić Petrę do helikoptera. Zawiozą ją do Iowa City. Ciekaw jestem, jak my tu wszyscy, cała reszta, zejdziemy na dół.

ANTONIA

Jadę razem z Calli ambulansiem. Nie mam zamiaru znów tracić ją z oczu. Mam jednak mieszane uczucia, gdzieś tam w lesie jest przecież Ben. Ale wiem, że Louis zaopiekuje się nim i przywiezie go do mnie. Biedny Ben. On zawsze musi sam dawać sobie radę. Jestem wściekła na Griffa. Nigdy go nie ma, kiedy jest potrzebny. Dla moich dzieci muszę być i matką, i ojcem. A on umywa ręce.

Układam Calli w ambulansie. Od razu zasypia. Śpi, kiedy ratownicy kłują ją, żeby pobrać krew, mierzą jej ciśnienie. Ratowniczką, bardzo miłą, życzliwą starszą panią, stara się dać mi otuchy.

- Z pani córeczką wszystko będzie w porządku - mówi mi. - Jej obrażenia są powierzchowne, trzeba jednak dziecko dokładnie zbadać. Dlatego zabieramy je do szpitala. A teraz podłączymy do kroplówki, bo są oznaki odwodnienia.

Ratowniczką przemywa rękę Calli spirytusem i umiejętnie podłącza do kroplówki.

- A co tam się wydarzyło? - pyta.

- Nie wiem. Na pewno coś bardzo złego - mówię i patrzę na moją Calli. Tylko ona mogłaby tej pani odpowiedzieć na pytanie. Odpowiedzieć... Jak to teraz będzie? Czy Calli zacznie teraz mówić, czy powróci do swego świata ciszy?

- Możecie jechać szybciej? - pytam niecierpliwym tonem ratowniczkę.

- Niestety, nie. Wolno nam jechać na sygnale tylko wtedy, kiedy istnieje zagrożenie życia - informuje mnie ratowniczką.

- Ale ja muszę wracać tam jak najszybciej! Mój syn tam został, nie wiem, co z nim się dzieje.

- A gdzie jest ojciec? - pyta ratowniczką. Wcale nie z wyrzutem. Po prostu chce uzyskać informację.

- Pojechał na ryby. Nie mogę się z nim skontaktować.

- To niedobrze. Ile lat ma pani syn?

- Dwanaście.

- Niewiele. Ale policjanci i ratownicy na pewno go znajdą, proszę być dobrej myśli. Ma pani rodzinę w Willow Creek? Przyjaciół?

- Nie - szepczę. O tym, że jestem bardzo samotna, wiem nie od dziś. Ale po raz pierwszy zdaję sobie sprawę, że to coś więcej niż samotność. Żyję w izolacji. W mieście, w którym mieszkam od urodzenia.

- Nazywam się Rose Callahan - przedstawia się ratowniczką. - O dziesiątej będę wolna. Jeśli pani chce, posiedzę z panią, kiedy Calli zabiorą na badania. Jestem pewna, że zatrzymają dziewczynkę na obserwację. Po całym dniu w lesie jest bardzo odwodniona. Widziała pani, jak sprawdzałam? Kiedy naciągnęłam lekko skórę na rękę dziecka, skóra nie od razu wróciła do poprzedniego położenia. To jest właśnie oznaka odwodnienia. Poradzić sobie z tym łatwo, ale dziecko trzeba obserwować. A ja naprawdę bardzo chętnie dotrzymam pani towarzystwa. Zgadza się pani? Milczę. Nie bardzo wiem, co powiedzieć.

- Wszyscy w szpitalu mnie znają - mówi z uśmiechem kobieta. - Mam troje wnucząt, niestety, moi bliscy mieszkają daleko stąd, na zachodnim wybrzeżu. Szczerze mówiąc, ja też w Willow Creek czuję się trochę osamotniona. Zróbmy tak. Dam pani swój numer telefonu. Może zechce pani do mnie zadzwonić, może na coś się przydam.

Rose szybko zapisała na karteczce numer telefonu.

- Proszę. W razie potrzeby proszę dzwonić. Będzie mi tylko bardzo miło.

- Dziękuję, bardzo dziękuję - mówię. Podjeżdżamy już pod szpital. Calli od razu zabierają do środka, Rose i jej kolega przekazują personelowi szpitalnemu informacje o stanie Calli.

- A to jest Toni Clark, matka Calli - mówi Rose.

- Proszę, pani pozwoli ze mną - mówi pielęgniarz. Prowadzi mnie długim korytarzem do pokoju zabiegowego, dokąd przywieziono już Calli. - Proszę powiedzieć, co się dziecku stało?

- Tak naprawdę, to sama dobrze nie wiem. Dziś rano jej łóżko było puste. Nie mogliśmy jej nigdzie znaleźć. Zginęła ona i jej koleżanka. Policja z samego rana wszczęła poszukiwania. Ta druga dziewczynka jest jeszcze w lesie, a Calli, chwała Bogu, już się odnalazła. Wybiegła z lasu, w takim stanie... - wyjaśniam, wskazując na podrapane nogi, krwawiące stopy, brudną koszulkę nocną.

- Czy córka coś mówiła?

- Nie. Powiedziała tylko jedno słowo. Ben. Imię brata. Ben jest też gdzieś tam w lesie.

- Czyli zaginęli oboje, córka i syn?

- Nie. Zaginęła Calli i jej przyjaciółka. Ben nie. Ben poszedł ich szukać. Calli, jak powiedziałam, wyszła z lasu, a Ben nie. Jeszcze nie. Policja poszła ich szukać, jego i Petry.

- Na pewno wkrótce ich znajdą - mówi pielęgniarz. - A córkę pani trzeba zbadać, potem na pewno też ktoś będzie chciał z nią porozmawiać.

- Rozumiem. Dziękuję.

Pielęgniarka zostawia mnie w jasno oświetlonym pokoju, samą z Calli, ułożoną na kozetce. Nachylam się nad córeczką i ostrożnie odgarniam z czoła brudne, przepocone włosy. Calli próbuje zwinąć się w kłębek, nie daje rady, bo kozetka jest bardzo wąska. Wsuwa brudny palec do ust. Jej powieki co chwilę drżą, jakby chciała otworzyć oczy. Ale nie otwiera. Słyszę natomiast, jak ktoś wchodzi do pokoju. Podnoszę głowę. Widzę mężczyznę w białym fartuchu, to z pewnością lekarz. Jest kompletnie łysy, na nosie okulary w czerwonej oprawce. Ma też krawat, zabawny, w roześmiane buzie. W ręku lekarz trzyma kartę pacjenta.

- Dzień dobry. Jestem doktor Higby - przedstawia się i podaje mi rękę. - Proszę opowiedzieć mi o tej małej osobce.

- To Calli Clark. Ja jestem Toni Clark, jej matka. Calli przez cały dzień błąkała się po lesie. Teraz śpi.

Doktor Higby spogląda do karty i kiwa głową.

- Wygląda na to, że dziecko wyszło z tego obronną ręką. Ale trzeba je zbadać. Niestety, musimy małą obudzić. Lepiej, żeby dziecko mówiło, kiedy je zaboli i gdzie. Pani Clark... - doktor Higby uśmiechnął się - wolałbym, żeby to pani obudziła córkę. Może się jeszcze wystraszyć, kiedy zobaczy nad sobą zgrzybiałego starca.

Podchodzę do córeczki i głaszczę ją po ramieniu.

- Calli, kochanie, obudź się.

Delikatnie zsuwam z niej prześcieradło, które Calli naciągnęła sobie na twarz. Calli natychmiast otwiera oczy. Przerażone.

- Nie bój się, Calli - mówię do niej jak najłagodniej.

- Mama jest przy tobie. Jesteś w szpitalu, to jest pan doktor Higby. Musiałam cię obudzić, bo pan doktor chciałby, żebyś sama powiedziała, gdzie cię boli.

Calli przez chwilę przygląda się lekarzowi. Przede wszystkim interesują ją okulary i krawat.

- Cześć, Calli - mówi lekarz. - Jestem doktor Higby. Tak, jak powiedziała twoja mama, chciałbym sprawdzić, czy coś cię boli. Jeśli tak, to gdzie.

Calli milczy, nadal przyglądając się lekarzowi.

- Calli, chciałbym, żebyś wiedziała, że tu jesteś absolutnie bezpieczna - zapewnia ją doktor. - W szpitalu nic złego nie może ci się przydarzyć. Wszyscy tutaj jesteśmy po to, żeby ci pomóc, rozumiesz?

Calli nadal się nie odzywa.

- Panie doktorze, przepraszam, czy mogłabym zamienić z panem kilka słów? - pytam. - Calli, kochanie, na chwileczkę zostaniesz sama. Zaraz wrócimy. Dobrze?

Calli tylko kiwa głową. Wychodzę z lekarzem na korytarz.

- Moja córka nie mówi, panie doktorze. Dziś po trzech latach odezwała się po raz pierwszy. Powiedziała imię swojego brata. Tylko jedno słowo, ale dla nas znaczy to bardzo wiele. Nie wiem jednak, jak to będzie dalej. Czy Calli zacznie normalnie mówić.

- Nie ma przyczyny organicznej? Czyli mutyzm wybiórczy?

- Tak. Dokładnie tak mi powiedziano. Zaczynałam już tracić nadzieję, że Calli kiedykolwiek będzie mówić. A ona dziś się odezwała! Powiedziała jedno słowo! Naprawdę!

Kiedy mówię to lekarzowi, czuję, że znów zaczyna rozpierać mnie radość.

- Bardzo dobrze, że tak się stało - mówi doktor Higby. - Jeśli chodzi o mutyzm wybiórczy, mam niewielkie doświadczenie, ale mamy tu psychiatrę, panią doktor Kelsing, która niewątpliwie wie na ten temat o wiele więcej.

- Psychiatra? Calli nie jest chora psychicznie!

- Oczywiście, że nie, pani Clark. Jestem jak najdalej od tego rodzaju sugestii. Ale warto pokazać dziecko pani doktor Kelsing. To osoba o ogromnej wiedzy i doświadczeniu, naprawdę może dziecku pomóc.

Doktor Higby czeka cierpliwie, aż ja to sobie wszystko poukładam w głowie.

- Mówi pan, że to bardzo dobra lekarka? - pytam po chwili. - Może pomóc Calli?

- Jestem pewien, pani Clark.

- Dobrze. W takim razie bardzo bym chciała, żeby pani doktor porozmawiała z Calli.

- Świetnie. Zadzwonię do niej od razu - mówi doktor Higby i odchodzi. A ja widzę, jak na ostry dyżur wchodzi dwóch policjantów. Przez chwilę konferują z recepcjonistką, po czym wyraźnie zmierzają w moim kierunku. Zaglądam do pokoju zabiegowego. Calli macha do mnie rączką, właściwie tylko porusza paluszkami. Uśmiecham się do niej, podnoszę kciuk na znak, że wszystko w porządku i zaraz wracam. Z policjantami spotykam się w połowie korytarza. Ich twarze wydają mi się znajome. Tak, na pewno znam ich ze szkoły, ale byli chyba parę klas niżej.

- Pani Clark? - odzywa się jeden z nich, ten wyższy. Kiwam głową.

- Moje nazwisko Bies, kolegi Thumser. Coś mi się zdaje, że pani chodziła do jednej klasy z moją siostrą Cheryl.

Znów kiwam głową, ale w tym momencie absolutnie nie zamierzam przywoływać w pamięci twarzy niejakiej Cheryl Bies. Teraz przede wszystkim pytam:

- Znaleźliście mojego syna?

- Tak, pani Clark. Jest w drodze do szpitala.

- Tutaj? Dlaczego?!

- Nie ma powodu do niepokoju, pani Clark. Powinien być tu w ciągu godziny. Teraz musimy porozmawiać...

- Chwileczkę! - przerywam mu. - Czy odnaleziono też Petrę Gregory?

- Przykro mi, ale na temat Petry Gregory nie wolno nam udzielać żadnych informacji.

Pani Clark, musimy porozmawiać z pani córką. Koniecznie, domyśla się pani, że ta rozmowa to moment przełomowy w naszym śledztwie.

Wraca doktor Higby.

- O, Mike! Russ! Witajcie! Co mogę dla was zrobić?

- Dzień dobry! - Cały czas mówi ten wyższy policjant, Bies. - Przyszliśmy porozmawiać z Calli Clark.

- Najpierw musimy zbadać dziewczynkę, upewnić się, że jej stan jest stabilny. Wtedy będzie mogła rozmawiać.

- Rozumiem. Jak długo trwać będą te badania?

- Niedługo. Ale mamy tu pewien problem...

Doktor patrzy na mnie. Kiwam głową na znak, że wyrażam zgodę na udzielenie informacji na temat problemu Calli.

- Calli ma kłopot z mówieniem - wyjaśnia lekarz. - Mutyzm wybiórczy. Wezwaliśmy już specjalistę, może on pomoże. W każdym razie z dziewczynką trzeba postępować bardzo ostrożnie.

Policjanci wyraźnie są rozczarowani, jednocześnie jednak są wystarczająco inteligentni, żeby nie protestować.

- W takim razie bardzo byśmy prosili o powiadomienie przez telefon, kiedy dziewczynka będzie mogła z nami porozmawiać. To bardzo ważne. Z panią też musimy porozmawiać, pani Clark. I z pani synem.

- A dlaczego ze mną? - pytam.

- Po prostu kilka rutynowych pytań. Chciałbym też panią poinformować, że w końcu udało się skontaktować z kolegą pani męża, Rogerem Hoganem, z którym pani mąż wybierał

się na ryby. Pan Hogan niewiele miał do powiedzenia. Jest sam, pani mąż tam nie dojechał. Do widzenia, pani Clark. Cieszę się, że pani córka odnalazła się cała i zdrowa.

Policjanci odchodzą. Ja stoję jak słup soli. Porażona tą ostatnią informacją. Griffa nie ma razem z Hoganem? W takim razie - gdzie on teraz jest? Nawet nie próbuję wnikać, co ewentualnie może oznaczać fakt jego nieobecności podczas łowienia ryb w Julien.

W nic nie wnikam, tylko skupiam się na moim dziecku. Razem z lekarzem wracamy do pokoju zabiegowego. Calli jest już całkowicie rozbudzona. Cała dygocze.

- Wiem, że tu jest chłodno, Calli - mówi doktor Higby. - Ale to nie potrwa długo, zaraz po badaniach przewieziemy cię do miłego, ciepłego pokoju. A więc zaczynamy. Będziemy ci dokładnie mówić, co się będzie działo. Jeśli będziesz chciała się czegoś dowiedzieć, pytaj śmiało.

Do pokoju wchodzi młoda pielęgniarka w różowym fartuchu.

- Cześć, Calli! - mówi z miłym uśmiechem. - Jestem Molly. Będę twoją pielęgniarką przez cały twój pobyt w szpitalu.

Calli, wystraszona, łapie mnie za rękę.

- Nie martw się, kochanie - uspokaja ją Molly. - Twoja mama będzie z tobą przez cały czas.

Doktor Higby stuka mnie lekko w ramię.

- Czasami pacjentki wolą, żeby w gabinecie nie było mężczyzn. Wyjdę na moment.

Uśmiecha się, tym razem wyraźnie ze współczuciem i wychodzi.

Nachylam się nad Calli, żeby ją pocałować i po raz pierwszy wyczuwam zapach uryny. Biedne dziecko, ile ona musiała dziś przejść...

- Zaczniemy od tego, że zdejmujemy brudną koszulkę i nałożymy czystą - mówi Molly. Ostrożnie ściąga z Calli różową koszulkę i wkłada do plastikowej torby. Ta różowa, zwiewna koszulka to ulubiona koszulka Calli. Często nakłada ją w dzień, a kiedy myśli, że nikt jej nie widzi, tańczy sobie w tej koszulce. Do melodii, która jest tylko w jej głowie. Calli ma śliczne ruchy, lekkie, wdzięczne. Przypomina mi puszek dmuchawca, taki puszek, który trzeba złapać i pomyśleć sobie jakieś życzenie. Kiedy podglądam roztańczoną Calli, mam tylko jedno życzenie. Proszę, córeczko, odezwij się do mnie...

- A teraz, Calli, będziesz miała egzamin. Wiesz, co to jest egzamin? - pyta Molly. Calli kiwa głową, Molly mówi dalej. - Świetnie, że wiesz. A więc pierwsze pytanie. Ile masz lat? Szesnaście? Siedemnaście?

Calli uśmiecha się, kręci głową i pokazuje Molly siedem palców.

- Siedem?! - pyta Molly. - Nie wierzę. Wyglądasz na o wiele starszą.

Calli oczywiście uśmiecha się z zadowoleniem.

- A teraz następne zadanie - mówi pielęgniarka. - Będę sprawdzała, czy cię nic nie boli.

Wszędzie, od czubka głowy po paluszki u nóg. A ty będziesz mówić „tak” albo „nie”. Zgoda?

Calli kiwa głową.

- Muszę ci powiedzieć, Calli, że jesteś superpacjentką. A więc zaczynamy. Pytanie pierwsze. Czy bolą cię włosy?

Calli marszczy nosek i patrzy na Molly z niedowierzaniem.

- Tak, tak, włosy! - powtarza Molly. - Bolą cię? Calli kręci przecząco głową.

- Świetnie! - cieszy się Molly. - To bardzo dobra wiadomość. Teraz powiedz mi, jak to tam jest z twoją główką. Boli cię? Głowa albo szyja?

Calli znów kręci przecząco głową. Widzę, że Calli ta zabawa bardzo się podoba. Kiedy Molly dochodzi do paluszków u nóg, okazuje się, że Calli boli tylko żołądek i stopy.

Potem Molly prosi mnie na bok i przekazuje mi przyciszonym głosem, że musi pobrać próbki z całego ciała Calli. Może zostały na niej ślady. Słyszę słowo „gwałt” i wszystko we mnie zamiera. Molly obiecuje, że będzie bardzo delikatna. Ja, naturalnie, mogę przy tym być.

Molly bierze do ręki wyjątkowo dużą wymazówkę. Prosi, żeby Calli otworzyła buzię. Szybko i zręcznie pobiera wymaz z policzków dziewczynki, po czym systematycznie przesuwa się z wymazówką w dół ciała mojego dziecka.

Zmuszam siebie do patrzenia. Patrzenia na to, co jest wynikiem mojej lekkomyślności. Nie dopilnowałam swojego dziecka. Moja córka przez cały dzień była w lesie, cały dzień uciekała przed czymś, co musiało być straszne. Czy on ją złapał, czy dała radę uciec? Proszę, błagam, niech okaże się, że dała radę uciec. To zdanie powtarzam sobie w głowie bez przerwy. Kiedy Molly kończy, twarz Calli, zwrócona ku mnie, jest jednym wielkim znakiem zapytania. W każdym zakamarku twarzy wstyd, zmieszanie. A ja nie potrafię niczego jej teraz powiedzieć. Nie znajduję ani jednego słowa dla mojego dziecka, słowa wyjaśnienia, słowa pocieszenia. Po takiej ingerencji w ciało siedmioletniej dziewczynki... ja milczę.

Znów odchodzimy z Molly na bok.

- Nie widzę żadnych oznak wykorzystania seksualnego - mówi Molly. - Ale próbki i tak wysłałam do laboratorium.

Zamykam oczy i robię głęboki wdech. Bardzo głęboki, przecież przed chwilą omal nie umarłam. Wracamy do Calli.

- Teraz, skarbie, zajmijmy się twoimi nóżkami! - oznajmia pielęgniarka. - Zrobimy zdjęcie rentgenowskie i oczyścimy rany. Trzeba będzie mocno obandażować stopy. Aha, Calli, i najważniejsze. Porządna kąpiel, a potem koniecznie coś dobrego do jedzenia. Podoba ci się taki plan?

Calli skwapliwie kiwa głową. Mam nadzieję, że coś powie. Niestety, nie odzywa się. Ale przynajmniej teraz już wiem, że Calli, w sytuacji ekstremalnej, może mówić. Powiedziała - Ben. Czyli dalej trzeba czekać cierpliwie.

Molly sadza Calli na wózku i wiezie do rentgena. Idę za nimi. Uświadamiam sobie, że już noc. Ben i Petra... Czy nadal są tam, w lesie? Podchodzę do recepcji, pytam, czy nie ma wiadomości o Benie. Mówią, że tak. Ben wkrótce wyrusza w drogę, tu, do szpitala.

- Przyjedzie wozem policyjnym. Nie było potrzeby wysyłania po niego karetki. To bardzo dobra wiadomość, pani Clark.

Dobra? Wspaniała!

- Dziękuję, bardzo dziękuję. Czy mogłabym prosić, żeby państwo powiadomili mnie, kiedy syn będzie już tutaj? Idę teraz z córką na zdjęcie rentgenowskie.

- Oczywiście. Powiadomimy panią. A kiedy pani znajdzie chwilę czasu, będziemy prosić o wypełnienie formularza. Oczywiście wtedy, kiedy będzie już pani spokojna o swoje dzieci.

Idę dalej za Molly, która pcha Calli na wózku. Koło pracowni radiologicznej stoi doktor Higby, rozmawia z jakąś starszą panią. Na pewno już po sześćdziesiątce, siwowłosa, w okularach. Ta pani ma uderzająco piękną cerę. Jak moja mama, dopóki nie zmoęła jej straszna choroba.

- Pani Clark - zwraca się do mnie doktor Higby - to jest właśnie pani doktor Kelsing, którą dzielimy się ze szpitalem w Winner.

Witam się z doktor Kelsing. Oczy pani doktor za szklami okularów są pełne mądrości, spojrzenie przenikliwe. Nagle tracę całą odwagę.

- Pani Clark - mówi doktor Kelsing - doktor Higby powiedział mi o problemie pani córki. Nie wiem, jakie jest pani nastawienie do pomocy ze strony obcych. W tak ekstremalnie stresującej sytuacji, w jakiej znalazła się pani, ludzie bardzo często podchodzą do tego nieufnie. Najczęściej zamykają się w wąskim gronie rodziny i starają się sami poradzić sobie ze wszystkim...

Słyszę, jak Molly mówi do Calli:

- Calli, kochanie, musimy zrobić ci kilka zdjęć. Mama zostanie na zewnątrz, dziś twojej mamy nie będziemy fotografować, ty jesteś gwiazdą. Ale będziesz widziała mamę przez to okienko. A więc jak? Dasz radę?

Calli kiwa potakująco głową i patrzy na mnie. Uśmiecham się.

- Będę cały czas na ciebie patrzyła przez to okienko, moja ty gwiazdo!

Molly wjeżdża wózkiem do pracowni. Patrząc w okienko. Widzę, jak Molly układa Calli na stole, układa jej ręce i nogi pod wymaganym kątem. Moja córeczka wydaje się teraz taka mała, malutka...

Cała ta straszna rzeczywistość zaczyna mnie przerastać. Czuję pieczenie pod powiekami. Przyciskam je palcami. Tak bardzo nie chcę płakać tu, przy obcych.

Odwracam się do doktor Kelsing.

- Ja... ja sama nie dam rady, pani doktor. Czy pani mogłaby pomóc przełamać się Calli, żeby znowu mówiła?

- Oczywiście, że tak, pani Clark, choć nie mogę pani niczego obiecać. Ale możemy wspólnie pracować nad tym, co pani zdaniem jest najlepsze dla pani dziecka. Mam trochę doświadczenia w zakresie mutyzmu wybiórczego. Posiadam pewne informacje, które dla pani mogą być użyteczne. O ile będzie pani chciała je wykorzystać.

Oczywiście, że będę chciała. Ja tej pani o mądrych oczach i ślicznej cerze, podobnej do cery mojej matki, ufałam już bezgranicznie.

- Boję się - mówię, walcząc ze łzami - boję się dowiedzieć, dlaczego moje dziecko nagle przestało mówić. Ale jeszcze bardziej boję się dowiedzieć, co takiego wydarzyło się w lesie, że moja Calli znowu zaczęła mówić...

ZASTĘPCA SZERYFA LOUIS

Helikopter z rozkołysanymi noszami znika nam z pola widzenia.

- Schodzę na dół - mówi Martin. - Muszę natychmiast jechać do Fieldy, powiedzieć jej o Petrze.

- Zjedziemy na quadach. Będzie szybciej. Potem zawiozę cię do żony.

Martin trochę niezręcznie sadowi się za młodym policjantem i obejmuje go w pasie. Policjant instruuje Martina, żeby chwycił go jeszcze mocniej, po czym obaj znikają w leśnej gęstwinie.

Mam nadzieję, że z Petrą wszystko będzie dobrze. Oby. Dziewczynka jest w okropnym stanie, nie wiadomo też, jak to umęczone dziecko zniesie lot. Podchodzę do Bena. Chłopak siedzi pod drzewem, oparty o pień. Kucam przy nim i świecę latarką tuż obok jego twarzy. Chcę sprawdzić, czy chłopiec śpi. Przytomnieje natychmiast. A ja jestem porażony jego wyglądem. Pobity strasznie. Nos i oczy opuchnięte. Policzki białe jak papier. Koszula porwana, poplamiona krwią. Trzyma się za bok, więc musi go coś tam boleć.

- Ben, jak z tobą? Dasz radę zjechać na dół na quadzie?

- Jasne - mówi słabym głosem. Pomagam mu wstać. - A mogę zjechać z panem?

Spoglądam na koleżankę i kolegę. Kiwiają głowami. Wsiadają oboje do jednego quada. Pomagam Benowi usadowić się w drugim.

- Ben, obejmij mnie w pasie. Jeśli będę jechał za szybko, ściśnij mnie mocniej, wtedy zwolnię. Przecież wiem, że cię cholernie boli. Dlatego daj znać. Zwolnię, a jak trzeba będzie, zatrzymam się. Zgoda?

- Dobrze - mówi chłopiec. - Chcę jak najszybciej wrócić do domu. Zobaczyć mamę i Calli.

- Załatwimy to. A teraz... Gotowy? Ruszamy!

Ruszam przez las, nie za szybko. Jest ciemno, chyba za ciemno na jazdę quadem. Ale nie mamy wyboru. Martina trzeba jak najszybciej zawieźć do Fieldy, potem oboje do Petry. Bena zawieźć do matki. Podejrzewam, że Martin złamał Benowi kilka żeber. Mam nadzieję, że Toni potrafi mu wybaczyć. Bo naprawdę wyglądało to przerażająco. Ben z kijem w ręku koło nieruchomej Petry. Gdybym dobrze nie znał Bena, kto wie, czy nie doszedłbym do tego samego wniosku, co Martin.

Światło quada bardzo słabo oświetla drogę. Nie czuję się pewnie. Pocieszam się, że im dalej, tym będzie mniej stromo. To wiem. Ale niepokoi mnie coś jeszcze. Jeśli Ben mówi prawdę, Griff ukrywa się gdzieś tutaj, w lesie. Może czeka tylko na dogodny moment, żeby zaatakować. Moim zdaniem, facet zdolny jest do wszystkiego.

Odruchowo zdejmuję jedną rękę z kierownicy, palce muskają chłodną rękojeść pistoletu.

Nagle w tych ciemnościach coś widzę. Na pewno. Coś majaczy w mroku. Jeszcze moment i światło quada prześlizguje się po skulonej postaci wśród drzew. W pierwszej chwili myślałem, że to puma. Ale to niemożliwe. Pum nie widziano w tych stronach od dziesiątków lat. Poza tym to na pewno był człowiek, nie zwierzę. Zatrzymać się? Nie. Teraz najważniejsze wyprowadzić z lasu Bena. Jedziemy więc dalej. Nie sądzę, żeby Ben widział to, co ja. Oczywiście nie

będę go wtajemniczał, chłopak ma za sobą wystarczająco dużo koszmarów. Przekazuję przez radio zaszyfrowaną wiadomość, że jak tylko zwiozę Bena na dół, wracam do lasu. Potrzebuję wsparcia.

U podnóża zbocza przekazuję Bena w ręce zastępcy szeryfa Ropera, tego, który jest kumplem Griffa. Logan wie, że szukamy Griffa, nie wie jednak o tym, co powiedział mi Ben. Że Griff jest tu, w tym lesie.

- Logan, możesz zawieźć Bena do szpitala w Willow Creek? Powinien obejrzeć go lekarz. Poza tym w szpitalu czeka na niego matka.

Logan patrzy na mnie podejrzliwie.

- A ty co? Wracasz? Macie podejrzanego?

- Może. Tucci, Dunn i ja wracamy do lasu. Czyli jak? Zabierzesz Bena do miasta?

- Jasne - odpowiada Logan. Wyczuwam, że nie ma na to ochoty, ale nie odmówi przecież pomocy synowi kumpla.

- Ben, chłopcze, wyglądasz nieciekawie - mówi. - Kto ciebie tak urządził?

Ben jest wystarczająco inteligentny, żeby przemilczeć, że to Griff. Wzrusza tylko ramionami, krzywiąc się przy tym z bólu.

Każę mu usiąść na tylnym siedzeniu radiowozu. Wsadzam głowę w otwarte drzwi.

- W szpitalu czeka na ciebie mama i Calli. O nic się nie martw, Ben. Zajmiemy się wszystkim, a ty po prostu wracaj do formy i opiekuj się mamą i siostrą. One teraz bardzo ciebie potrzebują, Ben.

- Dobrze - mówi cicho Ben. Klepię go po ramieniu i zamykam drzwi samochodu. Biedny dzieciak, myślę. Ale tylko raz. Nienawidziłem, kiedy ludzie szeptali tak o mnie, a jak nie szepotali, to na pewno tak o mnie myśleli. Widziałem przecież, jak patrzyli na mnie po śmierci ojca. Bardzo smutno i każdy na pewno myślał - biedny dzieciak.

Otwieram ponownie drzwi samochodu.

- Chcę jeszcze powiedzieć, Ben, że jesteś facet w porządku. Jestem z ciebie dumny. Twoją mamę i Calli spotkało wielkie szczęście, że mają ciebie.

Ben nie odpowiada, nawet na mnie nie patrzy, ale widzę, że chłopak lekko się prostuje. Świetnie. Da sobie radę.

Logan rusza, odwracam się do Tucciego i Dunna.

- Gotowi? - pytam. Tak, są gotowi i ruszamy we trójkę z powrotem do lasu. Tym razem na piechotę, każdy z latarką w ręku.

MARTIN

Wszystko dzieje się tak szybko. Już nie słychać warkotu helikoptera, moja Petra odleciała. Odnalazłem ją i znów jej nie ma. Czuję się w tym wszystkim tak zagubiony, że nie wiem, jakim cudem nagle znalazłem się w quadzie i obejmując jakiegoś obcego faceta, zjeżdżałem w dół zbocza.

Teraz z kolei jestem w samochodzie policyjnym, który pędzi do domu mojej teściowej. Jeden z policjantów, bardzo życzliwy, zaproponował, że pojedzie do Fieldy i powie jej o wszystkim, a ja mogę od razu jechać do szpitala w Iowa City. Podziękowałem mu i odmówiłem. Chcę sam powiedzieć Fieldzie, że Petra żyje. Jest ranna, ale już wiozą ją do szpitala, gdzie zostanie otoczona najlepszą opieką.

Moja córka znajdzie się w szpitalu, w którym nigdy nie byłem, w mieście całkowicie mi nieznanym. Liczba obcych osób, którym powierzam moje dziecko, rośnie w zastraszającym tempie. Pilot, pielęgniarki, lekarze, a na koniec policjanci, którzy będą chcieli ją przesłuchać. Zastanawiam się, czy Petra odzyskała przytomność. Kiedy ją odnalazłem, była nieprzytomna. Twarz pobita, posiniaczona, zmieniona nie do poznania. Ale oddychała, oddychała miarowo i to było najważniejsze. Petra żyje. Teraz zawiozę do niej jej matkę. Petra, kiedy będzie przy niej Fielda, wszystko lepiej zniesie. Fielda potrafi ją pocieszyć, utulić. A ja wracam do lasu, żeby odnaleźć tego potwora, który mógł zrobić coś takiego mojemu dziecku. Nieważne, czy to będzie mąż Antonii, czy ktoś inny. Odnajdę go i zabiję.

ANTONIA

Doktor Kelsing stoi ze mną przed pracownią radiologiczną. Patrzę przez okienko, jak prześwietlają moją Calli, jednocześnie rozmawiam z panią doktor. Pytam ją, czy powinnam skłaniać Calli do mówienia.

- Absolutnie nie - mówi pani doktor. - Po prostu niech pani będzie przy niej. Rozmawia z nią, zadaje pytania, ale nie oczekuje odpowiedzi słownej. W tym momencie w przypadku Calli nie mówienie jest najważniejsze, a poczucie bezpieczeństwa, które da jej pani.

Pani doktor odchodzi, obiecując, że zajrzy do Calli później, po badaniach i zabiegach, kiedy Calli będzie już w swoim pokoju.

Po prześwietleniu wracamy do pokoju zabiegowego. Molly ostrożnie obmywa pokaleczone stopy Calli, ubrudzone ziemią i zeschniętą krwią. Teraz widać dokładnie, w jakim są stanie. Przerazającym. Kiedy widzę dziury i bruzdy, wyżłobione w stopach mojego dziecka, z

trudem powstrzymuję się od okrzyków rozpacz. Paznokcia na dużym palcu po prostu nie ma. Został wyrwany. Molly mówi, że trzeba będzie założyć szwy. Rany na pewno będą goić się bardzo długo.

Potem Molly przystępuje do dezynfekowania wszystkich ran.

- Nie będzie to zbyt przyjemne - mówi Molly. - Ale postaraj się wytrzymać, dobrze?

Calli dzielnie kiwa głową. Staję przy niej blisko, tak, żeby nie widziała, co robi Molly. Calli mocno obejmuje mnie za szyję. A ja szepczę jej do ucha:

- Mój skarb. Wytrzymasz, prawda? Mama jest z tobą.

Calli wygina się w łuk, zaczyna kopać.

- Calli, kochanie. Wiem, że to bardzo boli, ale postaraj się wytrzymać - mówi Molly, bardzo łagodnie, choć stopa Calli zetknęła się z jej brodą. A ja, mimo że bardzo polubiłam Molly, nie mogę się z tego nie cieszyć. Że moje dziecko ma w sobie jeszcze tyle energii.

Do pokoju zabiegowego wchodzi doktor Higby. Uśmiecha się, wyciąga rękę. Chce pogłaskać Calli po głowie, może zwichrzyć włosy dziecka. Ale Calli odwraca się i kryje twarz na mojej piersi. Lekarz cofa rękę.

- W porządku, Calli. Pospieszyłem się. Ja też w takiej sytuacji wolałbym, żeby nikt nie wicherzył mi włosów - mówi pogodnie. Podchodzi do małej umywalki w rogu pokoju, myje ręce i nakłada rękawiczki z lateksu.

- Calli - mówi. - Podam ci teraz lekarstwo i twoje nóżki trochę pośpią.

Calli patrzy na lekarza bardzo nieufnie.

- Oczywiście, nie będą chrapać czy coś w tym rodzaju...

Kąciki ust Calli leciutko drgnęły.

- ...ale trochę zdrtwieją. Za kilka minut nie będziesz czuła żadnego bólu.

Kiedy doktor Higby i Molly naprawiają zmalretowane nogi mojego dziecka, ja mówię do niej bez przerwy. Opowiadam jej szeptem pewną historię, którą ona kocha, a ja uwielbiam ją opowiadać. O tamtej nocy, kiedy nad Willow Creek rozszalała się burza, a ja w tym czasie poczułam pierwsze bóle.

- W październiku zwykle nie ma takich burz... - szepczę - ale wtedy była. Dzień był ciepły, niebo szare, zakryte chmurami. Miałaś urodzić się za trzy tygodnie, ale ja poczułam znane mi już ukłucia, krzyż rozboleł. Dokładnie tak, jak przy Benie. Z tą tylko różnicą, że tym razem wiedziałam już, co mnie czeka. Tato był w domu. Przyjechał z Alaski, bardzo przejęty, że wkrótce pojawisz się na świecie. Cały czas kręcił się po domu, szukając sobie jakiegoś zajęcia.

O ile pamiętam, naoliwił zawiasy we wszystkich drzwiach, uszczelnił silikonem podłogę w łazience i powyjmował liście z rynien. Bez przerwy się pytał, jak się czuję i czy to już, a ja mówiłam, że jeszcze nie. Na pewno jeszcze potrwa.

W końcu kazałam mu gdzieś iść, bo zaczynał mnie denerwować. Razem z Benem wzięli piłkę i poszli do parku. A ja poszłam do sypialni położyć się na chwilę. Po dziesięciu minutach zobaczyłam pierwszą błyskawicę, usłyszałam grzmot. Bardzo głośny. A w chwili, gdy spadły pierwsze krople deszczu, odeszły mi wody. Wiedziałam już, że jesteś w drodze.

Calli uśmiecha się. Tę historię opowiadałam jej niezliczoną ilość razy. Calli ją uwielbia, teraz czuję, że się rozluźnia. Ale spojrzenie nadal czujne. Moje dziecko gotowe jest w każdej chwili uciekać z tej kozetki.

- Nie wiedziałam, co zrobić. Tato wziął nasz samochód. Sama przecież mu powiedziałam, że do szpitala będziemy jechać dopiero za kilka godzin. Lało jak z cebra, krople deszczu dudniły o dach, zerwał się wicher. Za każdym razem, kiedy słyszałam grzmot, miałam następny skurcz. Te skurcze to jakby wiadomość od ciebie. Mamo, mamo, już idę, idę!

Zadzwoiłam do mojego lekarza. Powiedział mi, że mam jak najszybciej znaleźć się w szpitalu. Wrzuciłam trochę rzeczy do szkolnego plecaka Bena. Zawinęłam w żółty kocyk matulkie ubranka, w które miałam cię ubrać, zabierając ze szpitala, i też włożyłam do plecaka. Zastanawiałam się, czy nie zadzwonić do pani Norland, naszej sąsiadki, ale wiedziałam, że pani Norland będzie się bała wyjeżdżać z domu podczas burzy. Postanowiłam więc sama jechać do szpitala ciężarówką taty. Do tego samego szpitala, w którym teraz jesteś, Calli. Miałam jednak mały problem. Nie mogłam znaleźć kluczyków do samochodu. Dobrze wiesz, że tato za każdym razem kładzie je gdzie indziej. A wtedy szukałam ich ze dwadzieścia minut, w końcu znalazłam w kieszeni dzinsów, rzuconych na podłogę koło pralki. Chwyciłam plecak, otworzyłam drzwi i walcząc z wiatrem, pobiegłam do ciężarówki. Ale szybko zawróciłam, kołysząc się jak kaczka, bo przypomniałam sobie, że powinnam tacie i Benowi zostawić wiadomość. Napisałam na kartce tylko jedno słowo, wielkimi drukowanymi literami. **DZIECKO!!!** Znowy wybiegłam na dwór, na ulewny deszcz i wiatr. Pobiegłam do ciężarówki. Za kierownicą tej ciężarówki siedziałam dokładnie dwa razy, za każdym razem obok siedział twój tato i pomagał mi. Udało mi się jednak jakoś uruchomić silnik i wyjechać na drogę. Lało tak, że wycieraczki nie nadążały z wycieraniem szyb. Jechałam bardzo powoli, modląc się w duchu, żeby jakiś samochód nie najechał na mnie z tyłu. Na szczęście, aż do samego miasta nie spotkałam ani jednego samochodu. Mniej więcej co kilka minut musiałam zjeżdżać na pobocze, bo miałam skurcze. Mia-

łam więc te skurcze, a jednocześnie musiałam trzymać jedną nogę na sprzęgle i hamulcu, żeby samochód nie ruszył.

Byłam jednak zdecydowana dotrzeć do szpitala. Powiedziałam to sobie nawet głośno, chociaż tylko ty jedna mogłaś mnie usłyszeć. Powiedziałam, że nie mam zamiaru rodzić dziecka w tym starym gracie. W końcu dotarłam na miejsce. Podjechałam ciężarówką pod samo wejście na ostry dyżur i tam ją zostawiłam. Później powiedziano mi, że zostawiłam też otwarte drzwi, kluczyki w stacyjce i zapalone światła. Ale w takiej sytuacji człowiek ma prawo zapomnieć o takich drobiazgach, prawda?

Pielęgniarka ledwo zdążyła ułożyć mnie na łóżku. Wszedł doktor, parłam tylko trzy razy i już pojawiłaś się ty! Krzyknęłaś - i to jak! I już byłaś w moich ramionach, moja najśliczniejsza, najśłodsza kruszynka z czarnymi włoskami. Przede wszystkim przeprosiłam cię. Powiedziałam, że nie zawsze wyglądam jak zmokła kura. Mam nadzieję, że za bardzo cię nie przeraziłam tym wyglądem. A ty płakałaś i płakałaś. Beczałaś jak jagniątko. Bee, bee.

Kiedy opowiadam o tym, Calli zawsze się uśmiecha. Teraz też. Kiedy miała trzy latka, powtarzała za mną cieniutkim głosikiem „bee, bee”, a ja się śmiałam, bo rzeczywiście robiła to jak jagniątko. Teraz nie. Teraz Calli nie wydaje żadnego dźwięku. A ja miałam taką nadzieję!

- Pielęgniarka zabrała mi cię na chwilę, żeby zważyć i zmierzyć. Dwa kilo siedemset pięćdziesiąt, czterdzieści osiem centymetrów. Wszystko w normie. Oddano mi cię owiniętą w kocik, na główce miałaś różową czapkę. I płakałaś, płakałaś. Miałaś mi tyle do powiedzenia! Potem zasnąłaś, a ja patrzyłam na cię, patrzyłam i nie mogłam się napatrzeć. Potem do pokoju wpadli tato i Ben, mokrzuśnięcy. Tato, jak to tato, spytał żartobliwie, czy coś przypadkiem się nie wydarzyło. Jakby nie widział, że kogoś trzymam już w ramionach. A twój bystry brat od razu zauważył różową czapkę i oznajmił, że to na pewno dziewczynka. Widać było, że tato jest w siódmym niebie. Wziął Bena za rękę, podeszli i też patrzyli na cię, patrzyli. Nie mogli się napatrzeć. Tato powiedział Benowi, że ma teraz młodszą siostrę i ma się nią opiekować, kiedy taty nie ma. Ben z powagą skinął głową. Widać było, że traktuje to bardzo serio. Potem Ben ostrożnie dotknął twojego policzka i powiedział - jaki mięciutki! A ty otworzyłaś oczka. I przysięgam, choć oczywiście ten, kto tego nie widział, nie wierzy mi, ale ty naprawdę się uśmiechnęłaś! Uśmiechnęłaś się do Bena!

Tato i Ben, kiedy się już trochę osuszyli, brali cię po kolei na ręce. Tato wziął cię pierwszy. Chodził po pokoju i mruczał - moja Calli, moja dziewczynka. A na dworze nadal błyskało i grzmiało. W szpitalu zabrakło prądu, musieli włączyć zasilanie awaryjne. Tej nocy po-

zwolono tacie i Benowi zostać z nami w szpitalu, w drodze wyjątku. Och, Calli! Ta noc, kiedy przyszedłaś na świat, to była wspaniała noc!

Calli zamknęła oczy, jakby przypominając sobie to wszystko. Życzyłabym sobie z całego serca, żeby pamiętała. Bo naprawdę były to wspaniałe, niezapomniane chwile. Choć była i druga strona medalu, o czym Calli nie wie. Ona zna wersję idealną. Nie wie, że ojcu, kiedy chodził z nią po pokoju, ręce drżały tak bardzo, że bałam się, że upuści dziecko. Patrzyłam z przerażeniem, gotowa w każdej chwili wyskoczyć z łóżka. Prosiłam, żeby mi oddał dziecko. Mówiłam, że jest zmęczone, że trzeba je nakarmić. On, oczywiście, domyślał się, o co mi naprawdę chodzi i na moment posmutniał. Musiało go bardzo zboleć, że nie mam do niego zaufania.

Przyjechał z Alaski na tydzień przed narodzinami Calli. Pamiętam, jak położył się obok mnie w naszym małżeńskim łóżku, położył rękę na moim wielkim brzuchu i obiecywał poprawę. Płakał, a ja płakałam razem z nim. Uwierzyłam mu. Kolejny raz. Przestanie pić, jeśli mu pomogę. Tak obiecał.

Przez cały tydzień nie wziął do ust kropli alkoholu. Ale tamtej nocy, kiedy urodziła się Calli, jego ręce drżały jak w febrze. I wiedziałam już, że Griff nie jest w stanie dotrzymać obietnicy. Przynajmniej jeszcze nie teraz. Wyszedł ze szpitala o świcie, kiedy ja i Ben jeszcze spaliśmy. Wrócił po kilku godzinach. Oczy miał szkliste, rozbiegane. Kiedy całował mnie w policzek, poczułam zapach alkoholu. Tego dnia trzymał Calli bardzo pewnie. Jego ręce w ogóle nie drżały.

- Gotowe - oznajmia doktor Higby. - Najgorsze, Calli, masz już za sobą.

Calli patrzy na doktora, uśmiecha się, nagle jej twarz ulega metamorfozie. Robi się biała jak kreda, w szeroko otwartych oczach przerażenie. Doktor Higby spogląda na Molly, Molly podnosi obie ręce na znak, że ona absolutnie teraz nie dotykała stóp Calli. A Calli krzyczy przeraźliwie. Trzęsie się. Ze strachu.

- Co się stało, córeczko? - pytam, sama wystraszona, bliska płaczu. - Co się stało, Calli?

Nagle widzę, że doktor Higby i Molly nie patrzą już na Calli, tylko gdzieś ponad moim ramieniem. Odwracam się i nogi się pode mną uginają.

Ben. Mój Ben. Pobity straszliwie, w poszarpanym, zakrwawionym ubraniu.

Ben patrzy z przestraszeniem na Calli.

- Co z nią jest? Mamo?

Chcę biec do niego, przytulić go do siebie, ale trzymam przecież Calli. Macham ręką, żeby podszedł bliżej. Ale on dalej stoi nieruchomo, jakby wrósł w ziemię.

- Podamy małej środek uspokajający, pani Clark - mówi doktor Higby. Robi zastrzyk, po kilku minutach Calli przestaje dygotać. Uspokaja się, jej powieki robią się ciężkie, nadal jednak trzyma się kurczowo mojej bluzki. Wydaje mi się, że chce mi coś powiedzieć. Tak, na pewno.

- Calli, kochanie, o co chodzi? - szepczę jej do ucha. - Proszę, powiedz mi.

Ale Calli już zasnęła.

MARTIN

Kiedy podjeżdżamy pod dom mojej teściowej, widzę, że dziennikarze już poszli, ale na podjeździe stoi jeden obcy samochód. Dziękuję policjantowi, który mnie podwiózł. Policjant proponuje, że poczeka tu, potem zwiezie mnie i żonę do Iowa City. Znów dziękuję. Nie trzeba, damy sobie z Fieldą radę. Idę do drzwi. Nogi mam jak z ołowiu. Ciężki dzień daje mi się we znaki. Wyglądam też nieciekawie. Brudne spodnie, na kołnierzyku koszuli ślady krwi Bena. Próbuję przyglądzić moje kręcone, niepokorne włosy, oczywiście bezskutecznie. Okulary siedzą krzywo na nosie, zdejmuję je, znów nakładam, siedzą już normalnie. Widzę, że zasłona w oknie poruszyła się. Fielda musiała usłyszeć samochód. Jej twarz mignęła za szybą. Fielda wybiega z domu. Za nią jej matka i jakaś nieznana mi kobieta.

- Martin! Znalazłeś ją?! Znalazłeś Petrę?!

Obejmuję ją, przytulam do siebie. Ciało Fieldy wiotczeje. Natychmiast dociera do mnie, że popełniłem błąd. Fielda podejrzewa najgorsze.

- Nasza córka żyje - mówię szybko. I tylko tyle. Nie potrafię się zmusić, żeby powiedzieć całą prawdę. Petra żyje, ale wcale nie czuje się dobrze.

Fielda wydaje z siebie pisk, krzyk nieopisanej radości.

- Chwała Bogu, chwała Bogu! Dziękuję, Martin, dziękuję, że ją odnalazłeś. Gdzie ona teraz jest? Gdzie?!

Chrząkam. Teraz ostrożnie, mówię sobie w duchu. Nie wolno Fieldy wystraszyć.

- Petra jest w szpitalu.

- Oczywiście! Ale... - Fielda odsuwa się i zagląda mi w oczy - ale czuje się dobrze, prawda?

- Na pewno tak będzie. Musisz do niej jechać.

- Będzie? Dlaczego tak mówisz? Martin, co się stało? O, Boże! Szybko, do samochodu. Jedziemy do niej!

- Petra jest w szpitalu w Iowa City. Przetransportowano ją tam helikopterem, ponieważ uznano, że tak będzie najlepiej.

- Do Iowa City?! Martin, mów, co się dzieje!

Fielda cofa się o krok i krzyżuje ramiona. Nieznana mi kobieta podchodzi do niej i kładzie rękę na jej ramieniu.

- Fieldo? - pyta. - Jak z tobą?

- Sama nie wiem! - odpowiada Fielda, o wiele za głośno, zakłócając nocną ciszę. Nawet cykady na chwilę zamilkły.

Biorę Fieldę za rękę. Odchodzimy na bok, dalej od tej obcej kobiety.

- Martin! Masz mi natychmiast powiedzieć, co się stało!

Oczy Fieldy lśnią od łez. Zdaję sobie sprawę, że muszę powiedzieć jej całą prawdę.

- Znaleźliśmy Petrę na szczycie wysokiego zbocza. Jest ranna... - przelkam z trudem - ranna... w różny sposób. Pobita, ma rozciętą głowę, siniaki. Ale żyje. Helikopterem zwieźli ją w dół zbocza i polecili dalej, do Iowa City. Chyba są już na miejscu. Trzeba jechać do niej, Fieldo. Petra potrzebuje ciebie.

- Czy ona może umrzeć? - pyta Fielda. - Moja córeczka może umrzeć?

Pyta dziwnie twardym głosem, tak twardym, że omal nie mówię jej, że taka możliwość istnieje.

- Nie! - mówię z przekonaniem. Co wcale nie znaczy, że tak myślę. - Fieldo, dasz radę prowadzić?

- Dlaczego pytasz? Nie jedziesz ze mną?

- Nie. Chcę pomóc w śledztwie - mówię z nadzieją, że Fielda nie będzie zadawać więcej pytań. Ale Fielda pyta.

- W śledztwie? Mają już podejrzanego? Kto to zrobił?! Martin! Ty wiesz?!

Kiwam głową.

- Wiem. A ty musisz jechać do szpitala. Powiedz, czy jesteś w stanie sama prowadzić?

- Ja zawiozę Fieldę do Iowa City - odzywa się ktoś cicho. Odwracam się. To ta nieznajoma kobieta. Podeszła, wyciąga do mnie rękę. - Jestem Mary Ellen McIntire.

Teraz ją rozpoznaję, widziałem ją przecież w telewizji, w wiadomościach. Kiedy błagała, żeby oddali jej córkę.

Podaje jej rękę.

- Słyszałem o pani i pani rodzinie, pani McIntire. Bardzo pani współczuję.

- Zawiozę Fieldę i jej matkę do szpitala - mówi pani

McIntire. Patrzy na Fieldę, Fielda kiwa głową, ale wzrok ma utkwiony we mnie.

- Martin, masz zakrwawioną koszulę! Co się stało?

- Nieważne, Fieldo - mówię zniecierpliwiony. - Jedźcie już. Ja postaram się przyjechać do szpitala jak najszybciej. - Całuję Fieldę w czoło i zwracam się do pani McIntire: - Dziękuję, że zechciała pani zaopiekować się moją żoną. Jestem pani niezmiernie wdzięczny.

- Cieszę się, że mogę się na coś przydać.

- Idę po torebkę. Aha, i wezmę też Sapaczka - mówi Fielda i wchodzi z powrotem do domu. Sapaczek to pluszowy mrówkojad, ukochana przytulanka Petry.

Mary Ellen nachyla się do mnie.

- Wiecie już, kto to zrobił?

- Chyba tak - mówię, nie patrząc jej w oczy.

- Bardzo skrzywdził Petrę?

- Tak.

- Będzie go pan ścigać?

- Tak.

Tym razem patrzę jej prosto w oczy, zastanawiając się, czy pani McIntire powie o tym Fieldzie. Jak Fielda zareaguje? Będzie protestować? Nie uwierzy? Pani McIntire dotyka mojego ramienia, ale nie odzywa się. Z domu wychodzi Fielda i jej matka. Fielda z torebką i przytulanką. Całuje mnie w usta, mówi, że mnie kocha i wsiada do samochodu pani McIntire. Pani McIntire też wsiada. Odjeżdżają. Ja jeszcze przez dłuższą chwilę stoję nieruchomo, wpatrzony w czerwone tylne światła oddalającego się samochodu. Wchodzę po schodkach, gaszę światło na werandzie. Siadam za stołem w mrocznej kuchni i staram się zebrać myśli.

Wstaję, cały zeszytniały. Moje mięśnie zdecydowanie odmawiają posłuszeństwa. Idę na górę, do pokoju, gdzie w szafie leży suknia ślubna pani Mourning. Fielda na naszym ślubie miała bardzo podobną. Suknia pani Mourning, owinięta pieczęlowicie w papier, leży w drewnianej skrzynce, przewiązanej niebieską wstążką. Staję na palcach i macam ręką dookoła skrzynki. Palce natrafiają na inną skrzynkę, o wiele mniejszą. Podsuwam ją do siebie, wydaję z szafy i kładę na łóżku. Nie jest zamknięta na kluczyk. Podnoszę wieko, słyszę, jak cichutko skrzypią mosiężne zawiasy. W skrzynce leży pistolet. Nie mam pojęcia, jaki to kaliber, jaka

nazwa. Nigdy nie interesowałem się bronią. Ten pistolet należał kiedyś do ojca Fieldy, który zmarł wiele lat temu. Matka Fieldy sama właściwie nie wie, dlaczego przechowuje jego pistolet. Boi się tego pistoletu, ale jakoś nie potrafi się go pozbyć. A może po prostu z czasem o nim zapomniała.

Wyjmuję pistolet z wyściełanego aksamitem pudełka, zaskoczony, że mimo niewielkich rozmiarów jest taki ciężki. W pudełku jest jedna jedyna kula. Wyjmuję ją, zaciskam mocno palce, ogrzewając kulę w spoconej dłoni. Spoglądam na zegarek. Wiem, że czasu mam niewiele. Muszę się więc pośpieszyć.

ANTONIA

Calli zasnęła. Jej brudna twarz wcale nie jest pogodna, gładka, taka, jaka powinna być twarz śpiącej siedmiolatki. Na czole widać głęboką pionową zmarszczkę, usta zaciśnięte. Na kozetce obok siedzi Ben, którym zajmują się teraz doktor Higby i Molly. Twarz Bena jest w okropnym stanie. Oczywiście, że pytanie - kto ci to zrobił? - samo cisnęło mi się do ust. Ale powstrzymałam się. Boję się odpowiedzi.

Zanurzam myjkę w misce z ciepłą wodą i zaczynam ścierać brud z ciała mojej córki. Zaczynam od twarzy, starając się wygładzić tę okropną bruzdę na jej czole. Przesuwam myjkę za jedno ucho, za drugie, wycieram policzki, potem brodę, ostrożnie manipulując głową Calli, jakby była malutkim dzieckiem. Calli ma na sobie tylko szpitalną koszulkę, stopy owinięte bandażem z gazy. Na rękach Calli mnóstwo siniaków. Zastanawiająco dużo. Tyle siniaków dziecko nie ma nawet po najbardziej szalonej zabawie.

Słyszę głos doktora Higby.

- A więc reasumując, mamy złamany nos i trzy pęknięte żebra. Na jakiś czas musisz zapomnieć o sporcie, Ben.

Ben cichutko prychnął z niezadowoleniem.

- Przewieziemy teraz Calli do pokoju. Pani i Ben możecie dziś z nią zostać. Albo wracać do domu.

- Ja zostaję.

Ben i ja mówimy to jednocześnie. Uśmiechamy się do siebie. Oboje wiemy, że nasze miejsce jest teraz przy Calli.

- Wpadnę tylko na chwilę do domu - mówię do doktora. - Wezmę czyste ubranie dla dzieci, dla Calli jej koc i ukochaną małąkę z włóczki.

Doktor z aprobatą kiwa głową.

- Bardzo dobry pomysł. W ciągu najbliższych kilku dni Calli powinna być po prostu rozpieszczana. A ty, Ben, nie obraź się, ale chyba powinienesz zrobić wycieczkę pod prysznic.

Ben śmieje się. Jestem zachwycona, że po tym wszystkim mojemu Benowi nie przeszła ochota do śmiechu.

- Ma pani czym pojechać do domu? - pyta Molly.

Dobre pytanie. Oczywiście, że nie mam. Mój samochód stoi w moim garażu, czyli jestem uziemiona w szpitalu. A tak bardzo chciałam, żeby Calli obudziła się pod swoim kocem, z ukochaną małą w objęciach.

Nagle przypominam sobie Rose, tę sympatyczną, usłużną ratowniczkę.

- Chyba mam - mówię.

ZASTĘPCA SZERYFA LOUIS

Tucci, Dunn i ja idziemy dokładnie tą samą drogą, którą zjeżdżałem razem z Benem quadem. Na moment zatrzymujemy się przy zwłokach psa, na które wcześniej natknęliśmy się z Martinem Gregory. Ten pies może mieć coś wspólnego z dzisiejszymi wydarzeniami, dlatego postanawiam powiedzieć o nim kolegom z laboratorium kryminalistycznego.

- Czy Charles Wilson, doradca szkolny, odnalazł swego psa? - pytam.

- Nie wiem - odpowiada Tucci. - Wilsona wypuściliśmy, nie było podstaw do dalszego przetrzymywania.

- A gdzie on teraz jest, ten Wilson? - pytam, zastanawiając się w duchu, czy Wilsona nie zwolniono jednak przedwcześnie. W świetle mojej latarki widzę, jak Tucci wzrusza ramionami. Mówię więc: - Zadzwoń, Tucci, do dyspozytorki i powiedz jej, że trzeba to sprawdzić.

Nagle czuję, że to łożenie nocą po lesie nie ma najmniejszego sensu. Zachowałem się jak głupek, który spodziewa się, że ten ktoś, skulony za drzewem - o ile tam naprawdę był - będzie tu na mnie grzecznie czekać. Będzie to oczywiście Griff i ja, nieustraszony bohater, zaaresztuję go. Przede wszystkim po to, żeby zaimponować Antonii.

- Widzisz coś? - pyta Tucci. Idziemy już tak dobre czterdzieści minut.

- Nie - odpowiadam ponurym głosem, pełen odrazy do samego siebie.

- Moim zdaniem wracajmy - mówi Dunn. - Nie ma co szukać po nocy. Lepiej wrócić tu rano.

Radio trzeszczy. Dyspozytorka powiadamia mnie, że u podnóża zbocza czeka na mnie agent Fitzgerald.

- Schodzimy - mówię do Tucciego i Dunna. Niechętnie. Bo mimo wszystko jestem przekonany, że Griff gdzieś tu jest i czeka. Na co? Niestety, tu już brakowało mi pomysłu.

Kiedy wychodzimy z lasu, widzę Fitzgeralda zajętego rozmową z jakimś mężczyzną i kobietą, oboje w cywilu. Podejrzewam, że to agenci z jego biura. Kiedy podchodzimy bliżej, przestają rozmawiać, cała trójka patrzy na nas. Fitzgerald krzyczy:

- Co ty wyrabiasz?!

Tucci i Dunn odruchowo chowają się za mnie.

- W jakim stanie jest Petra Gregory? Wiesz już coś? - pytam, ignorując jego wybuch złości.

- Nadal nieprzytomna, ale jej stan jest stabilny. Są dowody wykorzystania seksualnego - mówi kobieta, stojąca obok Fitzgeralda. - Jestem Lydia Simon, agentka specjalna. A to mój kolega, agent specjalny John Temperly. Przyjechaliśmy, żeby pomóc w śledztwie w sprawie tych dwóch dziewczynek. Rozumiem, że mieliście tu bardzo ciężki wieczór.

- Nie da się ukryć - mówię. A Fitzgerald dalej swoje.

- Co ty wyrabiasz, Louis! Organizujesz poszukiwania na własną rękę. Mało tego, zabierasz ze sobą dwóch cywili, matkę jednej ofiary i ojca drugiej...

Agentka Simon kładzie rękę na jego ramieniu, agent Fitzgerald natychmiast milknie. Ta kobieta ma na niego wielki wpływ. Być może jest jego przełożoną.

- Znalazłeś obie dziewczynki i chłopca? - pyta mnie agentka Simon.

- Prawdę mówiąc, to Calli Clark nas odnalazła. Wyszła z lasu prosto na nas. Miała ze sobą łańcuszek Petry Gregory i bieliznę. Pani Clark i ja podejrzewaliśmy, że brat Calli, Ben, nadal jest na szczycie, więc...

- I pozwoliłeś, żeby poszedł tam Martin Gregory! - stwierdza Fitzgerald, znów tonem oskarżycielskim.

- Bo nie mogłem go powstrzymać! - Jestem wkurzony, dlatego też mówię już podniesionym głosem.

- Wezwałem ambulans i wsparcie i poszedłem za Gregorym. Gregory był pewien, że Ben ma z tym wszystkim coś wspólnego. Poszedł na górę, żeby zabić tego, kto skrzywdził jego córkę!

- Zgodnie z procedurą powinieneś był czekać na dole na wsparcie!

- Spokojnie, panowie - mówi agentka Simon. - Co było to było, niczego się już nie zmieni. Najważniejsze, że obie dziewczynki się odnalazły. Skupmy się teraz na sprawcy.

- Ben Clark, brat Calli, twierdzi, że sprawcą jest Griff Clark, ich ojciec - mówię, starając się zapanować nad głosem i mówić jak profesjonalista. Spokojnie, beznamiętnie.

- Ben widział na górze swego ojca z dziewczynkami? - pyta agent Temperly.

- Tak - odpowiadam. - Powiedział też, że to ojciec tak go zbił. A chłopak naprawdę wygląda nieciekawie. Kiedy Martin i ja weszliśmy na szczyt, Ben stał na straży przy Petrze. Powiedział, że próbował zatrzymać ojca, ale ojciec i tak dokądś poszedł.

- A co mówi Calli Clark? - pyta mnie agentka Simon.

- Nic. Calli nie mówi od trzech lat. Dopiero dziś, po tak długiej przerwie, kiedy zeszła ze zbocza i natknęła się na swoją matkę i mnie, powiedziała jedno słowo. Imię swojego brata. Ben. Nie wiem, czy potem powiedziała coś więcej. Teraz dziewczynka jest w szpitalu w Willow Creek. Jej brat też już tam powinien być.

Spoglądam na zegarek. Parę minut po jedenastej. Jestem wykończony, a ta noc przecież dopiero się zaczęła.

- Dlaczego powiedziała imię brata, skoro domniemanym sprawcą jest jej ojciec? - pyta agent Temperly. - Dlaczego nie powiedziała: tato? Może brat kłamie? Może to on jest sprawcą?

- Wykluczone - mówię. - Ben Clark to dobry chłopak. Niczego złego nie zrobił, tylko przez cały dzień szukał swojej siostry i Petry.

- Coś mi się wydaje, że ty masz słabość do rodziny Clarków. Wyjąwszy Griffa, oczywiście - mówi zjadliwie Fitzgerald. Agentka Simon znów kładzie rękę na jego ramieniu.

- A mnie się wydaje, że koniecznie trzeba porozmawiać z tą dziewczynką. Koniecznie. Jedziemy do szpitala.

Jestem wykończony, ale bez słowa idę za nimi.

BEN

Po kąpieli w małej łazience, tuż przy twoim pokoju w szpitalu, czuję się o wiele lepiej. Musiałem uważać, żeby nie zamoczyć tego szerokiego bandaża, którym owinęli mi żebra. Doktor Higby dał mi takie zielone lekarskie ubranie. W głowie trochę mi się kręci po lekarstwie, które pielęgniarka wstrzyknęła mi w żebra i do nosa. Żeby tak bardzo nie bolało. Mama pojechała do domu po nasze rzeczy. Prosiłem, żeby przywiozła mi moją zieloną poduszkę, tę jak koszulka drużyny Green Bay Packers. Nie dlatego, że bez niej nie zasnę. Ale kiedy kogoś

twarz boli tak jak mnie, musi mieć coś bardzo miękkiego pod głową. Nawet facet. Mama pożyczyla samochód od jednej pani, która nazywa się Rose. Poprosiła też tę panią, żeby podczas jej nieobecności miała na nas oko. Rose jest super. Poszła teraz do kawiarenki szpitalnej. Poprosiłem o chipsy i napój, Mountain Dew, ale Rose powiedziała, że mam skaleczenia koło warg i nie wolno mi teraz jeść nic bardzo słonego ani bardzo słodkiego. Powiedziała, że sama coś tam wybierze.

Leżę w szpitalnym łóżku, obok twojego łóżka, i przerzucam kanały. Telewizor jest powieszony na ścianie. Głos nastawiam jak najciszej, żeby ciebie nie obudzić. Chociaż, biorąc pod uwagę, co się działo przedtem, na pewno przez jakiś czas się nie obudzisz. W głowie nadal mam ten twój przeraźliwy krzyk, kiedy wszedłem do pokoju zabiegowego. Szkoda, że sam siebie nie widziałem. Musiałem rzeczywiście wyglądać okropnie. Mama powiedziała, że kiedy odnalazłaś ich na początku Szlaku Żbika, powiedziałaś moje imię. Najpierw zrobiło mi się nawet miło. Ale potem zacząłem się nad tym zastanawiać. Dlaczego powiedziałaś moje imię? Dlaczego nie powiedziałaś „tato”? Przecież to on przede wszystkim narozrabiał. Mam nadzieję, że ty nie myślisz, że ja mam z tym coś wspólnego. Tam, na górze, rzeczywiście się działo!

Patrzę na ciebie. Śpisz. A ja tak bardzo chciałbym wiedzieć, co miałaś na myśli, Calli. Wtedy, kiedy powiedziałaś „Ben”.

Kiedy miałaś się urodzić, Calli, cieszyłem się, ale było mi też trochę smutno. Miałem pięć lat, nie podobało mi się, że teraz mama nie będzie tylko moją mamą. Tak naprawdę to na początku zagarnęłaś całą mamę dla siebie. Ryczałaś bez przerwy. Mama nosiła ciebie godzinami, głaskała po plecach, poklepywała i szeptała do ucha małego jak muszelka.

- Ciii, Calli, ci...

Ale ty wcale się nie uciszałaś. Mama chodziła i chodziła, półsenna, oczy miała podkrążone, włosy rozczochrane. Ale nigdy nie traciła do ciebie cierpliwości. Do mnie mówiła:

- Ben, mamy do czynienia z niezłym charakterkiem.

Jesteś starszym bratem, będziesz musiał pilnować naszego małego tornada.

Tylko tato potrafił ciebie uciszyć. Przyjeżdżał z tego ruociągu, rzucał zieloną torbę na podłogę i wyjmował ciebie z ramion mamy.

- Przestań piszczeć, Calli - mówił. I już cisza. Twoja czerwona, pomarszczona twarz natychmiast wyglądała się. Wlepiałaś w tatę oczy, jakbyś się zastanawiała, kim jest ten duży człowiek. Potem tym swoim nosem wielkości orzeszka pocierałaś o jego szeroką klatkę, małą rączką łapałaś za jego wielki palec i zasypiałaś. Jak kamień.

Po prostu dostosowałaś się do reguł gry w tym domu. Tylko jedna osoba mogła być w centrum uwagi. Kiedy tato przyjeżdżał, wiedziałaś, że na jakiś czas trzeba będzie przycichnąć. Myślę, że mamie nie bardzo się podobało, że tylko tato potrafi cię uciszyć. W końcu to ona zmieniała ci pieluszki i karmiła tą okropną zieloną papką ze słoiczków dla niemowląt. To ona omal nie oszalała ze zmartwienia, kiedy ty miałaś dwa miesiące i gorączkę czterdzieści stopni. W Boże Narodzenie na dworze było prawie minus dwadzieścia, dom się trząsał od wiatru. A mama i tak napełniła wannę lodowatą wodą, rozebrała cię, siebie też, wzięła cię na ręce i obie usiadłyście w tej wannie. Obie miałyście sine usta i gęsią skórę, nie jakieś tam kropeczki, tylko bąble jak piłki. Dygotałyście tak, że w wannie robiły się fale i uderzały o brzeg. Mama siedziała tam z tobą, kołysała cię, dopóki gorączka nie spadła i nie zaczęłaś wrzeszczeć. Jak zwykle.

Twój krzyk słyhać było w całym domu. Nie mogłem spać. Zrobiłem mamie mleko z czekoladą i znalazłem jej ulubione skarpety w paski we wszystkich kolorach tęczy. W tych skarpetach z przodu były otworki, przez które wysuwało się palce. Przelazłem przez szczebelki twojego łóżeczka, wyjąłem z niego twój żółty kocyk i tę głupią małąkę z włóczki. Zaniósłem to wszystko do dużego łóżka mamy, bo wiedziałem, że tej nocy będziecie spały razem. To znaczy mama przez kilka godzin nie spała, tylko siedziała, patrzyła na cię i co chwilę podsuwała palec pod twój nos, żeby wyczuć oddech.

A więc tak, jak powiedziałem. Mamie chyba było przykro, że tylko tato potrafił cię uciszyć. Wiem, że ty wcale nie chciałaś, żeby jej było przykro. Ale tato taki jest. Jak przyjeżdża do domu, wypełnia sobą każdy kąt. Po prostu przygniata sobą innych, siada im na piersi. Całą energię tracisz na oddychanie, co dopiero mówić o wydawaniu dźwięków. Śmieszne, że ten sam tato, który jako jedyny potrafił cię uciszyć, w końcu też jako jedyny zmusił cię do mówienia.

ANTONIA

Biegnę korytarzem do windy. Ta przemiła Rose Callahan pożyczyła mi swój samochód, nie wiem, jak się jej odwdzięczę. Ale na pewno to zrobię. Czekam na windę, pobrzękując niecierpliwie kluczykami. I myślę. Ben i ja nie odbyliśmy tej bardzo ważnej rozmowy. Nie spytałam, kto go tak zbił. Jeszcze raz okazałam się złą matką. Bo większość matek na jego widok natychmiast by wykrzyknęła:

- Boże święty! Kto ci to zrobił?!

Ale ja nie jestem jeszcze gotowa do pytania o to. Bo nie jestem jeszcze przygotowana na tę właśnie odpowiedź. Że zrobił to rodzony ojciec Bena, zrobił to i jeszcze wiele innych złych rzeczy. O wiele gorszych. Serce mi staje, kiedy pomyślę, jakiego spustoszenia dokonał Griff w ciągu jednego dnia. Ale czy na pewno? Nikt jeszcze nie stwierdził, że to wszystko zrobił Griff. Równie dobrze mógł w tym czasie być w jakimś barze.

Teraz jednak nie chcę w to wnikać. Chcę myśleć tylko o dzieciach. Jadę do domu po czyste ubrania i kilka rzeczy, które sprawią im przyjemność. Winda nadjeżdża, drzwi się otwierają. Naciskam guzik, zjeżdżam na parter, drzwi otwierają się. Wychodzę i od razu mam ochotę z powrotem wejść do windy.

W holu szpitalnym jest co najmniej tuzin policjantów. Widzę agenta Fitzgeralda, obok niego dwie nieznane mi osoby. Róg holu, niedaleko głównego wejścia, okupuje kilku reporterów. Widzę Louisa, toczącego ożywioną dyskusję z Loganem Roperem, przyjacielem Griffa ze szkoły średniej. A zaraz potem widzę, jak otwierają się drzwi i do holu wkracza Christine Louis, żona Louisa. No to pięknie, myślę. Bo Christine wcale nie wygląda na radosną. Rozglądam się dookoła, zastanawiając się, jak stąd po prostu zniknąć. Niestety, jest już za późno. Christine widzi mnie. Przeszywa mnie swoim płonącym wzrokiem, po czym zdecydowanym krokiem podchodzi do męża.

- O, Christine! - Louis patrzy gdzieś za nią. - A gdzie Tanner?

- W samochodzie, Loras. - Christine jest jedyną znaną mi osobą, która zwraca się do niego po imieniu. - Śpi.

- Zostawiłaś go samego w samochodzie? Oszalałaś! Po okolicy grasuje kidnaper! Nie wolno zostawiać dziecka samego w samochodzie!

- A ty... - Christine oskarżycielsko celuje palcem w męża. - Ty nie będziesz mi mówić, jak mam postępować z naszym dzieckiem, skoro jej dzieci są dla ciebie ważniejsze niż on!

- O czym ty mówisz? Christine!

Louis chwyta żonę za ramię i odciąga na bok. Wykorzystuję ten moment. Szybko wychodzę przed szpital i rozglądam się za czerwonym civikiem, samochodem Rose. Niestety, kiedy mam już do niego wsiąść, nagle pojawia się koło mnie agent Fitzgerald w towarzystwie tych dwóch nieznanych mi osób.

- Pani Clark - mówi agent Fitzgerald. - Bardzo się cieszę, że pani dzieci się odnalazły.

- Ja też się cieszę - mówię, może trochę obcesowo, ale bardzo chcę zniknąć stąd, zanim Christine podejmie próbę włączenia mnie do swojej dyskusji z Louisem.

Agent Fitzgerald przedstawia mi swoich kolegów, agenta Temperly'ego i agentkę Simon. Uśmiecham się do nich uprzejmie i siadam za kierownicą.

- Musimy porozmawiać z pani dziećmi, pani Clark - mówi mi agentka Simon.

- Domyślam się. Czy możemy poczekać z tym do jutra?

- Nie - mówi agent Temperly. - Musimy porozmawiać z Calli teraz.

- Teraz nie! - mówię stanowczym głosem. - Calli ma za sobą koszmarne dzień, teraz śpi.

Nikt nie będzie jej po nocy zadawał żadnych pytań.

- Nie potrzebujemy pani zezwolenia na rozmowę ze świadkiem, pani Clark - informuje mnie oschle agent Fitzgerald.

A ja temu gościowi dotychczas ufałam...

- Ale potrzebne jest zezwolenie doktora! Jeśli doktor zadecyduje, że nie, to nie! Nie będzie żadnej rozmowy!

Wysiadam z samochodu i maszeruję z powrotem do szpitala. Muszę przekazać doktorowi Higby, że nikt nie będzie rozmawiać z moimi dziećmi, dopóki ja nie wrócę.

ZASTĘPCA SZERYFA LOUIS

Zaciągam Christine do odległego kąta w szpitalnej poczekalni, jak najdalej od ludzi, bo niestety zanoszą się na coś, co powtarza się cyklicznie. Mniej więcej dwa razy do roku. Mały występ Christine przed szerszą publicznością, po którym Christine uspokaja się, przeprosza i wszystko wraca do normy. Do następnego razu.

- Co się dzieje? - pytam przez zaciśnięte zęby.

- Chyba zauważyłaś, że jestem w pracy.

- Oczywiście! - krzyczy histerycznie Christine.

- Ty nic innego nie robisz, tylko pracujesz! W domu ciebie w ogóle nie ma!

- Bo taka jest moja praca! - mówię o wiele głośniejszym głosem, niż zamierzałem. Czuję na sobie wzrok wszystkich osób obecnych w poczekalni. Kątem oka widzę, jak Toni wybiega ze szpitala. Dokąd się wybiera? Czy ona wie, że Griff jest gdzieś tu w pobliżu?

- Chodzi nie tylko o pracę! Chodzi też o... - Głos Christine załamuje się, Christine ruchem głowy wskazuje na Toni. - O nią! Byłeś z nią! Kiedyś, ale jakoś trudno ci o tym zapomnieć. Kiedy ona czegoś potrzebuje, lecis z wywieszonym językiem! Teraz też gapisz się na nią, a ja chcę ci powiedzieć coś bardzo ważnego. Wyjeżdżamy!

To oświadczenie ściąga moje spojrzenie z powrotem na twarz Christine.

- Wyjeżdżacie? Nie rozumiem. Czyli Tanner jest rzeczywiście w samochodzie?

- Tak. Śpi. Zamknęłam porządnie drzwi. Nie jestem głupia!

- A jeśli się obudzi? Jeśli uda mu się otworzyć drzwi? Jezu! Christine, zrób użytek ze swoich szarych komórek! Idziemy do niego!

- Oczywiście, że idziemy. Wypada przecież, żebyś się pożegnał z synem. Zabieram Tannera do Minnesoty.

- Na wakacje, czy jak?

- Na wakacje, na wakacje! - przedrzeźnia mnie rozzłoszczona Christine. - Wyjeżdża na dobre! Dopóki nie znajdę sobie jakiegoś domu, zamieszkamy u rodziców!

- Nie możesz tak po prostu wyjechać i zabrać Tannera! - wybucham. - Nie wolno ci rozłączać mnie z moim synem!

- Wcale nie mam takiego zamiaru. Później wszystko na spokojnie omówimy. A teraz, jeśli masz ochotę, pożegnaj się z nim przed wyjazdem.

A więc to tak... Czuję się kompletnie bezradny.

- Dlaczego to robisz, Christine?

- Bo w końcu trzeba to zrobić. Mam dość życia w cieniu twojej byłej ukochanej.

- Nie wyjeżdżaj, pogadamy. Dojdziemy do porozumienia. Zawsze tak było - mówię, ale bez przekonania.

- Nie, Loras. Czy ty zdajesz sobie sprawę, co znaczy dla mnie życie w tej dziurze? Razem z twoją przeszłością z Toni? Nie chcesz się od tego wyzwolić, a ja nie potrafię się od tego odciąć. Mam tego już dość.

Wychodzi na dwór, idzie na parking do naszego samochodu. Idę za nią. Trudno przecież, żebym nie ucałował swojego synka na pożegnanie.

MARTIN

Parkuję samochód przy drodze. Wsiadam, ostrożnie. Widzę policjanta w radiowozie. To policjant z rezerwy, znam go, widuję go w naszym kościele. Popija kawę i coś sobie czyta. Dobrze, że czyta. Dzięki temu udaje mi się przemknąć niepostrzeżenie za dom Clarków.

Staję za kępą drzewek, nie drzewek. Takie powykręcane, rachityczne stworki z pniami o grubości mojego nadgarstka. Wiatr łagodny, ale niesie ze sobą chłodne północne powietrze. Chociaż noc i tak ciepła, w sumie więc nie mogę się na nic uskarżać. W innych okolicznościach

prawdopodobnie byłbym w stanie uciąć sobie teraz małą drzemkę, ale pistolet na moim podółku przypomina mi, po co tu jestem.

Ulokowałem się dobrze. W ciągu dnia łatwo by mnie było zauważyć. Ale teraz jest noc, wtapiam się w mrok podwórza za domem Clarków. Widzę stąd samochody Antonii i Griffa, zaparkowane na podjeździe na tyłach domu. Widzę stąd też ich kuchnię. W całym domu ciemno. Nikogo, tylko ten policjant z rezerwy w radiowozie. Gdyby mnie zauważył, na pewno przyszedłby sprawdzić, kto to taki. Moje wyjaśnienia raczej nie byłyby przekonujące. W sumie więc, gdybym kierował się rozsądkiem, nie byłoby mnie tu. Ale jestem. Zasadziłem się z bronią na kidnapera i gwałciciela koło jego domu. Ja, dziekan wydziału ekonomii w College'u Świętego Gilianusa. Ja, który przez pięćdziesiąt siedem lat byłem zdecydowanym przeciwnikiem kary śmierci.

Tak, byłem. Bo teraz gotuje się we mnie, najbardziej gniewnie jest w żołądku, jakby tam ulokowało się gniazdo os, skrobało mnie i cięło od środka.

Czekam. Wcale nie muszę być nieskończenie cierpliwy, ponieważ już po chwili widzę, jak ktoś wychodzi z lasu. Ktoś wysoki, szeroki, porusza się bardzo ostrożnie. Wyraźnie czai się.

I znów chwila zwątpienia. Dylemat. Wyjść mu naprzeciw czy jednak wycofać się stąd chyłkiem, wrócić do domu teściowej i odłożyć pistolet na miejsce, do wyścielonego aksamitem pudełka leżącego wśród pokrytych kurzem skarbów przeszłości?

Zastanawiam się jednak za długo. Żaden z tych scenariuszy już nie przejdzie, bo pod dom zajeżdża samochód. Wysiada z niego Antonia. Na jej widok skradająca się postać na skraju lasu na moment nieruchomieje, po czym błyskawicznie znika wśród drzew. Antonia podchodzi do domu od frontu. Słyszę szmer rozmowy, czyli Antonia rozmawia z policjantem w radiowozie. Potem cisza. Siedzę dalej, wydaje mi się, że całą wieczność. Słucham, jak wali mi serce i patrzę. Mój wzrok przemyka nieustannie po trasie las-dom. Tam i z powrotem.

Nagle zapala się światło nad drzwiami na tyłach domu. Drzwi otwierają się, na podwórze wychodzi Antonia z torbą przewieszoną przez ramię. W ręku trzyma zieloną poduszkę i pluszową zabawkę. Widzę, jak Antonia mruży oczy i zaczyna wpatrywać się w ciemność. Potem podchodzi do miejsca, gdzie jeszcze niedawno krzatali się technicy z laboratorium kryminalistycznego. Stoi tam chwilę, teraz powinna się odwrócić i iść do samochodu. Ale nie. Zaczyna iść w stronę lasu. W tym momencie los podsuwa mi do wyboru dwa możliwe zachowania, z gatunku tych, co nieodwołalnie zmieniają czyjeś życie. Na zawsze. W tym przypadku co najmniej kilku osób. Na co się zdecyduję? Ostrzegę Antonię czy będę siedział tu cicho?

ANTONIA

Wracam do domu dobrze znaną mi drogą. Nieoświetloną, nie mamy tu żadnych latarni ulicznych. Jestem coraz bliżej. Jak tu pusto, bez kłębiących się reporterów i policjantów. Radiowozy odjechały, został tylko jeden. Stoi przed moim domem, a w całym domu ciemno. Dziwne. Kiedy po południu wychodziłam razem z Martinem i Louistem, na pewno zapaliłam światło. Prawdopodobnie zgasili je policjanci, opuszczając nasz dom.

Patrzę na dom Gregorych, mroczny jak mój. Biedni ludzie. Życzę im z całego serca, żeby z tej okropnej sytuacji udało im się wyjść obronną ręką. Mam nadzieję, że Fielda i Martin są już przy swoim dziecku. Ja mam to szczęście, że dwójka moich dzieci, choć poobijana i poraniona, jest już ze mną. Bezpieczna. Mam też wielką nadzieję, że po tym jednym jedynym słowie z ust Calli wkrótce wypłynie długa wstęga całych zdań.

Wysiadam z samochodu i podchodzę do radiowozu. Policjant też wysiada z wozu, wita mnie bardzo uprzejmie.

- Cieszę się, pani Clark, że pani dzieci są już bezpieczne.

- Dziękuję. Jestem bardzo szczęśliwa. I bardzo wdzięczna wam wszystkim za to, co robicie dla nas. Czy mogłabym wejść na chwilę do domu i zabrać trochę rzeczy dla moich dzieci?

- Oczywiście! Technicy już poszli, z domu zabrano wszystko, co potrzebne jest w śledztwie. Chce pani, żebym poszedł z panią?

- Nie, dziękuję. Wrócę dosłownie za kilka minut.

Policjant wsiada z powrotem do swojego samochodu, ja idę do drzwi. To znaczy, wlokę się. Jestem wykończona. Wchodzę do środka, od razu idę na górę, najpierw do pokoju Calli. Zapalam światło. Pokój w stanie idealnym. Jestem pełna podziwu. Trudno uwierzyć, że przez ileś godzin kręcili się tu obcy ludzie. Zbierali dowody, szukali śladów walki, szukali odcisków palców. Potem posprząтали, każdą książkę, każdą zabawkę odłożyli na swoje miejsce. Tylko łóżko Calli, odarte z pościeli, przedstawia sobą bardzo przykry widok.

Łapię trochę ubrań, wkładam do plecaka Calli. Biorę też małąkę, żółty kocyk i biegnę do pokoju Bena. Też pakuję trochę jego ubrań do plecaka i zabieram zieloną poduszkę. Zbiegam na dół. Kładę rękę na klamce, ale drzwi nie otwieram, tylko odwracam się i idę przez kuchnię na tyły domu. Zapalam światło na zewnątrz, nad drzwiami, i wychodzę na podwórze. Wielkie, piękne podwórze na skraju lasu. Patrzę na las, w pamięci odżywają tragiczne wydarzenia tego dnia. Jak to teraz będzie? Czy w tym lesie nadal będę czuła się tak cudownie, tak bezpieczna? W miejscu, które wchłonęło moje dzieci, potem wypluło je, pobite, umęczone?

Las... Odruchowo zaczynam iść w stronę wielkich ciemnych drzew. Idę, póki moje serce ze strachu nie przestanie bić, kiedy na ramieniu poczuję ciężar czyjejś dłoni. Serce jednak ożywa, gdy rozpoznaję głos. Miły głos człowieka bardzo kulturalnego, teraz niżony do szeptu. To głos Martina.

- Antonio, tylko spokojnie. Ktoś jest w lesie. Chodź. Ciągnie mnie na bok, za gęste zarośla koło komórki.

- Martin, a co ty tu robisz?

Martin ucisza mnie i wskazuje na las. Patrzę. Nic nie widzę.

- Kto tam jest? - pytam prawie bezgłośnie.

- Wydaje mi się, że Griff.

- Griff? - Mój głos natychmiast odzyskuje normalne brzmienie. - To dobrze. Muszę go zapytać, gdzie on się podziewał przez cały dzień.

Zaczynam wysuwać się spoza zarośli, ale Martin łapie mnie za rękę, zmusza do pozostania w miejscu.

- Zostań tutaj - mówi dalej tym lekko zachrypniętym szeptem. - Antonio, czy rozmawiałaś już z Benem o tym, co wydarzyło się na szczycie zbrocza?

- Nie było kiedy. A dlaczego pytasz?

- Kiedy znaleźliśmy Petrę, był przy niej Ben. Powiedział nam, kto skrzywdził Petrę i Calli. Griff.

- Co? Ben tak powiedział?

- Tak. On - szepcze Martin - powiedział, że kiedy wspinał się na zbrocze, był tam Griff. Stał nad... Petrą, potem poszedł za Calli...

Dopiero teraz zauważyłam, że Martin ściska coś w prawej dłoni.

- Martin, co to jest?

Wyciągam rękę, moje palce natrafiają na chłodną stal.

- Mój Boże, Martin! Czy to pistolet? Co ty wyrabiasz?!

- Sam nie wiem... - mówi cicho. - Nie wiem. Pomyślałem sobie... pomyślałem, że...

- Martin, czyś ty oszalał? Chcesz zastrzelić człowieka, którego posądzasz o wyrządzenie krzywdy twojej córce? Sam wymierzyć sprawiedliwość, nie zamieniwszy z nim przedtem ani słowa? Kiedy policja go jeszcze nie przesłuchała? Martin! Ja wiem najlepiej, jakie Griff ma kłopoty ze sobą, ale wiem też, że nigdy by nie skrzywdził twojej córki!

- A skąd ta pewność? - syczy Martin. - Widziałeś twarz swojego syna! Twój syn też był tam, na górze. Uważasz, że skłamał? W takim razie, kto to zrobił? Ben? Czy twój mąż? Który z nich?

- A właśnie! Który z nich? - odzywa się nagle ktoś pogodnym głosem, jakby włączał się do rozmowy towarzyskiej. A we mnie wszystko zamiera.

Przecież to Griff. Śmierdzi potem, twarz ma poszarzałą ze zmęczenia.

- Griff, ja naprawdę nie wiem, co tam się wydarzyło. Nie wiem! Ben i Calli są w szpitalu. Petra też jest w szpitalu, z nią jest naprawdę niedobrze...

- Ale ty myślisz, że ja mam z tym coś wspólnego? Wierzysz gnojkwowi, a mężowi nie?!

Griff, mój mąż, ten sam człowiek, który w rocznicę śmierci mojej matki zawsze okazuje mi wielkie współczucie, teraz... teraz idzie na mnie.

- Stój! - krzyczy Martin.

- Do cholery! A co to?! Masz broń? - wrzeszczy Griff. - Pieprzony pistolet! Przyszlście tutaj, żeby mnie załatwić?! Jezu! Toni!

Jednym szybkim ruchem Griff wyszarpuje broń z ręki Martina. Lufa skierowana jest we mnie. Krzyczę rozpaczliwie, słysząc huk wystrzału. Kula trafia w ziemię, ciemne grudki rozpryskują się na boki. Pistolet upada na ziemię. Obaj, Griff i Martin, rzucają się po niego, ale Griff jest szybszy. Chwyta pistolet i wali nim Martina po głowie. Martin pada, kuli się, obejmuje rękoma głowę.

- Griff! Zostaw go! - wrzeszczę. Zaczynam płakać i przyklekam przy Martinie.

- On chciał mnie zastrzelić! - krzyczy Griff. - A ty zamierzałaś się temu przyglądać!

- Wcale nie! Nie wiedziałam, że on tutaj jest! Przyjechałam po piżamkę dla Calli! Po jej małąkę!

Pokazuję na małąkę. Leży na ziemi i uśmiecha się do nas. Griff trzyma pistolet wycelowany we mnie. Jego ręka drży, nie wiadomo, czy z gniewu, czy dlatego, że nie ma co wypić.

Spogląda w dół, na zabawkę, potem na nieruchome ciało Martina.

- A ja ci nie wierzę, Toni.

- Dlaczego, Griff? Proszę, porozmawiajmy o tym! Ty mi powiedz, ty, co tam się wydarzyło!

Mówię, zanoszę się od płaczu, jednocześnie wzrok mam utkwiony w ciemność. Gdzie jest ten policjant, co pilnuje domu? Niemożliwe, żeby nie słyszał strzału! Dlaczego nie przychodzi?!

- Ja na pewno tego nie zrobiłem, Toni! Nie tknąłem tego dziecka!

- To co robiłeś tam, na zboczu? Dlaczego byłeś w lesie razem z Calli?

- Bo byłem głupi. Zaciągnąłem ją do lasu, niby na spacer... Zablądaliśmy. Potem Calli dokądś poszła. Odnalazłem ją, a tam była też Petra, cała zakrwawiona. I Ben. Jezu! Ben! Szedł na mnie. Uderzyłem go!

A więc to on, Griff, mój mąż. Potwór. Zaciągnął Calli do lasu, pobił Bena. Skrzywdził biedną małą Petrę...

- Jezu... - jęczy Griff - ale mnie ten łeb boli!

Przyciska palce do oczu. Wykorzystuję ten moment. Uciekam. Przemykam koło komórki i zaczynam biec w stronę lasu. Tam się ukryję, znam ten las bardzo dobrze. Biegnę, pewna, że zaraz usłyszę za sobą huk wystrzału. Ale nic takiego nie słyszę. Bo mimo bólu głowy i roztrzęsionych rąk Griff nadal jest szybszy ode mnie. Nie dobiegam do drzew, które miały udzielić mi schronienia. Griff, ciężko dysząc, dopada mnie. Zgniała potężnymi rękami. Próbuję się wyrwać. Szarpię się, kopię...

Nagle oboje nieruchomiejemy. Ciszę nocy rozdziera przeraźliwe wycie. Sygnał radio-wozów. Zaczynam szarpać się jeszcze gwałtowniej, starając się oswobodzić za wszelką cenę. Ale potężna łapa Griffa nie puszcza. Ciągnie mnie do lasu.

ZASTĘPCA SZERYFA LOUIS

Christine wyjeżdża z parkingu koło szpitala. Pobiec za nimi? Wskoczyć do samochodu i razem z nią i Tannerem jechać do Minnesoty? Zastanawiam się nad tym tylko przez moment, bo nagle widzę Toni. Idzie z opuszczoną głową, po raz drugi wychodzi ze szpitala. Co jest?! Zaczynam iść w jej stronę, widzę jednak za szybą jednego z wysokich okien na frontowej ścianie szpitala trzy pary oczu wpatrzone we mnie. Agent Fitzgerald i jego kumple. Obserwują mnie. Dlatego nie idę za Toni, tylko wracam do szpitala.

Automatyczne drzwi ponownie rozsuwają się przede mną, czuję na twarzy powiew chłodnego powietrza z klimatyzowanego holu. Jestem cały spocony, mundur brudny po tym ganiu po lesie. Teraz spocilem się dodatkowo, podczas burzliwej rozmowy z Christine.

Tuż za drzwiami czeka już na mnie trójka agentów. Ale mijam ich bez słowa i zmierzam prosto do automatu po butelkę wody sodowej. Muszę się napić.

Idą za mną.

- Ona nie pozwala na rozmowę ani z córką, ani z synem - mówi Fitzgerald.

- Kto nie pozwala? - pytam i błyskawicznie wlewam w siebie całą zawartość butelki.

- Antonia Clark - odpowiada Fitzgerald. - Mówi, że Calli absolutnie nie jest jeszcze gotowa do takiej rozmowy, nie chce też, żebyśmy porozmawiali z Benem. Myślę, że ona coś ukrywa.

- A co ona może ukrywać? - pytam, wrzucając do automatu drobne. Tym razem wybieram sodową z kofeiną i cukrem. Zdaje się, że ta noc będzie równie lekka, łatwa i przyjemna jak miniony dzień.

Odpowiada agent o nazwisku Temperly.

- Podejrzewam, że ona coś wie o swoim mężu. Podobno nie wiedziała, że on w rezultacie nie pojechał na te ryby. Tak twierdzi, ale ja tego nie kupuję. Może ona go kryje?

- Bzdura - mówię, patrząc mu prosto w oczy. - Rozmawiałaś z nią? Powiedziała coś, co faktycznie mogłoby wzbudzić takie podejrzenia?

- Oczywiście! Przed kwadrans, kiedy absolutnie odmówiła współpracy z nami. Dziwne, bo gdyby ktoś porwał moją córkę albo sprął mi syna, bardzo chciałbym wiedzieć, kto to zrobił.

- Toni również - mówię spokojnym głosem, starając się pohamować gniew. Nie mogę przecież dopuścić, żeby odsunęli mnie od tego śledztwa. - Toni po prostu czuwa nad dziećmi. Pozwoli im mówić, kiedy będą w odpowiedniej formie.

- Wyjątkowo troskliwa mamusia... - mamrocze Temperly.

Głos zabiera Fitzgerald.

- Pogadajmy z lekarzem. Niech on się wypowie. Potem znikamy stąd.

- A tak przy okazji... dokąd pojechała Toni? - pytam.

Agenci spoglądają po sobie. Wszyscy troje wzruszają ramionami.

- Chwileczkę... - Patrzę na nich z niedowierzaniem. - Jej mąż, co do którego mamy poważne podejrzenia, jest tu gdzieś w okolicy, a wy pozwalacie jej samej dokądś jechać?!

Agenci znów spoglądają po sobie.

- Idziemy poszukać lekarza - mówi agentka Simon. Idziemy. Nagle słyszymy wołanie recepcjonistki:

- Proszę państwa, czy ktoś z państwa mógłby porozmawiać z Fieldą Gregory? Jest bardzo zdenerwowana. Chodzi o jej męża!

- Ja porozmawiam - mówi Fitzgerald, zanim zdążyłem złapać słuchawkę. Podchodzę do niego jak najbliżej, z nadzieją, że coś usłyszę. Przez kilka minut Fitzgerald tylko słucha, potem mówi Fieldzie, że już do niej jadą.

- Jezu... - mamrocze, oddając recepcjonistce słuchawkę. - Ciekawe, kto następny...

Wszyscy patrzymy na niego wyczekująco.

- Wygląda na to, że mamy następny przypadek zaginięcia - mówi Fitzgerald. - Martin Gregory znikł.

- Martin? Przecież kazałem Jorgensowi odstawić go do domu. Martin mówił, że razem z Fieldą jadą do Iowa City, do Petry.

- Ale stało się inaczej - mówi Fitzgerald. - Do Iowa City Fielda pojechała ze swoją matką, zawiozła je tam pani McIntire.

- Matka Jenny McIntire? - pyta Temperly.

- Zgadza się. Ale dajcie mi dokończyć. Petra musi mieć operację. Pani Gregory, zanim wyrazi na to zgodę, chce porozmawiać z mężem. Ale nie może go znaleźć. Dzwoniła do domu, na posterunek, szukała w szpitalu. Skontaktowała się z rodziną, znajomymi. Bez skutku. Potem Mary McIntire powiedziała, że ona chyba domyśla się, gdzie może być Martin...

Fitzgerald zawiesza głos. A mnie w głowie już klika.

- Jezu... - szepczę - on poszedł szukać Griffa.

- Wszystko wskazuje na to, że tak - mówi Fitzgerald. - Pani McIntire powiedziała, że Martin podczas ich krótkiej rozmowy wyraźnie się zadeklarował. Powiedział, że ma zamiar ścigać tego, kto skrzywdził jego dziecko.

- A o ile wiemy, Griff Clark jest nadal w lesie. Czy to możliwe, żeby Martin też tam teraz był? Ścigał Griffa?

- Całkiem możliwe... - Milknę, przerażony pewną myślą, która teraz przyszła mi do głowy. Odwracam się do recepcjonistki. - Czy może mi pani powiedzieć, gdzie jest teraz lekarz Calli?

Doktor Higby zjawia się po kilku minutach i stanowczym głosem oświadcza, że rozmowa z Calli i Benem jest teraz absolutnie niemożliwa.

- Nie o to chodzi - mówię. - Czy pan wie, dokąd pojechała Toni Clark? Widziałem, jak przed chwilą wychodziła ze szpitala.

- Pojechała do domu po rzeczy dla dzieci. Jakiś problem? - pyta zaniepokojony lekarz.

- Jeszcze nie wiemy - mówię, w tym momencie odzywa się moje walkie-talkie. Informują mnie, że policjant z rezerwy, pilnujący domu Clarków, słyszał kłótnię, najprawdopodobniej również odgłos wystrzału.

Czyżby miały się sprawdzić moje najgorsze obawy?

BEN

Rose wraca z tacą pełną zarcia. Budyń, galaretka, zupa, piwo imbirowe. Rose mówi, że specjalnie wybrała coś lekkiego, czego nie będę musiał żuć i twarz podczas jedzenia nie będzie mnie boleć. Daje mi to wszystko i wychodzi do poczekalni. Ona jest naprawdę super. Domyśliła się, że zdecydowanie wolę, żeby jakaś obca pani nie patrzyła na mnie, jak będę jadł te papki dla małych dzieci.

Leżę sobie, jem i gapię się w telewizor. A ty, Calli, dalej śpisz. Co chwilę spoglądam na ciebie. Chciałbym, żebyś się obudziła. Bo chociaż wolę, żeby Rose siedziała w poczekalni, to tak w ogóle czuję się trochę osamotniony. Mamy jak nie było, tak nie ma. Co jakiś czas zagląda twoja pielęgniarka. Sprawdza ci puls, kroplówkę, kładzie rękę na twoim czole.

O tacie staram się nie myśleć. Kiedy sobie przypomnę, co wydarzyło się na zboczu, zaczynam mieć wyrzuty sumienia. Ale każdy by pomyślał to, co ja, gdyby zobaczył tę biedną Petrę we krwi i ciebie, taką wystraszoną. Głupio mi jednak będzie teraz spojrzeć tacie w oczy. Mama to zrozumie. Nie powiedziałem jej, kto złamał mi nos. Ale mama chyba się domyśla.

Pamiętam, Calli, że zanim przestałaś mówić, kładłaś się w nogach mojego łóżka i czekałaś, kiedy wrócę ze szkoły. Codziennie. Ale nie wściekałem się. Przecież niczego nie ruszałaś, nie psułaś. Leżałaś sobie albo bawiłaś się moim zbiorem kamieni. Kamienia nie można przecież zniszczyć, prawda? Dzieliłaś je sobie według kolorów. Jedna górką to czarne kamienie o metalicznym połysku, druga - różowe szpaty polne, trzecia - żółte kalcyty. Nazywałaś je po swojemu. Czarny obsydian było to Magiczne Oko Kota, a świecący kwarc - Góra Lodowa. Mówiłaś, że jeśli ten kwarc zakopie się na podwórzu, wszystko dookoła zmieni się w lód.

Czasami myślałem, że ty chyba nigdy się nie przyzniesz. Teraz, kiedy od tak dawna milczysz, brakuje mi tego twojego gadania. Z tym, że ja rozmawiam z tobą przez cały czas. Po cichu. Oczywiście, nikomu się do tego nie przyznaję. Wszystko dzieje się w mojej głowie. Ja mówię i ty też mówisz. Oczywiście, ja zawsze jestem starszym bratem, o wiele od ciebie mądrzejszym, a ty młodszą siostrą, która nigdy nie będzie wiedziała tyle co ja.

I tak sobie gadamy. Na przykład ty pytasz:

- Ben, jak myślisz, czy tato przestanie kiedyś wreszcie pić?

A ja ci odpowiadam:

- Nie wiem, Calli, ale wszystko jest możliwe.

Gadamy o wszystkim, też o takich głupich rzeczach, na przykład, co będzie na kolację albo w telewizji. Bardzo chciałbym, żebyś się teraz obudziła i powiedziała:

- Ben, chcę oglądać siódmkę, daj mi pilota.

Ale tak nie będzie, ja wiem. Nie odezwiesz się. Nigdy cię nie pytałem, dlaczego nie mówisz. Ale tak sobie myślę, że ma to coś wspólnego z tamtym dniem, kiedy mama urodziła nieżywe dziecko. Poszedłem z Rayem na sanki. Kiedy wróciłem do domu, mama leżała na sofie, przykryta kocem. Koc był przesiąknięty krwią. Ty siedziałaś na podłodze, z tą swoją małą i kiwałaś się. Bez przerwy. Pytałem cię, co się stało. Ale ty, oczywiście, nic mi nie powiedziałaś. Zadzwoiłem do Louisa, Louis zadzwonił po karetkę.

Nie wiem, jak to się stało, że nam, dzieciakom, pozwolili na to patrzeć. Jak z mamy wychodzi małe dziecko. Ty dotknęłaś czerwonych włosów. Wtedy byłem pewien, że coś powiesz. Ale nie powiedziałaś, tylko mocniej przycisnęłaś do siebie tę małą i zaczęłaś się kiwać trochę szybciej. Wtedy ktoś w końcu zdał sobie sprawę z naszej obecności. Zadzwoiło do pani Norland i poprosili, żeby się nami zajęła.

Po tym wszystkim ty już nigdy nie powiedziałaś ani słowa. Myślałem, że dlatego, bo się okropnie przestraszyłaś, kiedy mama spadała ze schodów. W ogóle tym wszystkim, co się wtedy działo. Ale potem coś zauważyłem. Kiedy w twoim polu widzenia pojawiał się tato, od razu robiłaś się cała sztywna. Nawet podkurczałaś palce u nóg. Czyli wiedziałem już, że twoje milczenie musi mieć jakiś związek z tatą. Oczywiście, nie miałem pojęcia, o co konkretnie chodzi. Może mama wiedziała, ale utrzymywała to w tajemnicy. Mama czasami robi źle. Nie mówi tego, co powinna powiedzieć.

Chyba się budzisz. Poruszyłaś się, powieki ci drżą.

Wyraźnie chcesz otworzyć oczy, ale ci się nie udaje. Nic dziwnego, jesteś przecież wykończona. Może i lepiej, że ich nie otwierasz. Spojrzysz na mnie i znów zaczniesz wrzeszczeć, jak wtedy, kiedy wszedłem do pokoju zabiegowego.

Znów się poruszyłaś. Może cię coś boli? Postanawiam na wszelki wypadek wezwać pielęgniarkę. Idę do dzwonka, ty nagle przestajesz się kręcić. Śpisz. Wracam więc do łóżka, kończę swój budyń i dalej przerzucam sobie kanały. Mija chwila, znów patrzę na ciebie. A ty, jak

się okazuje, wcale nie śpisz, tylko też na mnie patrzysz. Z niedowierzaniem. Jakby nie mieściło ci się w głowie, że ja też mogę tu być. Patrzysz, potem uśmiechasz się, tak leciutko.

Wstaję z łóżka i podchodzę do ciebie.

- Jak się czujesz, Calli? Da się wytrzymać? - pytam. Kiwasz głową. Minę masz prawie wesołą. Nagle odchylasz kołdrę i poklepujesz miejsce obok siebie. Włazę więc na twoje łóżko, ostrożnie, żeby nie dotknąć tej rurki, którą masz wsadzoną w rękę. To szpitalne łóżko nie jest za duże, ale jakoś się w nim mieszczę.

W domu czasami przychodzisz do mnie w nocy, kiedy nie możesz spać. Opowiadam ci wtedy różne historie, najczęściej po prostu bajki. O trzech małych świnkach, Czerwonym Kapturku i inne. Czasami sam coś wymyślam. Na przykład, że ty i Petra jesteście księżniczkami i przeżywacie wielkie przygody. Takie tam głupoty, chociaż... czasami te moje bajki nawet mi się podobają.

Wydaje mi się, że chcesz, żebym ci teraz coś opowiedział. Ale o czym? Po tym, co ostatnio przeżyłaś, nie będę ci przecież opowiadać o Piernikowym Ludziku!

Ale mam pomysł. Może głupi. Mama, gdyby się o tym dowiedziała, dałaby mi popalić. Głupi, nie głupi, zaczynam opowiadać.

- Dawno, dawno temu były sobie dwie księżniczki. Jedna nazywała się Calli, druga Petra. Obie księżniczki były bardzo piękne i mądre. Były najlepszymi przyjaciółkami. Na urodzie im nie zależało. Uważały, że o wiele ważniejsze jest być mądrą i odważną. Razem przeżywały wspaniałe przygody. Walczyły ze smokami, czarownicami i złośliwymi gnomami. Problem jednak polegał na tym, że księżniczka Calli nie mówiła. Nikt nie wiedział, dlaczego. Ale tak było. Nie odzywała się, chociaż była bardzo mądra i bardzo odważna. Mówiła za nią jej przyjaciółka, księżniczka Petra. Współpracowały ze sobą świetnie. Na przykład Petra mówi zaklęcie, Calli ręką kreśli w powietrzu tajemny znak i smok zionący ogniem pada martwy na ziemię. A wredna stara jędza zmienia się w ślimaka. Pewnego dnia księżniczka Calli i księżniczka Petra zabłądziły w lesie...

Zawieszam głos, patrzę na ciebie. Ty na mnie. Wyraźnie chcesz, żebym opowiadał dalej. Więc mówię dalej. W pewnym momencie do pokoju wchodzi doktor Higby, ten, co nosi ten odjazdowy krawat. Mówi, żebym opowiadał dalej. Wpadł tu tylko na chwilę, żeby sprawdzić, co z nami.

- A więc księżniczka Calli i księżniczka Petra zabłądziły w lesie. Mimo że do lasu wcale nie poszły same. Zabrał je tam tato księżniczki Calli..

Znów zawieszam głos i patrzę na ciebie. Marszczysz czoło. Jakbym coś źle powiedział. Zastanawiam się przez chwilę i znów pytam:

- Księżniczka Calli i księżniczka Petra poszły same do lasu?

Kręcisz głową. Nie. Próbuję więc jeszcze raz.

- Jakiś obcy człowiek je tam zaprowadził?

Znów kręcisz głową. Czyli mój pomysł chyba nie jest skuteczny. Patrzę na doktora, który usiadł sobie na krześle w rogu pokoju, tam, gdzie ty go nie widzisz. Doktor kiwa głową. Czyli chce, żebym próbował dalej.

- A może to tylko księżniczka Calli została zabrana do lasu przez swojego tatę, który przedtem się napił obrzydliwego trującego napoju?

Kiwasz głową. A ja aż wzdycham i myślę. Powolutku, powolutku, może do czegoś dojdziemy...

MARTIN

Dotykam ostrożnie głowy, tam, gdzie walnął mnie Griff. Słyszę radiowozy. Są coraz bliżej, chwała Bogu. A ze mnie rzeczywiście rzadki kretyn. Ubzdurałem sobie, że to ja, ja sam wymierzę sprawiedliwość. Jak jakiś bóg wojny! Żalotne. Przecież ja nigdy bym nie strzelił do człowieka, nawet do najgorszej kanalii. Po prostu nie. Do boga wojny naprawdę mi daleko. Jestem tylko rozwścieczonym głupim człowieczkiem, który stracił panowanie nad sobą.

Patrzę na ziemię, szukam wzrokiem pistoletu, który Griff wybił mi z ręki. Pistoletu nie ma. Nie ma też Antonii. W głowie mi się kręci, jest mi niedobrze. Żeby utrzymać się na nogach, muszę oprzeć się o tę rozwalającą się budkę. Widzę, jak radiowozy zatrzymują się, jeden po drugim. Wysypują się z nich policjanci. Mnóstwo. Macham, wołam do nich, nie chcę przecież, żeby wzięli mnie za przestępcę. W ciągu kilku sekund są przy mnie, a ja czuję wielką ulgę, kiedy wśród nich widzę zastępcę szeryfa Louisa.

Louis natychmiast zadaje mi pytanie:

- Gdzie Toni? Dokąd on ją zabrał?

- Do lasu. Tam - mówię, wskazując ręką kierunek. - Próbowała uciec, ale on okazał się szybszy. Zaciągnął ją do lasu.

Louis bez słowa odwraca się i odchodzi, za nim chmara policjantów. Wśród nich agent Fitzgerald.

Kobieta w niebieskim kostiumie, zbyt eleganckim jak na obecną sytuację, bierze mnie pod rękę. Jakiś mężczyzna, też w cywilu, ustawia się z drugiej strony. Pomagają mi usiąść na ziemi.

- Karetka już tu jedzie - zapewnia mnie kobieta.
- Czy pan nazywa się Martin Gregory?
- Tak, to ja - odpowiadam, trzymając się za obolałą głowę.
- Może spojrzę na pana głowę.

Wyjmuje latarkę, cienką prawie jak długopis. Przyświeca sobie. Widzę, że się krzywi, czyli rana rzeczywiście musi być paskudna. Jej towarzysz wyjmuje z kieszeni chusteczkę i wkłada mi do ręki.

- Moje nazwisko Simon, jestem agentką - przedstawia się kobieta. - To mój kolega, agent Temperly. Pomagamy w śledztwie w sprawie uprowadzenia pańskiej córki. Czy może nam pan powiedzieć, co tu się stało?

- Popelnilem błąd. Wielki błąd, niewybaczalny - mówię, czując jednocześnie, że ogarnia mnie coraz większa senność. To samo musiała czuć Petra, widziałem przecież tę straszną ranę na jej głowie.

- Ale co się stało? - pyta ponownie agentka.

Milczę. Po prostu nie wiem, co powiedzieć. Jak przekazać im dziwną historię o moim egoizmie. Po dłuższej chwili agentka Simon wybawia mnie z tej kłopotliwej sytuacji, zadając kolejne pytanie, na które mogę odpowiedzieć bez trudu.

- Co się stało z Antonią Clark?

- Jej mąż zabrał ją do lasu - mówię i wskazuję palcem. - Tam!

- Czy ma broń? - pyta agent o nazwisku Temperly. - Doniesiono nam, że słychać było strzał.

- Broń... - powtarzam, teraz już pewien, że nie da się uniknąć tego, co nieuniknione. - Chyba tak. Przypuszczam, że pistolet wziął ze sobą.

Chusteczka, jaką dał mi agent, jest mokra. Przesiąkła krwią. Odejmuje ją od głowy, oglądam, szukając czystego kawałka, który mógłbym przyłożyć do rany.

- Jaki pistolet? - pyta agentka Simon. Jestem prawie na sto procent pewien, że domyśla się, jaka będzie odpowiedź.

- Mój. Przyjechałem tu z bronią. Potem zobaczyłem, że przyjechała Antonia. Chciała iść do lasu. Nie mogłem do tego dopuścić. Po tym, co spotkało moją córkę... Przecież w tym lesie jest on. Zawołałem Antonię, schowaliśmy się koło tej komórki, ale on nas znalazł.

- Czy pan groził mu bronią? - pyta agent Temperly.

- Nie. Ale miałem ją w ręku. Myślę, że wyglądało to wystarczająco groźnie. Wybił mi pistolet z ręki. Pistolet wypalił... O, tu na ziemi jest ślad po kuli... On chwycił pistolet z ziemi i rąbnął mnie w głowę. Antonia próbowała uciec, ale dogonił ją i pociągnął ze sobą do lasu. Na pewno nie odeszli daleko. Poza tym pistolet nie jest naładowany. Miałem tylko jedną kulę.

- Nie jest naładowany...

Agentka Simon mówi to takim głosem, jakby to wcale nie była pomyślna wiadomość.

- Przecież to chyba dobrze, prawda? - pytam, zdezorientowany.

- Dla Antonii Clark na pewno, ale nie dla Griffa Clarka i dla policjantów, którzy są pewni, że Clark ma naładowaną broń, mogą do niego strzelać... Temperly?

Agent Temperly kiwa głową i odchodzi. Domyślam się, że teraz będzie próbował skontaktować się z policjantami, którzy pobiegli już do lasu.

- Pan wie, że pański przyjazd tutaj wcale nie był dobrym pomysłem, panie Gregory? - mówi agentka.

Kiwam posępnie głową i natychmiast krzywię się z bólu. Powieki same mi opadają. Niczego innego nie pragnę teraz, jak tylko spać, spać...

- Pana żona szuka pana rozpaczliwie. Senność znika jak ręką odjął.

- Coś z Petrą?! Czy z Petrą wszystko jest w porządku?!

Próbuję wstać. W głowie natychmiast zawirowało i znów czuję ten potworny ból. Siadam z powrotem na ziemi.

- Proszę się nie ruszać - mówi agentka. - Koniecznie musi pana obejrzeć lekarz. A co do pańskiej córki... Nie wiem dokładnie, jak wygląda sytuacja. Wiem tylko, że pańska żona chce koniecznie z panem porozmawiać. Postaramy się, żeby pan jak najszybciej mógł się z nią skontaktować.

Znów cisza nocna zostaje zmacona. Nadjeżdża ambulans. Po mnie. Miejmy nadzieję, że Antonia nie będzie musiała z niego korzystać.

Dziwnie, że pomyślałem też - ani Griff Clark.

ANTONIA

Griff wlecze mnie ze sobą przez las. Krzyczę, żeby się zatrzymał, proszę go, błagam. W końcu zatrzymuje się.

- Toni! Przecież ja wcale nie mam zamiaru zrobić ci coś złego. Jezu! Ty naprawdę myślisz, że skrzywdziłem to dziecko? Naprawdę?!

Patrzy tak żałośnie i smutno. Prawie mi go żal. Znam Griffa wystarczająco długo i wiem, jak z nim postępować. Przede wszystkim - żadnych gwałtownych ruchów. Wyciągam rękę, bardzo powoli i zdejmuję z głowy Griffa liść.

- Wcale tak nie myślę, Griff. Ale chciałabym wiedzieć, co się wydarzyło.

Ostrożnie kładę rękę na jego ramieniu. Griff w jednym ręku nadal trzyma broń. Palce drugiej ręki zaciśnięte na moim ręku, nad łokciem. Domyślam się, skąd u Calli te siniaki.

Griff opiera czoło na moim ramieniu, kaszle. Nie, nie kaszle. Griff płacze.

- Calli dziś obudziła się bardzo wcześnie. Poszliśmy na spacer do lasu. Zabłądziliśmy. Nagle straciłem ją z oczu...

Jakoś udaje mi się nie zareagować gniewem na to, że Griff pomija kilka istotnych szczegółów, jak to, że Calli wyszła z domu w koszulce nocnej i bez butów. I przede wszystkim mam pretensję o to, że nikomu nie powiedział o zmianie swoich planów. I po co nad ranem ciągnął do lasu bose dziecko.

- Kiedy odnalazłem Calli, zobaczyłem Petrę. Dopiero wtedy, przysięgam. Potem przyszedł tam Ben i też zobaczył Petrę. Wyglądała strasznie. Próbowałem jej pomóc. Jezu, Toni! Przysięgam, niczego złego jej nie zrobiłem!

Czuję na szyi wilgoć. Łzy Griffa. Prawdziwe czy udawane?

- Griff... - mówię miękko, głaszcząc go po plecach. - Po prostu trzeba to wszystko powiedzieć. Wszystkim. Powiedzieć, że tego nie zrobiłeś. Oni robią teraz testy DNA. Wyniki tych testów są niepodważalne. Będzie to dowód, że to nie ty!

Griff odrywa twarz od mego ramienia.

- Przecież wiem, Toni, nie jestem idiotą! Ale ja naprawdę chciałem jej pomóc! Wyczułem puls, wiedziałem, że żyje. A teraz wszystko zwała się na mnie! Szukają nie tego, co trzeba! Toni, a może ty im powiesz, że byłaś ze mną, czy coś w tym rodzaju...

Jego palce jeszcze mocniej zakleszczają się na mojej ręce. Na ramieniu czuję chłód metalu pistoletu.

- Oczywiście, Griff. Powiem im, co chcesz. Bo ja naprawdę ci wierzę - mówię, starając się, żeby zabrzmiało to jak najbardziej przekonująco. - Powiem im, że byłeś ze mną, potem poszedłeś szukać dzieci.

A kiedy Ben zobaczył cię przy Petrze, doszedł do błędnego wniosku. Powiem im, nie martw się, Griff.

Griff puszcza moją rękę. Uśmiecha się, wyraźnie odprężony.

- Dziękuję, Toni, bardzo ci dziękuję. Nie pożałujesz tego. Przestaną pić, zaczniemy nowe życie. Obiecuję. Wiem, że nieraz porządnie narozrabiałem. Ale teraz będzie inaczej. Pamiętasz, jak było dawniej, kiedy Ben był mały? Teraz też tak będzie. Rzucę robotę na tym cholernym rurociągu, znajdę sobie coś tutaj, na miejscu. Albo wyjedźmy stąd, tak chyba będzie najlepiej. Nad ocean. Zawsze przecież chciałaś zobaczyć ocean. Kupimy żółty dom na plaży!

Kiwam głową, zaskoczona, że Griff pamięta o moich marzeniach.

- Byłoby cudownie, Griff. Ale teraz, proszę, wracajmy już. Trzeba koniecznie porozmawiać z policją, wszystko im wyjaśnić.

Griff wyraźnie się ociąga.

- Sam nie wiem... Chyba nieźle urządziłem Martina. Nie powinienem walić go tak mocno...

- Trudno, stało się, Griff. A poza tym on miał broń. Miałeś prawo się wystraszyć. Broniłeś się, Griff. Chodź, wracamy do domu. Na pewno nas szukają. Zawsze lepiej, jeśli sami wrócimy. Griff, proszę, chodź. Jesteśmy teraz potrzebni naszym dzieciom!

- Sam nie wiem... sam nie wiem - mamrocze Griff. - Lepiej idźmy głębiej w las. Ukryjemy się gdzieś, poczekamy, aż to się wszystko przewali. Wtedy wrócimy po dzieci.

- O czym ty mówisz, Griff! Chcesz uciekać? Po co? Przecież powiem im to, co ustaliliśmy. Będę ciebie kryła. Nie musisz się niczego obawiać, Griff, proszę, wracajmy do naszych dzieci!

- Dzieci, dzieci! Zawsze najważniejsze! Jezu, Toni, czy ty raz w życiu nie możesz zrobić czegoś dla mnie? Uciekniemy. Przez noc dojdziemy do Maxwell, tam gdzieś przeczekamy, a potem wrócimy po dzieciaki i pryskamy dalej.

- Niemożliwe, Griff. Nogi Calli są w takim stanie, że o chodzeniu na razie nie ma mowy. Ben ma pęknięte żebra.

- Odczekamy tydzień, może dłużej. Dzieciaki wydobreją, wtedy jakoś je stąd wyciągniemy. Idziemy, Toni.

- Nie, Griff. Jeśli już tak się uparłeś, to idź sam. Ja wracam. Policji powiem, że wzięłeś dziecko tylko na spacer, a potem w lesie Calli gdzieś ci się zawieruszyła, a kiedy ją odnalazłeś, była z Petrą. Czy tak, Griff? Powiem im, że chcesz, żeby poznali prawdę, zanim wrócisz do domu. A ty poczekaś w Maxwell i...

- Kłamiesz!

Griff znów łapie mnie za rękę.

- Wcale nie!

- Jezu! Okłamujesz mnie!

Znów zaczyna ciągnąć mnie w głąb lasu. Ja znów krzyczę.

- Griff, to boli! Puść mnie, proszę, puść mnie!

Próbuję mu się wyrwać, nagle Griff kieruje lufę pistoletu w moją stronę. Celuje do mnie.

- Idziesz ze mną, Toni - mówi twardo. - Idziemy do Maxwell, potem wrócimy po dzieciaki.

Zaczynam płakać, zapieram się nogami. Ale Griff ciągnie mnie za sobą, jakbym była samochodzikiem na sznurku. Ciągnie mnie i wrzeszczy.

- Zamknij się! - wrzeszczy.

Nie mogę przestać płakać. Ale już nie krzyczę, tylko wydaję z siebie rozpaczliwe jęki.

- Zamknij się! - wrzeszczy znów Griff. - Do cholery, Toni! Zamknij się, bo nas usłyszą! Natychmiast zamknij się!

A ja już nie mam siły, nie mogę złapać oddechu. Chcę powiedzieć o tym Griffowi, ale z moich ust wydobywa się tylko jakiś świst.

To też mu przeszkadza.

- Zamknij się! Zamknij się, Toni, bo nas usłyszą! Nagle chwyta mnie za ramiona, pcha na drzewo.

Uderzam głową w twardą korę.

- Zamknij się! Jak się nie zamkniesz, nigdy już nie zobaczysz ani Calli, ani Bena, słyszysz? Znajdą nas! A ja nie mam zamiaru iść do więzienia za coś, czego nie zrobiłem! Dlatego zamknij się!

- Proszę... - szepczę - proszę, pozwól mi odejść.

- Nie! - Nachyla się nade mną, usta przykładają do mojego ucha i też szepcze: - Jeśli powiesz jeszcze choć jedno słowo, zamknę ci usta na dobre. Na dobre! Dlatego zamknij się!

Milknę. Nie dlatego, że tak bardzo mnie wystraszył. Milknę, bo nagle w mojej pamięci odżywa bardzo podobna scena.

Boże wielki, on też tak do niej szeptał... Biedna Calli. Czteroletnia dziewczynka widzi, jak jej matka spada ze schodów. Płacze, krzyczy przerażona. Griff też krzyczy na nią. Zamknij się! Widziałam wszystko, kiedy leżałam na sofie przykryta kocem. Griff wrzeszczał na Calli, potem zaciągnął ją do kuchni. Widziałam przez otwarte drzwi, jak nachyla się nad nią i zaczyna szeptać jej coś do ucha.

Szeptać coś, co zamknęło Calli usta na długie trzy lata. Trzy lata milczenia, po których dopiero teraz wypowiedziała pierwsze słowo. Tylko jedno.

- To ty! To ty! - krzyczę wprost do jego ucha. - To byłeś ty!

BEN

- I tak księżniczka Calli została pojmana przez króla, który nie wiedział, co robi, ponieważ napił się tego trującego napoju. Księżniczka próbowała użyć swoich zaklęć, ale na króla to nie działało. Był zbyt silny...

Spoglądam na doktora Higby, siedzącego cicho na swoim krześle w rogu pokoju. Obok niego stoi ta miła pielęgniarka, Molly. Doktor, tak jak poprzednio, kiwa nieznacznie głową, żebym mówił dalej.

- Księżniczka Calli i król zabłądzili w wielkim ciemnym lesie. Księżniczka była na bosaka. Nogi bolały ją okropnie, chciało jej się pić, a najbardziej chciała wrócić do swojej mamy, królowej, i do swojego brata, księcia. Dlaczego jej nie szukają? Była pewna, że o niej zapomnieli. A to nieprawda. Szukali jej przez cały dzień. Szukał jej brat książę, szukali wierni rycerze. W końcu brat ją odnalazł na szczycie zbocza. Była tam razem z królem i księżniczką Petrą. Ale księżniczka Petra była ranna. Król zrobił coś bardzo złego, poranił ją tak bardzo, że teraz księżniczka Petra przestała mówić.

Czuję, jak Calli cała sztywnieje.

- Nie tak było, Calli? - pytam.

Calli przez moment leży cicho jak trusia. Twarz skupiona, wyraźnie się zastanawia. Potem powoli kręci głową. Widzę, jak doktor Higby w swoim krześle wychyla się do przodu.

- W takim razie, jak to było, Calli? - pytam. - Bo ja nie wiem, mnie tam nie było. Może ty skończysz opowiadać tę bajkę?

MARTIN

Nie pozwolili mi samemu wsiąść do karetki. Kazali położyć się na noszach i wnieśli je do środka.

- Nic mi nie jest - mówię, ale nikt mnie nie słucha. Ratownik zaczyna delikatnie przemywać mi czoło. Boli mnie, wiem, że będą musieli założyć mi szwy. Ale wiem też, że zanim to nastąpi, muszę koniecznie dorwać się do telefonu.

- Przepraszam - mówię. - Ale ja muszę zadzwonić. Koniecznie. Do mojej żony.

- Niech pan się nie martwi. Szpital na pewno powiadomi rodzinę.

- Ale to ja muszę zadzwonić. Proszę pana, moja córka w bardzo ciężkim stanie została przewieziona śmigłowcem do szpitala w Iowa City. A moja żona rozpaczliwie usiłuje się ze mną skontaktować! Ja koniecznie muszę do niej zadzwonić!

Próbuję usiąść, ale ratownik uniemożliwia to, kładąc rękę na mojej piersi. Nagle w moim ręku pojawia się komórka, po chwili rozmawiam już z Fieldą, która usłyszawszy mój głos, zalamuje się. Zaczyna płakać.

- Martin, Martin... - słyszę jej roztrzęsiony głos - gdzie ty jesteś? Nic ci się nie stało?

- Wszystko w porządku, kochanie. - O moich żalonych próbach zostania herosem opowiem jej później. - Mów, jak z Petrą? Powiedzieli mi, że konieczna jest operacja.

- Właśnie robią operację. Przepraszam, Martin, szukałam cię wszędzie. Dłużej nie mogłam czekać, dlatego sama podjęłam decyzję. Chirurdzy chcą zlikwidować ucisk na mózg. Dlatego wyraziłam zgodę.

- Bardzo dobrze zrobiłaś, Fieldo. Taką właśnie decyzję należało podjąć. Ja niebawem tam będę. Muszę jeszcze... coś załatwić i już tam jadę. Przepraszam, Fieldo, wiem, że powinienem był od razu tam z tobą jechać.

Fielda milczy przez chwilę.

- Martin... ale ty... ty nie pojechałeś ze mną, bo... - zaczyna ostrożnie. - Bo coś się wydarzyło? Co z tobą się działo? Czy znowu coś złego się stało?

Przed moimi oczyma pojawia się na moment Antonia, którą wlecze do lasu ponury, zdesperowany facet.

- Mam nadzieję, że nie - mówię.

Fielda wzdycha. Mówi mi, że mnie kocha i czeka na mnie, mam jak najszybciej zjawić się w Iowa City.

Po przyjeździe do Szpitala Miłosierdzia wiozą mnie na ostry dyżur. Obok moich noszy pojawia się policjant.

- Jak tylko opatrzą panu głowę, musimy porozmawiać z panem.

- Oczywiście - mówię. Zamykam oczy i myślę, że gdzieś tam nade mną, w którymś z pokoi są Calli i Ben. Dwoje dzieci, które czekają na powrót matki.

Co będzie, jeśli ich matka nie wróci?

ZASTĘPCA SZERYFA LOUIS

Fitzgerald i ja przedzieramy się przez zarośla. Idę pierwszy, Fitzgerald za mną, klnie i narzeka, że w tych egipskich ciemnościach na pewno nikogo nie znajdziemy.

- Znajdziemy - mówię. - Griff nie zna tej części lasu, ale Toni tak. Toni dopilnuje, żeby nie zeszli ze szlaku.

- Miejmy nadzieję - mamrocze Fitzgerald.

Staramy się iść jak najciszej. Nie wolno dopuścić do sytuacji, że raptem natkniemy się na Toni i Griffa, i Griff wpadnie w panikę. Idziemy, po jakimś czasie dochodzimy do miejsca, gdzie drzewa rosną rzadziej. Przed nami w ciemnościach majaczy ścieżka. Rozglądamy się. Nikogo. Wchodzimy na ścieżkę, idziemy w dół. Kiedy któryś z nas nadepnie na gałązkę, obaj nieruchomiejemy i z niepokojem rozglądamy się dookoła. Fitzgerald jest w o wiele lepszej formie niż ja. Muszę bardzo się starać, żeby zachować swoją pozycję na przedzie.

Po kilku minutach Fitzgerald nagle szarpie mnie za rękaw i szepcze.

- Słyszysz?

Słyszę. Głos męski i głos żeński. Pierwszy gniewny, drugi wystraszony. To oni. Kiwam głową na znak, że też słyszę i idziemy dalej. Cichusieńko. Nie będziemy się ujawniać od razu. Najpierw trzeba ich poobserwować z ukrycia, zająć jak najlepsze pozycje, przekonać się, czy Griff faktycznie ma broń.

Podchodzimy bliżej. Teraz słychać wyraźnie krzyki Griffa.

- Zamknij się! Zamknij się!

Toni też krzyczy, wystraszona, i płacze. Schodzę kawałeczek niżej. W bladym świetle księżycy widać Griffa przyciskającego Toni do drzewa. Usta Griffa tuż przy uchu Toni. Gdybym nie widział broni w jego ręku, gdyby nie żalorny płacz Toni, można by pomyśleć, że się obejmują.

Widzę, jak Fitzgerald schodzi kawałek niżej. W rękę Fitzgeralda pistolet. Ja też wyjmuję z olstra broń i chowam się za drzewem.

Fitzgerald woła:

- Policja! Rzuć broń! Oni chyba go nie słyszą.

- To ty! To ty! - szlocha Toni. - To byłeś ty!

- Nieprawda! Niczego złego nie zrobiłem temu dziecku!

Przyciska swoją wielką łapę do gardła Toni. Przykucam i biorę go na cel. Na strzał za wcześnie. Griff jest zbyt blisko Toni.

- Nie, nie - mówi z płaczem Toni. Ciszej, bardzo niewyraźnie. - Chodzi o Calli... O, Boże, Boże... To przez ciebie ona nie mówi...

- Rzuć broń, Griff! - wołam.

Griff zastyga na sekundę, jakby uświadamiając sobie naszą obecność. Ale dalej mówi do Toni.

- O czym ty gadasz? Zamknij się!

Ale jego głos nie brzmi już tak pewnie. Toni nie milknie.

- To ty! Myślałam, że nie mówi, bo wszystko widziała! Jak spadam, jak rodzę nieżywe dziecko! Ale to ty! To twoje szeptanie! Co jej wtedy powiedziałeś? Co? Co?!

Toni wyrzuca to z siebie tak gwałtownie, że Griff odstepuje od niej. Znow biorę go na cel.

- Zamknij się, Toni - mówi Griff. - Sama nie wiesz, o czym mówisz.

Stara się mówić cicho, ale widzę, że trzęsie się, zaczyna płakać. Znow podchodzi do Toni, opiera swoje czoło o jej czoło i przyciska lufę pistoletu do jej skroni.

- Rzuć broń! - ryczy Fitzgerald i zaczyna odsuwać się dalej ode mnie. Słusznie. Jeśli Griff zacznie strzelać, będzie w stanie trafić tylko jednego z nas.

Znow celuję, ale Griff znowu jest za blisko Toni, nie wolno ryzykować. Mijają sekundy, widzę, że odsuwa się od niej, kawałek. Szansa dla mnie. Przesuwam lufę, w tym momencie pada strzał. Ale nie z mojego pistoletu.

Słyszę przeraźliwy krzyk. Toni i Griff osuwają się na ziemię. Oboje nie ruszają się.

Fitzgerald biegnie do nich. Ja stoję jak wrośnięty w ziemię. Czuję się paskudnie.

- Rusz się! - woła niecierpliwie Fitzgerald. - Pomóż mi!

Próbuje zepchnąć Griffa z Toni. Widzę ręce Toni. Ona też usiłuje zepchnąć z siebie Griffa, uwolnić się od jego ciężaru. Wyczołguje się spod niego i ukrywa twarz w dłoniach.

Stoję nad nią, ale nie jestem teraz w stanie jej pocieszać. Nie tutaj, nie teraz. Dzwonię po wsparcie i ambulans, chociaż wiadomo, że Griff nie żyje. I to Fitzgerald klęka przy Toni, szepcze jej słowa otuchy. Nie wiem, czy Toni w ogóle zdaje sobie sprawę, że ja też tu jestem. Chwyta się kurczowo Fitzgeralda, nie chce go puścić. Kiedy prowadzi ją ścieżką, opiera się o niego całym ciałem. Ja zostaję, czekam na lekarza sądowego i techników z laboratorium.

Po kilku godzinach dowiedziałem się, że pistolet Griffa nie był naładowany. W pierwszej chwili poczułem ulgę, że to nie ja go zastrzeliłem. Ale wiem, że gdybym miał szansę, zrobiłbym to. Bez wahania.

CALLI

Słowa brata wniknęły w Calli, obudziły pamięć.

Jak to było? Kiedy pochyliła się, żeby podnieść z ziemi łańcuszek? Srebrny łańcuszek Petry. Kiedy wyjmowała go spod zbutwiałych liści, wyczuwała już obecność tego człowieka. Czowała na sobie jego wzrok, czuła strach, ten największy, co wypełnia całe serce, całe płuca.

Ostrożnie podniosła głowę. Kawaleczek. Zobaczyła ubłocone buty na grubych podszwach, ustawione na szerokim płaskim głazie koloru piasku. Nad ubłoconymi butami ubłocone oliwkowe spodnie. Zobaczyła, jak po oliwkowym tle przesuwa się zwisająca bezwładnie nieduża ręka.

Wyprostowała się, zaciskając mocno w rękę srebrny łańcuszek. Ten człowiek trzymał Petrę na rękach jak jakiś tobolek. Petra miała oczy zamknięte, jakby spała.

Petra wyglądała strasznie. Nad lewą brwią dwie złowrogie rany. Cały policzek, aż do warg, poznaczony purpurowymi siniakami. Wargi zakrwawione, opuchnięte, także na szyi mnóstwo siniaków. Niebieska piżama poplamiona była czymś brązowym. Sznurowadła kiedyś białych tenisówek rozwiązane, zwisały z kostek.

- Pomóż mi - powiedział. - Jest ranna. Sam nie dam rady znieść jej po zboczu.

Patrzył prosto w oczy Calli. Głos był cichy, zatroskany, nie pasował do twardego spojrzenia. Poznała go.

Stał na samym szczycie zbocza, tam gdzie drzewa rzucają długie, ponure cienie. Wiatr podrywał jego bardzo jasne włosy. Unosiły się, odsłaniając czoło i opadały. Stał na jasnym głazie, zaraz za nim, w dole, głęboka kotlina. Niecka przykryta płachtą bujnej zieleni naznaczonej ciemną żółcią koloru miodu.

- Ona jest za ciężka. Muszę ją położyć.

Położył Petrę na głazie. Ostrożnie, podtrzymując jej głowę. Jakby składał ją na kamiennym ołtarzu.

- Cieszę się, że tu jesteś. Sam nie dam rady. Trzeba jak najszybciej znieść ją na dół i zawieźć do szpitala. Jest ranna. Ona... upadła.

Zbocze, tuż za nim, było bardzo strome. Naga skała porośnięta mchem. W dole wąski jar.

- Proszę, pomóż mi. Jeśli się nie pospieszymy, ona może... umrzeć.

Broda mu się trzęsła. Oczy załśniły, jakby zbierały się w nich łzy.

Calli powoli podsunęła się bliżej. Wyciągnął rękę, żeby pomóc jej wejść na wapienny głaz. Chwytał ją za rękę bardzo mocno. Kiedy próbowała postawić nogę na zwietrzałym głazie, spod jej stopy wyprysnęły drobinki w kolorze piasku. Chwytał ją jeszcze mocniej, poczuła, że unosi się, frunie w górę.

Stała na głazie. Poczowała strach. Źle zrobiła, powinna uciekać jak najszybciej. Próbowała uwolnić rękę, ale on nie puszczał. Przez chwilę bawili się w przeciąganie liny, liny z rąk.

Potem... potem najpierw usłyszała bicie skrzydeł. Powolne, wyważone, któremu towarzyszyło krakanie. Też jakby w zwolnionym tempie. Dziwne krakanie, przypominało śmiech. Poczowała podmuch na szyi. Ptak przeleciał nad nią. Ogromny. Nigdy dotąd nie widziała tak dużego ptaka. Tak czarnego, że aż niebieskawo. Z rozpiętymi skrzydłami był prawie tej samej wielkości, co Calli.

Frunął, wielkie czarne skrzydła przesunęły się po ramieniu tego człowieka, rzuciły cień na jego twarz. Teraz wystraszoną. Zachwiał się, puścił rękę Calli. Upadła na plecy. Zsunęła się z głazu i przez chwilę oszołomiona leżała nieruchomo na ziemi, patrząc w różowawą niebieskość nieba.

Usiadła. Ostrożnie rozejrzała się dookoła.

On... znikł.

Wstała i podbiegła do głazu, na którym leżała Petra. Wspięła się na głaz, położyła się na nim i podpełzła na przeciwległy kraniec. Ostrożnie wychyliła głowę, spojrzała w dół. Nikogo. Odwróciła się i podpełzła do Petry. Zajrzała jej w twarz. Petra poruszyła głową, powieki zadrżały. Otworzyła oczy i wydała z siebie cichy, żalony jęk.

- Mamo...

Calli położyła brudną rękę na czole Petry. Skinęła głową. Poglaskała Petrę po ramieniu i rozejrzała się. Spojrzała we wszystkie strony świata. Ten człowiek odszedł. Człowiek, którego

już kiedyś widziała. Poznała go, wiedziała, że ma zabawne imię i psa. Tego człowieka nigdzie nie było widać, ale może gdzieś tu jest. Może ją obserwuje...

Wtedy odeszła od Petry i ukryła się w zaroślach...

Wtedy...

Calli zamrugła oczami, powracając do rzeczywistości. Znowu była w szpitalu, obok siedział Ben. Ben przed chwilą zadał jej pytanie. Więc odpowie, teraz ona wystąpi jako głos swojej przyjaciółki.

- Lucky. To był Lucky.

BEN

A więc zrobiłaś to, Calli. Super. Dokończyłaś bajkę. Jestem zaskoczony, że to nie tato, tylko student pana Gregory'ego. Zabrał Petrę do lasu i zrobił jej te wszystkie złe rzeczy. Zastanawiam się, czy tato kiedykolwiek mi wybaczy, że zwałem to na niego. Ale wszystko wskazywało, że to on. Poza tym, to tato zaciągnął cię do lasu. Tak, ale ja i tak nie wiem, jak spojrzeć mu w twarz. Tym bardziej, że jak na dwunastoletniego chłopaka nieźle mu przyłożyłem.

Mama nie wróciła jeszcze z tymi naszymi rzeczami. Jestem po prostu wykończony, ale tej nocy o spaniu nie ma mowy. Ciągłe przychodzą policjanci i proszą, żebyś jeszcze raz opowiedziała im tę bajkę. Ty opowiadasz i opowiadasz, a oni wciąż cię jeszcze o coś pytają. Czy ten facet, ten Lucky, zrobił ci coś złego. Mówisz, że nie. On zrobił to Petrze.

W końcu przychodzi Rose i mówi policjantom, żeby sobie poszli, bo dzieci muszą już spać. Ale my nie śpimy. Postanowiliśmy poczekać na mamę. A mama ciągle nie przychodzi. Ty nie możesz się doczekać, kiedy pokażesz mamie, że znowu chcesz i potrafisz mówić. A mówisz bez przerwy. Myślę, że też po to, by słyszeć swój własny głos. A mówisz tak jakoś... mądrze. Po prostu mądrze. Kiedy pytam, czy twoim zdaniem tato kiedykolwiek mi wybaczy, że posądzałem go o zrobienie takich okropnych rzeczy i biłem się z nim - ty odpowiadasz, że nie. Nie wybaczy mi.

- Ale nie przejmuj się, Ben. Tato, tam na górze, nie był sobą.

Potem zamyślasz się na chwilę i mówisz:

- Nie. Tato był tam sobą. Ale niech ci nie będzie przykro. I to ty nas uratowałeś, Ben.

Uśmiecham się. Ja miałbym cię uratować? Ciebie i Petrę? Może i tak. Zresztą nieważne. Było, minęło, teraz jakoś to wszystko się ułoży, z tatą też. I bardzo fajnie jest tak tu siedzieć sobie razem z tobą.

- Co chcesz oglądać, Calli? - pytam.

Pytam, a ty odpowiadasz. Tak, jak powinno być.

ZASTĘPCA SZERYFA LOUIS

Nie wracam do domu. Po co? Nikt na mnie nie czeka. Christine i Tanner wyjechali. W ciągu jednego obłądnego dnia straciłem żonę i syna. W rezultacie jestem teraz na posterunku. Piszę raport, starając się uwzględnić w nim wszystkie istotne szczegóły. Dla mnie makabryczne. Jako zastępca szeryfa zdążyłem się napatrzeć na ciemną stronę życia. Oglądałem samobójców, makabryczny krajobraz po wybuchu metanu w laboratorium. Widziałem kobiety katowane przez mężów, które decydowały się jednak do nich wrócić. No cóż... Toni też żyła tyle lat z Griffem, który był zwykłym draniem.

Co innego jednak ludzie obcy, a co innego, kiedy osoba doskonale ci znana omal nie zostaje zabita. Tu nie pomaga ani policyjne wykształcenie, ani lata doświadczenia, kiedy widzisz broń wycelowaną w głowę kobiety, którą po raz pierwszy zobaczyłeś w wieku siedmiu lat i pamiętasz, jak brawurowo zjeżdżała na sankach. Może i dobrze, że to nie ja zastrzeliłem Griffa. Chyba bardziej niż dobrze. Prawdziwy dar od losu.

Teraz, kto wie, może znów będę mógł zaistnieć w życiu Toni. Pozbierać okruchy naszej przeszłości, ożywić wspomnienia, może będziemy mogli zacząć wszystko od nowa, od tamtego momentu, kiedy rozstaliśmy się wiele lat temu.

Może los dał mi drugą szansę. Problem w tym, czy Toni będzie myśleć podobnie. Co o tym sądzić będą Ben i Calli?

Może wcale nie jestem lepszy od Griffa. Griff zamienił rodzinę na alkohol. Ja też właściwie już zrezygnowałem ze swojej rodziny. Ale zrobiłem to z powodu kobiety, którą znam od dziecka, której nigdy nie powinienem był pozwolić odejść. Czy mnie to usprawiedliwia? Kto w końcu jest większym draniem? Griff czy ja?

Oto jest pytanie... Tak, jest, ale chyba nie ma sensu szukać gorączkowo odpowiedzi. Bez niej też da się żyć.

Tego ranka dzwonię do Charlesa Wilsona, doradcy szkolnego, żeby przeprosić go za bardzo przykrą sytuację, w jakiej znalazł się z naszej winy.

- Nie ma o czym mówić - mówi Wilson. - Najważniejsze, że dziewczynki się odnalazły.

Nie rozłączam się jeszcze i zadaję pytanie.

- A co z pana psem? Znalazł się?

Wilson śmieje się.

- O, tak! Sam przyszedł. W środku nocy, ledwo żywy i głodny. Chyba też się trochę wstydził, że narobił takiego bigosu!

Jeszcze raz przepraszam, życzę mu wszystkiego dobrego. Ten Wilson to naprawdę wyjątkowo sympatyczny gość.

Jadę do szpitala z nadzieją, że zastanę tam Toni czuwającą przy swoich dzieciach. Spotykam ją w poczekalni. Siedzi na krześle, głowa opuszczona. Ogląda swoje ręce bardzo uważnie. Wygląda identycznie jak w dniu, kiedy dowiedziała się o śmierci swojej matki.

- Lou, i co ja mam im powiedzieć? - pyta cicho, nie patrząc na mnie.

- Nie wiem - przyznaję uczciwie. Sytuacja Toni jest rzeczywiście nie do pozazdroszczenia.

Toni wstaje. Wyraźnie ma problem z utrzymaniem się na nogach. Biorę ją pod łokieć i prowadzę do wind.

- Chcesz, żebym poszedł z tobą? - pytam.

- Tak - odpowiada Toni i bierze mnie za rękę.

ANTONIA

Louis jest przy mnie, kiedy przekazuję dzieciom wiadomość o śmierci ich ojca. Najbardziej okrutne słowa, jakie kiedykolwiek przyszło mi powiedzieć. Wasz ojciec nie żyje. Dziwne, ale ani Ben, ani Calli nie pytają - dlaczego, jak, kiedy. Oczy suche, ani śladu rozpaczki. Po prostu przyjmują to do wiadomości. Może dlatego, że ostatnie dwa dni były dla nich prawdziwym horrorem. Kolejna zła wiadomość nie robi już na nich wrażenia.

Czy oplakuję śmierć Griffa? Dobra żona zawsze tonie we łzach. Ale ja nie jestem dobrą żoną. Zbyt wiele razy myślałam sobie, jak dobrze by było, gdyby nagle zadzwonił ktoś z tego rurociągu i powiedział, że Griff miał wypadek w pracy, niestety, nie udało się go uratować. Albo dzwonią z policji. Wypadek samochodowy. Griff nie żyje. Wymyślałam sobie rozmaite scenariusze, zakończenie zawsze takie same. Zginął tragicznie. Scenariusza ze strzelaniem nie uwzględniłam, wymyśliło je samo życie. Czy czuję ulgę? Tak. Kiedy znieruchomiałe ciało Griffa osunęło się na mnie, poczułam wielką ulgę. Trafili nie we mnie. Czuję też ulgę, że nie będę dłużej przeżywała piekła, które stwarza kobiecie pijany mąż. Moje dzieci nie będą już cierpiały z jego powodu, cierpiały przeze mnie, bo ja nie jestem dobrą matką. Dobra matka razem z dziećmi odchodzi od męża, kiedy ten po raz pierwszy rzuci w nią butelką po piwie albo

uderzy dziecko w złości za to, że rozlało trochę soku pomarańczowego. Albo kiedy każe dziecku siedzieć przy stole przez trzy godziny, bo dziecko się nie odzywa. A to dziecko po prostu w ogóle nie mówi. Nie może. Ale ma siedzieć, dopóki się nie odezwie, dopóki nie zapyta, czy może wstać od stołu.

Dobra matka tego rodzaju zachowań ojca wobec swoich dzieci po prostu nie toleruje. Ale ja, jak już powiedziałam, nie jestem dobrą matką.

Teraz mam szansę zacząć wszystko od nowa. Być dobrą matką, taką, która chroni swoje dzieci, która gotowa jest oddać za nie swoje życie. Louis mówi, że ja jestem taką właśnie matką. Zawsze nią byłam. Ale ja wcale tak nie uważam. Dopiero teraz mam szansę. Chcę być naprawdę dobrą matką. Poświęcać im jak najwięcej czasu, żeby nie było go za mało, kiedy już będę musiała odejść z tego świata... Żeby nie było go za mało, czego tak bardzo żałowała moja matka...

MARTIN

Zakładają mi jedenaście szwów. Tyle szwów, żeby nareperować moją głowę, którą Griff Clark zmaltretował jednym uderzeniem pistoletu. Mam też wstrząs mózgu, dlatego noc muszę spędzić w szpitalu, z dala od Petry i Fieldy. Rano budzę się z potwornym bólem głowy. Ale to nic. Kiedy pomyślę, ile musi wycierpieć moje dziecko...

Ubieram się szybko, chcę jak najprędzej wyruszyć do Iowa City, gdzie czekają na mnie obie moje dziewczyny. Kiedy kończę zawiązywać sznurowadła, do pokoju wchodzi Antonia Clark i przysiadła na krześle.

A ja z niecierpliwością czekam na lekarza, żeby w końcu przyszedł i podpisał mi wypis ze szpitala.

- Przepraszam - mówię - powinienem był do was zajrzeć. Jak czują się Calli i Ben?

- Już dobrze - odpowiada Antonia. - A co u Petry?

- Jest po operacji. Nadal śpi, ale wygląda na to, że ten ucisk na mózg udało się zlikwidować.

- Cieszę się.

Przez chwilę siedzimy w milczeniu. Potrzebuję trochę czasu, zanim zdołam wykrztusić to, co stanowczo należy powiedzieć.

- Wybacz, Antonio. Zachowałem się jak stary dureń. Nie powinienem był przychodzić do twojego domu z bronią. Ale ja naprawdę byłem przekonany, że Griff ma coś wspólnego ze

zniknięciem Petry. Zdaję sobie sprawę, że to żadne usprawiedliwienie. Czuję się winny. Winny jego śmierci.

- Przestań, Martin! Pomyśl lepiej, co Griff zrobił z twoją głową! Co on w ogóle zrobił! O czwartej rano, kompletnie pijany, wywlókł Calli z domu i ciągnął ją przez las pod dom człowieka, który jego zdaniem jest jej prawdziwym ojcem! W rezultacie zabłądzili. Potem Griff pobił swego syna, potem przystawiał mi pistolet do głowy! Martin! Griff wcale nie był świetnym facetem!

- No... nie - mówię ostrożnie. - Ale nie musiał umierać. Bardzo współczuję, Antonio, całej waszej rodzinie z powodu tego, co musieliście ostatnio przejść.

- Dziękuję. Ale poradzimy sobie jakoś, ja i moje dzieci. Mamy siebie, to najważniejsze, prawda?

- Jasne.

- Martin, kto zawiezie cię do Iowa City? Przecież tobie nie wolno teraz prowadzić.

- Louis obiecał, że mnie zawiezie.

- Świetnie. A mnie Louis mówił, że mają już sprawcę.

- Wiem. Podobno jest gdzieś tutaj, w szpitalu.

- Tak. Lucky Thompson. Spadł do jaru, dlatego przywieźli go do szpitala. Czy wiesz, Martin, że ja go pamiętam. Spotkałam go kiedyś u was w domu. Był z psem.

- Zgadza się. Mój student. Myślałem, że znam go dobrze...

Oczywiście, że mówię to z goryczą. Antonia głaszcze mnie po ramieniu i mówi cicho.

- Tego nie mogłeś przewidzieć.

- Wiem. Ale wciąż zadaję sobie pytanie. Jeśli rodzony ojciec nie potrafi uchronić dziecka przed złem, to kto?

- Martin, jesteś wspaniałym ojcem. Widzę to przecież. Fielda dokonała świetnego wyboru. Niestety, ja nie.

- Gdybyś wybrała kogoś innego, nie miałabyś takich dzieci, Antonio.

Antonia uśmiecha się.

- Wiem. Mam wspaniałe dzieci. Oboje mamy wspaniałe dzieci. A teraz jedź już do Petry. Ucieszy się, kiedy po obudzeniu zastanie koło siebie swojego ukochanego tatusia! Będziecie mogli porównać swoje szwy!

Śmieję się, po raz pierwszy od długiego czasu. Śmieję się i od razu czuję się lepiej. Od razu wraca optymizm. Będzie dobrze. Pewnego dnia wszystko wróci do normy. Nie ma innej opcji.

EPILOG

CALLI

Sześć lat później

Często wspominam tamten dzień przed wieloma laty i zastanawiam się, jakim cudem udało nam się przeżyć. Ten dzień mroczny, pełen smutku i strachu, zwłaszcza dla mojej mamy. Chociaż to ona często powtarza:

- Pod pewnym względem był to dobry dzień. Odnalazłaś wtedy swój głos, Calli.

Odnalazłam swój głos. Nigdy nie myślałam o tym w taki właśnie sposób. Moim zdaniem, wcale go nie zgubiłam. On się schował. Na przykład do butelki, z głęboko wepchniętym korkiem. Często tak to sobie wyobrażałam. Mój głos, jak pachnące perfumy, siedzi sobie w eleganckim, drogim flakoniku z pięknie rzeźbionym koreczkiem. Flakonik jest wysoki, wąski i niebieski. Mój głos, żeby wydostać się z flakonika, musiał poczekać na odpowiedni moment. To znaczy - ktoś musiał mi pozwolić znów używać mojego głosu. Minęło wiele czasu, zanim zrozumiałam, że nie ktoś, tylko ja sama. Ja sama muszę sobie udzielić zezwolenia. Nikt inny. Chciałabym, żeby mama w końcu to zrozumiała, bo mama bez przerwy o wszystko obwinia siebie.

Dźwiga na swoich barkach okropny ciężar. Wiem bardzo dobrze, jak to jest. Przecież ze mną było identycznie. Przez bardzo długi czas byłam przekonana, że moja siostrzyczka Maczek umarła przeze mnie. Na pewno uważasz, że byłam głupia. Czy czteroletnia dziewczynka może spowodować czyjąś śmierć? Ale wyobraź sobie następującą sytuację: ta czteroletnia dziewczynka widzi, jak jej matka i ojciec kłócą się na szczycie schodów. Na oczach tej czteroletniej dziewczynki jej ciężarna matka spada po schodach. Upada na plecy, wyciąga ręce. Do tej właśnie dziewczynki, która płacze. Płacze i płacze, nie może się uspokoić. Co jest zrozumiałe. Ojciec dziewczynki próbuje ją uciszyć. Nie, nie, wcale jej nie przytula do siebie, nie całuje. Tylko szepcze jej do ucha:

- Zamknij się, Calli. Jeśli się nie uciszysz, twoja siostrzyczka umrze. A chyba tego nie chcesz, prawda? Dlatego nie wrzeszcz. Jak się nie zamkniesz, umrze i dziecko, i twoja mama.

Tak szeptał do ucha czterolatki. A potem maleńkie dziecko umarło, moja siostrzyczka o włoskach czerwonych jak maki, o skórcie mięciutkiej jak płatki kwiatów. Umarła, a ja tamtego dnia zjadłam swoje słowa. Ugryzłam, przeżułam, przełknęłam. Nie ma. I nie było sposobu, żeby wróciły do poprzedniej postaci, żeby znów wydostały się na zewnątrz.

Dlatego ja dobrze wiem, jak to jest, kiedy człowiek czuje się odpowiedzialny za coś, na co tak naprawdę nie miał żadnego wpływu. A tak, niestety, jest teraz z moją matką.

Petra przez rok nie chodziła do szkoły. Miała kilka operacji, dwa miesiące leżała w szpitalu w Iowa City, potem miesiąc w tutejszym szpitalu, w Willow Creek. Raz w tygodniu można było ją odwiedzać, wtedy mama zawoziła mnie do szpitala. Zabawne, że podczas tych odwiedzin prawie nie rozmawiałyśmy. Chociaż ja już mówiłam. Nie rozmawiałyśmy, bo nie było potrzeby. Po prostu byłyśmy sobie razem.

Po tych smutnych wydarzeniach Petra zmieniła się. Zaczęła chodzić jakoś tak inaczej, miała trudności z nauką. Z powodu tych ran na głowie. Nikt się z niej nie wyśmiewał, ja w każdym razie niczego takiego nie zauważyłam. Wszyscy, i dzieci, i dorośli, bardzo jej współczuli. Za bardzo, bo zaczęli traktować ją inaczej, nie jak zwyczajne dziecko. Dzieci nie bardzo wiedziały, jak z nią rozmawiać, a dorośli przede wszystkim patrzyli na nią z wielkim smutkiem. A Petra chciała być po prostu taka jak wszyscy.

Kiedy od smutnych wydarzeń minęło półtora roku, państwo Gregory zdecydowali się wyjechać z Willow Creek. Myślę, że ostateczną decyzję podjęli po procesie. Ojciec Petry przeżywał wtedy męki. Przecież to on zapraszał Lucky'ego do swojego domu, dawał mu jakieś drobne prace do wykonania, żeby chłopak zarobił parę groszy, potem załatwił mu pracę w kawiarni swojej teściowej. A okazało się, że to był Lucky. Tamtego ranka Petra zobaczyła go przez okno, jak o świcie szedł na spacer ze swoim psem Sierżantem. Wyszła za nimi, żeby się przywitać. Szła za nimi w głąb lasu. Tam Lucky ją złapał. I już nie puścił.

Podczas procesu wyszło na jaw, że Lucky przedtem bardzo starał się zdobyć zaufanie i sympatię dziewczynki. Kiedy przychodził do państwa Gregorych, albo kiedy Petra przychodziła do kawiarni, dawał jej prezenciki. Mówił jej też, że na spacer z Sierżantem chodzi zwykle do lasu za ich posesją i byłby zachwycony, gdyby Petra wybrała się kiedyś razem z nimi.

To Lucky zabił swojego psa. Kiedy Lucky maltretował Petrę, Sierżant zaczął jej bronić. Ugryzł Lucky'ego. Lucky udusił psa jego własną smyczą.

Cała rodzina Gregorych musiała zeznawać. Także cała nasza rodzina. Proces trwał długo i było to okropne. Prawnicy zadający pytania, reporterzy zadający pytania. Znajomi i sąsiedzi też zadający pytania. Prokurator chyba się bał, że znów przestanę mówić. Podczas procesu dzwonił do nas co wieczór i rozmawiał ze mną. Wiadomo, chciał się upewnić, że nadal mówię.

Lucky'ego uznano winnym porwania, gwałtu na nieletniej i próby morderstwa. I pomyśleć, że stało się to możliwe właściwie dzięki wielkiej, starej wronie. Ptak trącił go skrzydłami, Lucky stracił równowagę i spadł piętnaście metrów w dół. Złamał nogę i obojczyk. Znalaziono go następnego dnia po południu. Jest w więzieniu, nie wyjdzie stamtąd do końca życia. Czy Lucky miał coś wspólnego z zabójstwem Jenny McIntire? Tego nie udowodniono.

Petra i ja pisujemy do siebie. Petra mieszka teraz w innym stanie. Jej ojciec zrezygnował z nauczania. Mieszkają teraz na farmie rolnej, ale trzymają tam też zwierzęta. Owce, kury, świnie, kilka psów. Petra raz czy dwa zapraszała mnie do siebie, ale ja jakoś nie mogę tam się wybrać. Petra za nic w świecie nie wróciłaby do Willow Creek. Wcale się temu nie dziwię.

Mój brat w tym roku ukończył osiemnaście lat. Pracuje, zbiera pieniądze na naukę w college'u. Wyjeżdża jesienią. Razem z mamą już wpadliśmy w rozpacz. Ben jest bardzo wysoki, mocno zbudowany, pod tym względem przypomina naszego tatę. Chce być policjantem. Nie mam pojęcia, jak to będzie, kiedy Ben wyjedzie. Wiele moich koleżanek i kolegów nie może się doczekać, kiedy ich starsze rodzeństwo wyprowadzi się z domu. Ale ze mną i z Benem jest zupełnie inaczej. Ja nawet boję się pomyśleć, że jego już tu nie będzie.

Louis nadal jest zastępcą szeryfa, ale moja mama i Ben są przekonani, że w przyszłym roku, kiedy stary szeryf wreszcie pójdzie na emeryturę, Louis zajmie jego miejsce. Louis bardzo często przychodzi do nas na obiad. Przez całą szkołę średnią Bena chodził na wszystkie mecze piłki nożnej, kiedy grał Ben. Ben i Louis są bardzo ze sobą zżyci. Jestem pewna, że dlatego Ben koniecznie chce być policjantem. Zastanawiam się też, czy moja mama i Louis w końcu będą razem. Wiem, że Louis się rozwiódł jakiś czas temu, a mojej mamie też przecież się coś od życia jeszcze należy. Kiedyś spytałam ją wprost, dlaczego nie wyjdzie za Louisa. Mama wtedy posmutniała, powiedziała, że to wcale nie takie proste i niech będzie tak, jak jest. Przy najmniej na razie. Mama nadal ma koszmarne sny. Słyszę, jak krzyczy, bardzo często widzę, jak wchodzi do mojego pokoju, potem do Bena. Sprawdza, czy jesteśmy.

Syn Louisa, Tanner, ma już dziesięć lat. Przyjeżdża do Willow Creek w weekendy i podczas wakacji. Była żona Louisa zamieszkała w Cedar Rapids, godzinę jazdy samochodem

stąd. Tanner jest miłym, spokojnym chłopcem o bardzo poważnych oczach. Louis kocha go nad życie. Bardzo przeżywa, kiedy musi go z powrotem odwiedzić do matki.

Ja, oczywiście, mówię. Ale niewiele i to przeraża moją mamę. Potrafię przez kilka dni nie powiedzieć ani słowa. Co wcale nie znaczy, że odcinam się od innych, że nie słucham, co się do mnie mówi. Słucham, ale sama nie otwieram ust. Mama wpada wtedy w rozpacz. Naturalnie, boi się, że znów jestem niema. Dlatego, kiedy zauważę te smutne spojrzenia mamy, natychmiast coś mówię i mama rozpogadza się. Mama dostała pracę w szpitalu, na oddziale, gdzie leżą starzy, zniedołężniali ludzie. Pomaga pielęgniarkom. Zmienia starszkom pościel, myje ich i karmi. Mama mówi, że ta praca nie jest szczytem marzeń, ale w sumie ma jakąś satysfakcję. Po powrocie do domu opowiada o swoich starszokach, co robili, co mówili. Skarży się na tych, co tylko zrzędzą, albo są potwornie wścibscy. Ale ci właśnie to chyba jej ulubieńcy.

W mojej skrzynce ze skarbami trzymam zdjęcie ojca. Stare, trochę pogięte na rogach, ale to właśnie lubię najbardziej. Zrobione dawno, kiedy ani Bena, ani mnie nie było jeszcze na świecie. Tato, uśmiechnięty od ucha do ucha, siedzi w swoim ulubionym fotelu. Ma bardzo jasną cerę, piegi na nosie i błyszczące zielone oczy. Inne, nie takie żółtawe, jakie miał potem. Na zdjęciu wygląda bardzo młodo i, co najważniejsze, w ręku trzyma puszkę, ale wcale nie z piwem. Puszczę coli, trzyma ją tuż przed obiektywem, jakby wznosił toast. Krzyczał „Na zdrowie” do tego, kto pstrykał mu zdjęcie.

Do mojego ojca nie czuję nienawiści. Nienawidziłam go tylko przez chwilę. Ale potem już nie. Ale na pewno za nim nie tęsknię. Po pogrzebie mama zabrała nas do miasta. Kupiliśmy ogromne ilości żółtej farby, tyle ile zmieściło się w naszym samochodzie. Pomalowaliśmy dom. Wszyscy troje. Teraz jest jasnożółty, taki przyjemny, cieputki kolor. To malowanie było bardzo ważne. Mieliśmy za sobą bardzo ciężki tydzień. „Potrzebujemy czegoś, co znów obudzi w nas nadzieję”. Tak powiedziała mama.

A ja kiedyś jej powiedziałam, że gdyby tato tamtego ranka nie upił się i nie zaciągnął mnie do lasu, nigdy bym nie natrafiła na Petrę i Petra by umarła. Mama wtedy przez dłuższą chwilę patrzyła na mnie, a potem powiedziała:

- Nie rób tylko z ojca bohatera. Bo nim nie był. Był człowiekiem bardzo samotnym, zniszczonym przez nałóg.

Na grób ojca chodzimy raz w roku, w jego urodziny. Ben opiera się, ale mama nalega. Mówi, że czy podoba mu się, czy nie, ojciec nadal należy do naszej rodziny. Na pewno byłoby

mu bardzo smutno, gdyby żadne z jego dzieci nie przychodziło na jego grób. W zeszłym roku, kiedy mama znów to powtórzyła, Ben zaśmiał się i odpowiedział jej bezczelnie:

- Tato będzie smutny, dopóki nie zaniesiemy mu kilku piw!

I zrobił to. Kupił zgrzewkę, sześć piw. Wziął ze sobą na cmentarz i postawił obok nagrobka. Mama kazała mu natychmiast je stamtąd zabrać. Potem Ben i ja śmieliśmy się z tego. Bo to było zabawne. W pewnym sensie.

Jeśli chodzi o mnie, jestem zwyczajnym dzieckiem. Chodzę do szkoły, ze wszystkim daję sobie radę. Mam dużo koleżanek i kolegów. Po prostu jest normalnie. Do szkoły zawsze biegnę. Robię sobie taki bieg na przełaj. Uwielbiam biegać. Zawsze zresztą lubiłam. Są dni, kiedy mogłabym biec bez przerwy. Poza tym, kiedy biegnę, nie muszę z nikim rozmawiać. Przyznam się, że to bardzo mi odpowiada.

Do lasu nie chodzę już tak często. Nigdy sama. W sumie jest to dla mnie bardzo przykre. Kiedyś kochałam ten las, miałam tam swoje ukochane zakątki. Ale teraz, kiedy znajdę się wśród drzew, bez przerwy oglądam się za siebie. Czy nikt za mną nie idzie. Mama pytała się nas, mnie i Bena, czy chcemy się stąd wyprowadzić. Do miasta, dalej od lasu. Oboje powiedzieliśmy - nie. Tu jest nasz dom, a z tym domem związanych jest więcej dobrych wspomnień niż złych. Myślę, że mama z naszej odpowiedzi była bardzo zadowolona.

Mama nadal kocha las. Ona i Louis często idą sobie tam na spacer. Pytałam się jej, czy nie boi się chodzić po lesie. Zaprzeczyła. Powiedziała, że las ma we krwi, poza tym dlaczego ma bać się czegoś, co jest dla niej dobre.

- Przecież oddał mi was, prawda?

Prawda. Może ja też pewnego dnia będę do lasu czuła to samo. Ale nie teraz, jeszcze nie.

Nadal widuję się z doktor Kelsing, psychiatrą, którą spotkałam po raz pierwszy tamtej nocy, kiedy przywieziono mnie do szpitala. Dobrze jest rozmawiać z kimś, kto nie brał w tym wszystkim udziału. Pani doktor pomogła mi uwierzyć, że nie jestem chora psychicznie. Mówi, że tamtego dnia wykazałam się wielką odwagą i siłą. Nie wiem, czy to prawda. Ale na pewno miło pomyśleć, że faktycznie tak mogło być.

Przez całą szkołę podstawową chodziłam do doradcy szkolnego, pana Wilsona. Rok temu dowiedziałam się, że w tym dniu, kiedy zaginęłyśmy, ja i Petra, pana Wilsona zabrano na przesłuchanie. Nigdy mi o tym nie wspomniał, a wyobrażam sobie, jak przykra była dla niego ta sytuacja. Chodziłam do pana Wilsona raz w tygodniu i pisałam w tych pięknych dziennikach. Podczas naszego ostatniego spotkania, po koniec szóstej klasy, usiedliśmy razem przy okrą-

głym stole i pan Wilson spytał, czy chcę porozmawiać o tamtym dniu. Wzruszyłam tylko ramionami. Pan Wilson wtedy wstał i zaczął szukać czegoś w starej szafce. Wyjął pięć dzienników. Pięć dużych, grubych zeszytów w czarnych okładkach, wszystkie wypełnione moimi dziełami. Zaczęliśmy rozmawiać i ja opowiedziałam panu Wilsonowi o swoim śnie. Kiedy zasnęłam pod sosną i przyśniło mi się, że frunę, a wszyscy próbują mnie złapać i ściągnąć na ziemię. Powiedziałam mu, że też był w moim śnie. Stał z otwartym dziennikiem w ręku i coś mi w nim pokazywał. A ja zastanawiałam się, co. Wtedy pan Wilson wyciągnął spod stosu dzienników dziennik pierwszy i podał mi go.

- Przejrzyjmy ten dziennik - powiedział. - Może coś w nim znajdziemy.

Przez następne pół godziny przeglądałam dziennik. Ten swój pierwszy. Na pierwszej stronie okładki napisane było, że to Dziennik Mowy Calli. Obok napisu rysunek. Ważka. Przerzucałam wolno kartki, śmiejąc się z moich rysunków, z moich tekstów. Śmiałam się, dopóki nie natrafiłam na pewien rysunek i pomyślałam, że to musi być właśnie ten rysunek, który pan Wilson chciał pokazać mi w moim śnie.

Narysowałam swoją rodzinę. Na centralnym miejscu mama. W sukience i na obcasach, co było zabawne, bo mama nigdy nie chodziła w sukienkach ani na obcasach. Włosy mamy upięte w wymyślny kok, na twarzy promienny uśmiech. Obok mamy Ben, dokładnie tego samego wzrostu co ona. Włosy czerwone jak wóz strażacki, na okrągłym nosie piegi - czerwone kropki. W ręku piłka. Na pierwszy rzut oka można pomyśleć, że to tato, nie Ben. Ale to Ben, tato narysowany był z boku. Trochę niższy od mamy i Bena. Uśmiecha się, jak wszyscy na tym obrazku. W ręku trzyma puszkę. Puskę piwa. Nazwa piwa wypisana była na puszcze bardzo starannie, dużymi niebieskimi literami. Jak na prawdziwej puszcze.

Żadna jednak z tych trzech narysowanych osób nie przykuła mojego wzroku. Nawet ta czwarta, czyli ja, w różowej sukience, z włosami ściągniętymi w koński ogon. Tylko to, co trzymałam w ręku. Śliczny niebieski flakonik perfum. Koreczek wyjęty, leży obok, na ziemi. A z flakonika wyfruwają nuty, półnuty, ćwierćnuty. Cała chmara lata wokół mojej głowy.

- To ten! - powiedziałam panu Wilsonowi, wskazując palcem na rysunek. - Ten rysunek pokazywał mi pan w moim śnie. Mój głos.

- Oczywiście, Calli. Masz rację, to ten rysunek. Twój głos. Był z tobą przez cały czas!

